

RUAH

33/2005

MAGAZYN
MUZYCZNY



CD POBUDKA: ŚWIEŻUTKIE PIOSENKI
TELEDYSK: ROZPAL SERCE

KWARTALNIK
www.ruah.pl



14,90 zł
w tym VAT 0%

ANASTASIS

Trzeba nam Boga

MIETEK SZCZEŚNIAK

20 lat po debiucie w Opolu

DAVID MACDONALD

Muszę spłacić dług Bogu!

MAGDA ANIOŁ

Eucharystię mam wpisaną w grafik

GOSPEL RAIN

Nowy chór, nowy zespół, nowa płyta!

ANDRZEJ DZIUBEK

Góralskie portki na rockowej scenie

PIOTR PAŁKA

Dyryguje i modli się!

JAN BUDZIASZEK

Perkusista na kolanach

MATISYAHU

Skok na głowę w jarmulce

ISSN 1428-5983
INDEKS 345385
NAKLAD 4500 tys.



9 771 428 598 059 1





aniołowie i pasterze doświadczyli w Betlejem wielkiego Bożego Pokoju!
Wszystkim Czytelnikom RUaH życzymy, aby zakwitł on również w Waszych sercach
w te najcieplejsze Święta roku. Niech Pan Jezus rodzi się w Was każdego dnia
i prowadzi do niekończącego dzielenia się Miłością! - Redakcja

A

- 6 Przewodnik po CD „Pobudka”
- 7 Newsy
- 8 Jubileusz **MIETKA SZCZEŚNIAKA** – rozmowa Agnieszki Pająk
- 15 **HALLELU JAH** w Bułgarii – reportaż Jacka Jureczko
- 19 **TU ES PETRUS** – felieton Katarzyny Cudzych
- 20 Dyrygować i modlić się – z **PIOTREM PAŁKĄ** rozmawia Hubert Kowalski
- 25 Relacja z koncertu **STINGA** w Warszawie – Cezary Sękalski
- 26 Każdy ma swojego Anioła – Paweł Gzyl o **ANDRZEJU DZIUBKU**
- 30 **CCM** – Cezariusz Cieszyński Music – relacja Patrycji Michońskiej-Dynek
- 31 Trzeba nam Boga – Weronika Gurdek rozmawia z **ANASTASIS**
- 32 Połknęła mnie wielka ryba – Marta Tylenda o ewangelizacji w więzieniach
- 34 Zapominam siebie – nowa płyta **MATE.O**
- 35 Long Time – **IREK GŁYK**
- 44 Marketing i reklama a ewangelizacja – z o. **REMIGIUSZEM RECLAWEM SJ**
rozmawia Weronika Gurdek
- 48 Recenzje
- 51 Kolędy są moherowe – **JACEK KOWALSKI**
- 52 Nowa twarz: **MATISYAHU** – Marcin Jakimowicz
- 54 Koncert **POKOLENIE JP II** – felieton Katarzyny Cudzych
- 55 Z Nigeryjczykiem **LARRYM OKEY UGWU** rozmawia Iwona Flisikowska
- 56 Eucharystię mam wpisaną w grafik z **MAGDĄ ANIOŁ** rozmawia Weronika Gurdek
- 58 Muszę spłacić dług Bogu – **DAVID MacDonald** w Polsce – Justyna Stefańska
- 61 Z **ARTUREM KASZOWSKIM** z ODPOWIEM rozmawia P. Michońska-Dynek
- 62 Bez kamuflażu z **GRZEGORZEM GŁUCHEM** z Gospel Rain rozmawia Basia Pycel
- 65 Bezdroża popu – felieton **MARKA HORODNICZEGO**
- 66 Perkusista na kolanach – o **JANIE BUDZIAZSKU** pisze Marcin Jakimowicz
- 68 Maciek Syka przypomina gwiazdę rapu - **TUPAC'A SHAKUR'A**



numer
33

WYDAWCA / REDAKCJA:

paganini

Małgorzata i Weronika Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w Internecie: www.ruah.pl
www.paganini.com.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie
bierze odpowiedzialności za treść i formę reklam.

Na okładce: Anastasis
Fotografia na okładce: Jerzy Delwo
Mastering: Maciej Blachnio

ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: Janusz Kotarba
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP,
Grzegorz Gielert

Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba
Korekta: Weronika Gurdek, Weronika Kotarba
Stali współpracownicy: Rafał Boniński, Jan
Bujnowski, Weronika Gurdek, Marek Horodniczy,
Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Przemek
Kawecki, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń,
Agnieszka Lech, Darek Malejonek, Beata
Mencel, Patrycja Michońska-Dynek, Michał
Nolywajka, Marcin Perfuński, Barbara Pycel,
Krzysztof Raczynski, Maciej Syka, Judyta Syrek,
Adam Rymarz, Cezary Sękalski, Jan Trębacz,
ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Waclaw, Jan
Walczewski, Tomasz Wienke, Monika Zytke,
Jakub Zmizdiński

1. IKENGA DRUMMERS – Alleluja *

sł. i muz. Larry Okey Ugwu

2. FULL POWER SPIRIT & ZAKOPOWER, Katarzyna Suska, Mateusz Pospieszalski, Arek Skolik, DJ Haem – Raz w roku

sł. Miru, muz. Mateusz Pospieszalski i Dj Haem

3. BUDZIK – Pobudka

sł. Weronika Piasecka, muz. Krzysztof Kramarz i Weronika Piasecka

4. MIETEK SZCZEŚNIAK– O niebo lepiej
sł. i muz. Miatek Szczesniak**5. GOSPEL RAIN, Olga Szomańska,****Full Power Spirit – Startooj**
sł. i muz. Grzegorz Gluch i Miru**6. METROSPIRITUALS**– Z mojego policzka
sł. i muz. Maciej Nestor**7. ALICJA DZIAK – Kolęda przybędą**

sł. Emilia Waśniowska, muz. Aram Arabaczjan (Irlandia)

8. KANA i PRZYJACIELE Z UKRAINY – Hop, szigirigi - daj **

sł. Zespół, muz. tradycyjna, flet: Aleksander Grigor

9. IZAIASH – Blask Boga

sł. Gerard Hopkins SJ, muz. Wojciech Kowalski SJ

10. KORZEŃ Z KRAJU MELCHIZEDEKA – Gruzy Babilonu

sł. i muz. Dj Fabbs

11. ANASTASIS – Chcę tak jak On

sł. Jerzy Delwo, muz. Marek Zapaśnik

12. CEZARY PACIOREK & DIAKONIA MUZYCZNA „JEZUS ŻYJE”– Krzyż bierze Pan na ramiona – Stacja II (Droga Krzyżowa)
sł. Tomasz Pohl, muz. Cezary Paciorek**13. MIETEK SZCZEŚNIAK – Jesienna zaduma**

sł. Jerzy Harasymowicz, muz. Elżbieta Adamiak

FULL POWER SPIRIT & Lidka i Marcin Pospieszalscy, Bartek i Darek “Maleo” Malejonek, Viola Brzezińska, Dj Haem

– Rozpal serce

Reżyseria Grzegorz Sadurski, zdjęcia Alex Pavlovic

* / Piosenkę tę wykonuje Larry Okey Ugwu, Nigeryjczyk od ponad 20 lat mieszkający w Gdańsku. O nim i jego zespole – Ikenga Drummers piszemy na stronie 47

** / Tegoroczną „Strefę Chwały” (Spotkania Muzyków Chrześcijan), która odbyła się w lipcu w Gródku n/Dunajcem odwiedzili goście ze wspólnot charyzmatycznych zza granicy. Kilkunastoosobową grupę z Ukrainy, w której znaleźli się katolicy, prawosławni i greko-katolicy „przywiozł” na rekolekcje polski kapucyn pracujący na Ukrainie – o. Grzegorz z Krasilowa. Uczestnicy Spotkań długo nie zapomną modlitwy jaką prowadzili śpiewając pieśni w swoim języku. Jedną z nich, na prośbę organizatorów Strefy została nagrana w wakacje, zaraz po ich powrocie do domów, w profesjonalnym studio w Winnicy. Piosenkę „Szigirigi-daj” młodzi z grupy Kana, bo tak nazwali się nasi przyjaciele, napisali podobno w pociągu, w drodze do Gródka. Po raz pierwszy mamy przyjemność zaprezentować na naszym RUaHowym krążku religijną muzykę naszego najbliższego sąsiada ze Wschodu.



Larry Okey Ugwu



Aleksander Grigor z grupy Kana

www.siecmitosci.pl

chrześcijański portal dla młodzieży

28 listopada br. minął rok, jak został stworzony chrześcijański portal dla młodych www.siecmitosci.pl. Pomysłodawcami są młodzi ludzie, którzy pragną ukazywać to co dobre i wartościowe swoim rówieśnikom. Tą Miłością jest sam Jezus Chrystus, który do pomocy w szerzeniu Królestwa Bożego powołał Apostołów.

Zaczął się od pragnienia dzielenia się z młodymi ludźmi słowem Bożym przez Internet. Okazało się jednak, że brakowało w sieci miejsca, gdzie mógłby się ten dialog rozgrywać. I tak oto grupa młodych postanowiła zbudować portal chrześcijański, na łamach którego istniałaby możliwość prezentowania własnych refleksji, zadawania pytań – po prostu rozmowy. Na początku zaglądało mało ludzi: 5-10 osób, wraz z rozwojem portalu i przybywaniem nowych materiałów, zwiększyła się liczba odwiedzin – do 400 dziennie. Dziś miesięcznie strona jest odwiedzana ponad 115 tysięcy razy.

sieć Miłości
www.siecMitosci.pl

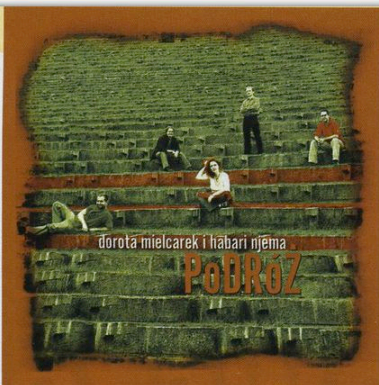
Dlaczego „Sieć Miłości”?

Nazwa nawiązuje do wydarzenia biblijnego, gdy apostołowie zarzucają sieć. Ale nic nie złowili, ponieważ nie było z nimi Jezusa. Nasza sieć wirtualna, sieć Miłości – pisane przez duże „M” jest siecią Boga. Podobnie jak apostołowie pragniemy zapuszczać się na „głębię życia” młodego pokolenia i dawać mu Miłość – samego Boga. Ufamy, że ta alternatywa wśród wielu propozycji w necie przyczyni się u wielu internautów do szukania prawdziwego sensu życia i przeżywania go z Bogiem.

Co można znaleźć na łamach portalu?

Jego autorzy podejmują tematy, które dotyczą młodego człowieka. Razem z ekspertami od różnych dziedzin życia szukają odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. Ci, którzy interesują się muzyką znajdują na portalu m.in.: zapowiedzi różnych spotkań z muzykami, informacje o koncertach i nowościach wydawanych na CD, wywiady oraz mp3. Oprócz tego, w przygotowaniu zwiastuny i recenzje najnowszych filmów i ciekawych sztuk teatralnych. Amatorzy dobrej literatury będą mogli znaleźć recenzje książek. Oczywiście nie zabraknie portalowych konkursów, w których będą do wygrania atrakcyjne nagrody. Sieć Miłości współpracuje również z Magazynem Muzycznym RUaH. ■

(oprac. Ikah)



Dorota Mielcarek o swojej nowej płycie:

W grudniu 2003 roku weszliśmy do „Studia Male” w Puszczykowie, by nareszcie zarejestrować nasz materiał! Realizatorem dźwięku był Robert Friedrich, nad mixem pracował Marcin Górny, natomiast masteringiem zajęli się Maciej Błachnio i Jacek Miłaszewski. Udało nam się nagrać 12 utworów, ale siłą selekcji pozostało 10, naszym zdaniem najbardziej zasługujących na uwagę. Praca nad płytą trwała prawie dwa lata, do maja 2005 roku, więc miesamowitą radością dla nas stał się fakt, że wydaniem tego materiału zainteresowała się Edycja Świętego Pawła!!! Dzięki temu płyta ujrzy ureszcie światło dzienne i będzie służyła innym, co było naszym celem. Jest ona, moim zdaniem, naprawdę miesamowitą dawką duchowego przesłania!!! Zresztą nie może być inaczej, bo sama nazwa Habari Njema w języku swahili oznacza Dobrą Nowinę! Płyta „Podróż” powstawała w wielkim trudzie, ale dzięki Bogu nie byliśmy sami - wspierali nas w modlitwie i dobrym słowem nasi PRZYJACIELE!!! W końcu przeciecz: „...im wyższa góra, tym piękniejsze widoki...” (fragm. jednej z piosenek). Jest to moja pierwsza autorska płyta, dlatego mam do niej szczególny sentyment - znajdują się na niej piosenki, które mówią o moich osobistych doświadczeniach z Bogiem. Myślę, że każdy znajdzie w niej coś dla siebie, jest ona chwilaми bardzo nastrojowa („Oczyszczenie”, „Dzięk Ci”, „Bez Ciebie nic”), momentami ostra („W miłości nie ma lęku”, „Podróż”), ale też nie brakuje w niej pozytywnych wibracji reggae („Habari Njema”, „Nasza miłość”, „Piękny dzień”). Płyte można kupować od końca listopada w sklepach muzycznych, na naszych koncertach, na stronie internetowej „Edycji” oraz Magazynu Muzycznego RUaH. Zapraszamy też na naszą nową stronę:

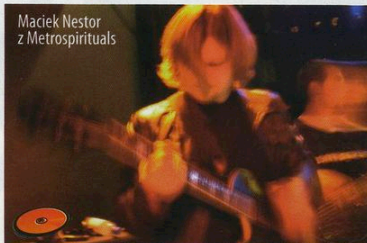
www.habarinjema.net ■



Cezary Paciorek

W czerwcu br. Trójmiejska Diakonia Muzyczna „Jezus żyje” nagrała piosni na płytę „Droga krzyżowa”. Poetyckie teksty rozważań do poszczególnych stacji napisał Tomasz Pohl, a muzykę do nich skomponował znany w Polsce akordeonista i pianista jazzowy, gdańszczanin - **Cezary Paciorek**. On też pokierował nagraniami materiału, w których udział wziął 30 osobowy chór oraz zespół muzyczny (Bernadeta Wujtewicz - skrzypce, Piotr Głuszyc - jamby, Rafał Waldoch - gitara, Cezary Paciorek - akordeon). Partie solowe zaśpiewała Ludwika Wujtewicz. Utwory powstały dla potrzeb Misterium, które od kilku lat odprawiane jest w wielkim Poście na wzgórzu Kalwarii Wejherowskiej. Na terenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego znajduje się

tam zabytkowy zespół pięknych kapliczek, które odwiedzają tłumnie młodzi, do nich też adresowana jest wspomniana muzyka. Obecnie trwają prace nad filmem dla TVP ukazującym Misterium. Dojrzeła też zamiar wydania go na DVD, choć muzyka ukaże się też, być może, na krążku CD. Jeden z utworów „Drogi Krzyżowej” prezentujemy na naszej płycie. ■



Maciek Nestor
z Metrospirituals

We Wrocławiu powstał niedawno zespół **Metrospirituals**. Tworzą go młodzi, ale doświadczeni muzycy jazzowi i funkowi: Jarek Moczulski (śpiew), Maciek Nestor (gitara, loopy), Łukasz Matyasik (bas), Łukasz Damrych (piano, instrumenty klawiszowe) i Paweł Ostrowski (perkusja). Muzyka grupy stanowi połączenie funku, soulu, jazzowych improwizacji i tanecznego pulsu. Metrospirituals stawia na bogate aranżacje i brzmienia nawiązujące do klimatu funk lat 70. Na koncertach formacja wzbogaca utwory o improwizacje i dialogi wokalisty Jarka Moczulskiego (znanego m. in. z zespołu Ruah) z publicznością. W swym repertuarze zespół posiada kompozycje, w których pojawiają się elementy religijne. Jeden z utworów grupy prezentujemy na krążku dodanym do naszego Magazynu. Więcej informacji o niej na stronie: www.metrospirituals.net ■



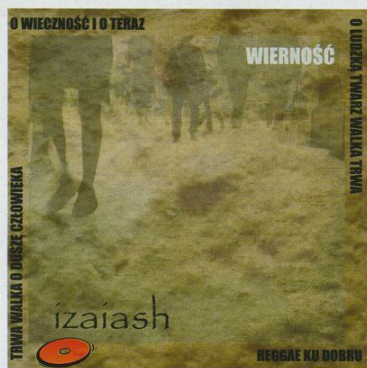
Studencki Teatr „ITP” z Lublina przygotował kolejną premierę. Tym razem jest to musical „Odyseja”. Opowiada on historię młodej dziewczyny (tytułowej Odysei), która szuka swojej miłości na różnych lądach, poznając m.in. Feaków, Kiklopów, Kirkę oraz Syreny. Choć spektakl rozpoczyna się w czasach starożytnych, większość obrazów rozgrywa się współcześnie. Opowieść wyjaśnia nam dlaczego historia dziewczyny nie przetrwała do naszych czasów (w odróżnieniu od przygód Odyszeusza), jaki w tym wszystkim mieli udział greccy bogowie i dlaczego zamiast sceny finałowej w Itace przenosimy się do... nie powiem, niech to będzie niespodzianka dla zainteresowanych. Choć temat jakby daleki od religijnego, możemy tu spotkać i Archaniołów, a nawet Jedyne Stwórcę... Fabuła jest intrygująca, a artystyczne rozwiązania, które proponują aktorzy śmieją i zastanawiają. „Odyseja”, to kolejna duża premiera Teatru po „Toaście”, „Historyi”, „Naszym Mieście”, „Raju utraconym”, „Józefie” i „Niebieskim Ptaku”, zrealizowana z większym niż dotychczas rozmachem. Na rozświetlonej kolorowymi światłami scenie występuje około 30 aktorów, słuchany ciekawych piosenek, oglądamy wspaniałe kostiumy, słyszymy dowcipne dialogi. Autorem scenariusza jest Marcin Wąsowski („Józef”), który podjął się również reżyserii całego spektaklu.

Muzykę skomponował Sławomir Badowski (muzyk - gitarzysta z Łodzi, grający w zespole Saruel), który razem ze Sławomirem Kuczkim oraz Kingą Bogacz przygotował też aranżacje chórne. Prace nad „Odyseją” rozpoczęły się w czasie warsztatów w Czarnej na przełomie sierpnia i września. Tam pod okiem Marcina Wąsowskiego, Kingi Bogacz oraz ks. Mariusza Lacha, twórcy i opiekuna Teatru, zaczęły powstawać zreżyżowane przedstawienia. Dalsze etapy przygotowań przeniosły się do Lublina. Premierowy spektakl w Auli KUL-u, w sobotę 5 listopada, publiczność nagrodziła owacjami na stojąco. Zespół Teatru przygotowuje się do trasy po Polsce. Więcej informacji na stronie Teatru: www.itp.kul.lublin.pl ■



Jacek Dewódzki
i Revoluca

Jacek Dewódzki - wokalista Dżemu w latach 1995-2001, zapamiętany za sprawą takich wydarzeń jak koncert „List do M”, „Dżem w operze”, supportowanie jedynemu koncertowi Rolling Stones w wolnej Polsce, muzyka do filmu „To ja złodziej”, artysta dysponujący jedną z najbardziej charakterystycznych barw wokalu w Polsce, nazywany przez niektórych polskim Joe Cockerem, ma nowy zespół, nowy styl i nową płytę... Najnowszy album zespołu Revoluca nosi tytuł „II”. Zawiera on 12 autorskich utworów mieszczących się w nowoczesnym nurcie rocka. Revoluca zaczęła swoją działalność w 2000 roku. W tym czasie zagrała kilkadziesiąt koncertów, występując na wielu prestiżowych imprezach. Jej skład zmieniał się i ostatecznie wykrystalizował się w 2003 roku. Od tego czasu zespół pracował nad materiałem na wspomniany album. Pierwszym singlem z płyty „II” jest utwór „Ja wiem, że wiesz”. ■



16 grudnia br. miała miejsce premiera drugiego krążka krakowskiego zespołu **Izaiah** zatytułowanego „Wierność”. Uderzająca aktualność i głębia słów właściwie w każdym utworze, to główne atuty tego albumu. Izaiah żyje na obrzeżach - prawie nie koncertuje. W „Wierności” zawarte jest całe, skoncentrowane na pragnieniu trwania przy Bogu i walce poprzez kulturę przesłanie („Polem walki jest kultura...”), znane z wakacyjnej płyty RUaH (R 31). Nagranie „Serce proroka” na niej zamieszczone wzbudziło szerokie zainteresowanie w środowisku muzycznym. Oto cała płyta mająca tego samego ducha! ■



mietek zawsze nowy

Kiedy w 1985 roku zaśpiewał w opolskim amfiteatrze, było pewne, że jego talent nie może przejść niezauważony... O tym, że jest świetnym wokalistą, autorem tekstów, kompozytorem i aranżerem – muzykiem w ogóle – dobrze wiemy. Jednak człowiek, którego znamy, to tylko część tajemnicy...

20 lat od opolskiego debiutu

z Mietkiem Szczęśniakiem
rozmawia Agnieszka Pająk

W tym roku minęło 20 lat od twojego opolskiego debiutu, od wygrania przez ciebie konkursu debiutów i otrzymania nagrody im. Anny Jantar...

Ale wiesz, to taka umowna rocznica. Bo między mną a Kukulską jest taka różnica, że ona mając 5-6 lat nagrywała płyty, a ja w moim rodzinnym Kaliszu śpiewałem na popisach rodzinnych oraz gdzie popadło, na przykład w klubie zakładowym „Ikar” z zespołem Ikary (śmiech)... Mam nadzieję, że to nie jest jakiś nomen omen. W 85 roku rzeczywiście dostałem w Opolu główną nagrodę w debiutach. Śpiewałem wtedy „Przyszli o zmroku” Krzesimira Dębskiego i Jacka Cygana. I to był przełom. Ale rok wstecz, w 84, robiłem już swoje pierwsze w życiu nagrania z wrocławskim zespołem Funk Factory.

Czy wspomniany utwór był napisany specjalnie dla ciebie i na tę okazję?

Nie, ta piosenka została napisana dla Grażyny Łobaszewskiej, funkcjonowała też jako instrumentalny przebieg zespołu jazzowego String Connection pod tytułem „Cantabile in h”. Cygan słyszał mnie gdzieś wcześniej i po prostu mi tę piosenkę dał.

W jaki sposób tak młody człowiek udźwignął wykonawczo i interpretacyjnie niełatwy przecież utwór? To przecież nie jest łatwa piosenka...

No nie jest łatwa, rzeczywiście. Ale wiesz, ja jestem z tych, dla których trudne rzeczy są super interesujące. To była dla mnie przygoda. Przeżywałem tę piosenkę, kładłem się i wstawałem z nią, myślałem o niej stale. No i przeszła przeze mnie. Myślę, że to jedna z najważniejszych moich piosenek, że to jest coś, co zostanie. Wcześniej śpiewałem tu i tam, ale to był prawdziwy początek. Śpiewałem dla dużej publiczności w Opolu, która była nastawiona bardzo zabawowo, jak to zwykle publiczność opolska (takie jest o niej ogólne mniemanie). Przeżyłem wtedy bardzo ważną lekcję: byłem debiutantem śpiewającym trudną piosenkę, a dostałem ogromne brawa i bisowałem. To mnie przekonało, że jeżeli mam coś ważnego do powiedzenia i jest to wartościowe – ludzie to odbiorą, może się to podobać i nie trzeba się podkładać. Tego doświadczyłem i przeszedł mi apetyt na tak zwaną szybką, kompromisową karierę.

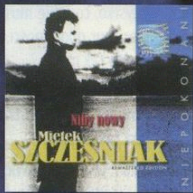
Gdybyś dzisiaj znów był w 85 roku, podjąłbyś te same decyzje związane z muzyką, które zapadły wtedy?

Wiesz, dla mnie to był niesamowity prestiż śpiewać kompozycję Krzesimira Dębskiego. Byłem fanem ze-

społu String Connection i znałem ją z koncertów. Kiedy dowiedziałem się, że mam to zaśpiewać jako debiutant, chłopak z Kalisza, wrażliwy młody człowiek, poczułem się tyle szczęśliwy, co stremowany. Myślę, że dla każdego, myślącego o muzyce, podkreślam – debiutanta (bo zdarzają się tacy, którzy myślą tylko o popularności, prawda? – ale to osobny rozdział i ci mnie nie interesują), to byłoby niesamowite wyzwanie i prestiż, dla mnie też. Ja się długo z tym mierzyłem, z decyzją – czy podołam. No, może nie długo (śmiech), ale, że tak powiem, głęboko. Mierzyłem się i przekonany podjąłem wyzwanie. Wyraźnie przekonany. Interesowała mnie zawsze muzyka i chciałem być nie popularnym piosenkarzem, tylko muzykiem, który śpiewa.

A gdyby ktoś ci zaproponował: *Mietek! Bądź wrażliwy, wierz tak jak wierzysz, ale przeżywaj to w swoim sercu, w swoim domu, wśród swoich przyjaciół. Po prostu twórz i śpiewaj piosenki o dobrych rzeczach, z miłą treścią, nie włączaj w nie jednak bezpośrednio Pana Boga i chrześcijaństwa – wtedy twoja muzyka na pewno będzie popularna i częściej grana w radio i TV! Nagnij się trochę!* – co byś mu odpowiedział?

Takiej opcji nie ma, choćby dlatego, że mam już swoją szufladę. Przez te 20 lat zawsze naturalnie szedłem za



tym, co było dla mnie ważne w życiu, w muzyce, za swoimi odkryciami i fascynacjami. I kiedy zacząłem śpiewać z New Life Music, to była kontynuacja rzeczy, które robiłem wcześniej jako młody człowiek śpiewający w kościele, najpierw w chóru dziecięcym, później w zespole młodzieżowym. Moja historia przypomina trochę historię murzyńskiego chłopaka, który „wyszedł z kościoła”, prawda? (śmiej). To była ta kontynuacja – raz, a dwa – świadomy wybór dwutorowości w działaniu. To znaczy, śpiewam w takim zespole, robię taki projekt i kontynuuję inny. Podobnie było, kiedy nagrywałem popowe piosenki, ale śpiewałem też program ze standardami jazzowymi. Nigdy nie wystarczyło mi ograniczanie się do jednej rzeczy. Nie wystarczyło mi pozostawanie w jednym środowisku, w jednym sposobie myślenia, w „owczym pędzie” na jakikolwiek temat. Od dziecka byłem indywidualistą i jestem nadal. I nie widzę, przynajmniej na razie, żeby to miało się zmienić. Myślę, że taki typ osobowości dostałem i Pan Bóg wiedział co robi. Mogę dzięki temu łączyć pewne rzeczy. Myślałem ostatnio, jaka jest moja sytuacja? Tzw. „święci” mówią, że ja jestem taki „nie-święty”, bo tak robię sobie co chcę i idę w tzw. świat, a ten świat z kolei mówi, że jestem „święty w tylek kopnięty”. I właściwie nigdzie nie pasuje, ale ja też nigdzie się nie pasuję, to nie jest moja ambicja ani chęć. Po prostu lubię ludzi dobrych

i mądrych, i nie wystarczy mi zdeklarowanie na jakiś temat, rozumiesz? Dobre intencje? Raczej dobre owoce. Zawsze bardziej obchodzi mnie Bóg niż człowiek, to, co jest wartościowe i dobre w praktyce, bardziej od tego, co jest tylko fundamentalne. Zawsze miłość, a nie racja. Być może to jest jakaś typowa opowieść o tzw. artyście – indywidualiście, ale taki jestem! Oczywiście dostaję różne baty od ludzi, *jeszcze się taki nie urodził... , tak?* Muszę słuchać Pana Boga i siebie, ponieważ nikt za mnie nie zrobi mojej pracy, a każdy ma inną radę. Myślę też o pewnym ograniczeniu, którego doświadczałem w chrześcijańskich środowiskach, o takim pseudoradykalizmie. Kiedy popularna była „Dumka na dwa serca”, przyszła jakaś chrześcijańska, wdarła się właściwie do garderoby i mówi przy wszystkich: *Ty odszedłeś od Boga, nawróć się bracie!* A ja mówię zaskoczony: *Ale dlaczego, co się stało?* Myślę sobie: *prorok czy co? Co rozeznała, gdzie mnie widziała* (śmiej)? A ona mówi: *Bo zaśpiewałeś, Dumkę...* Ja jej powiedziałem tak: *A ty co robisz w życiu, czym się zajmujesz?* Ona mówi: *No, chwilowo nie mam pracy, ale Pan mi ją da!* Ja: *A mnie już Pan dał, ja już mam swoją pracę, jestem piosenkarzem, muzykiem.* Odpowiedziałem jej najprościej jak mogłem odpowiedzieć i tak, żeby załagodzić sytuację. To jest dla mnie takie dziwne, takie dziwne... Dlaczego ludzie...? Jezus jest taki normalny, taki prosty. Ciekawe czy któryś z wielkich współczesnych chrześcijan, wszystko jedno – protestanckich czy katolickich, ktoś kto jest na piedestale, poszedłby do nocnego klubu rozmawiać z prostytutkami i złodziejami? Co by na to powiedzieli biskupi, choć może on sam byłby na przykład biskupem? A Jezus to zrobił! I ludzie byli na Niego święcie oburzeni, ludzie o dobrych sercach i takimże życiu. O co chodzi?! Wkradła się jakaś nienormalność. Coś, co karze człowiekowi trwać w hipokryzji, co nie karze patrzeć realnie na drugiego człowieka i na życie. Jakaś formalina. Kto tego uczy? Albo ten straszny podział w chrześcijaństwie, najprościej mówiąc – na prawosławie, na katolicyzm i na protestantyzm. Jasne, że ludzie muszą funkcjonować w doktrynalnych porządkach i to, w co wierzą jest święte, ale dlaczego, na Boga, ci ludzie ze sobą walczą?! Przecież mają tego samego Boga, Boga Abrahama, Boga Izaaka i Boga Jakuba, i tego samego Jezusa, z prawem miłości na sztandarze. To jest dla mnie proste. Nikt o tym nie mówi?

Mówi się o tym w podziemiach, wiesz...

No to już czas, żeby mówić w nadziemiach!

Pewnie, że tak. Przecież dokąd my idziemy? Do jedności!

Myślę, że naprawdę już minął czas, kiedy chrześcijaństwo skupiało się na podziałach. Cały świat jest przeciwko Bogu, Biblii, w tym jak postępuje, jak żyje, w co wierzy, w kulcie energii i użycia, prawda? Jest neopogaństwo, jest politeizm, jest magia, jest egotyzm. Człowiek nie chce się już niczego bać, no i się nie boi. W tej sytuacji nie ma się co kłócić. Jaki w tym sens, że prawosławni będą mówili o katolikach, że się odłączyli i są protestantami, a katolicy będą mówili o protestantach, że się odłączyli i są protestantami?! A Żydzi będą mówili, że całe chrześcijaństwo to są protestanci, bo się odłączyli (śmiej)! Co to ma być? Znam ludzi z różnych kościołów, przyjaźnię się z nimi, widzę ich życie i wiem, jak kochają Boga i ludzi. Bycie razem jest możliwe. Pod warunkiem, że naprawdę słuchamy Jezusa.

Może jesteś rodzajem mostu?

Mogę być, między starym a nowym pokoleniem, starym a nowym myśleniem, między różnymi denominacjami. Leży mi to na sercu. Bardzo! Ta droga jest ciężka, to jest wyzwanie. Dlatego, że żaden wiatr nie wieje mi

w plecy, żadna denominacja mnie nie popiera. Bo ja pójść do każdego księdza, który źle mówi o protestantach, i oczywiście, „w cztery oczy”, powiem mu, że to jest przeciwko prawu miłości. I to samo się zdarzy w zborze – pójść do pastora i powiem to samo, że nie chcę słyszeć nic złego o katolikach na kazaniu, bo to jest przeciwko prawu miłości i takie rzeczy w kościele nie mogą mieć miejsca! Robiłem tak wielokrotnie. Różne były reakcje – często, po prostu, posądzano mnie o zadzieranie nosa, czasem o fanaberie artysty, wiesz... Ale zdarzało się, że słuchali. Jeżeli racja jest przed miłością, to zaczyna się kiepszczina. Tego Jezus nie uczył.

Wróćmy do twojego debiutu i tego co wydarzyło się później. Dużo się działo. W 87 roku udział w Festiwalu „Jazz Jamboree” z zespołem Walk Away i grupą Sławomira Kulpowicza, w tymże roku – rozpoczęcie studiów na katowickim Wydziale Jazzu i Muzyki Rozrywkowej. Śpiewanie do muzyki filmowej. W 89 roku nagroda główna – Bursztynowy Słowik i Nagroda Dziennikarzy na Festiwalu piosenki w Sopocie. Złota Płyta, „Miasta Muzyki” – Nashville, w USA. Pierwsze miejsca na Festiwalach: „Złoty Orfeusz” w Bułgarii, „Intertalent” w Austrii, na Festiwalu w Cesme w Turcji...

To właściwie nie miało znaczenia gdzie one były – bo to takie państwa-miasta (śmiej)... To były międzynarodowe festiwale na dobrym poziomie, były nagrody i dobra konkurencja. Trzeba było śpiewać z orkiestrami, dla bardzo różnej publiczności zagranicznej – na przykład nobliwa Austria. A Turcja? – Wielki amfiteatr wykuty w skale, gdzie ludzie bili brawo za melizmaty w środku piosenki. Zupełnie inne kultury muzyczne, inne podejście. No i rzeczywiście wygrałem cztery festiwale, wtedy byłem młody i zdolny. Okazało się, że nawet miałem nagrać płyty zagraniczne, miałem robić karierę... Ale nie było wtedy w powszechności faksu (śmiej). A te propozycje do biura dyrektora sopockiego przyszły faksem. On je wyrzucił do śmieci. Dowiedziałem się o tym po roku dopiero... przypadkowo. Miałem nagrać płyty po angielsku w Austrii i Turcji. A w Turcji to był total, bo oni uwielbiają muzyków, noszą ich na rękach, płyty sprzedają się w milionach egzemplarzy. Miałem również... Miałem mieć (śmiej) propozycję od zespołu Modern Talking, bo ktoś chciał ze mnie zrobić komercyjne dzwado, ale ja w ogóle nie chciałem patrzeć w tamtym kierunku. No, takie to były czasy.

Jakie były dla Ciebie te lata, czy był to czas zgłębiania muzyki? A może uczyłeś się wtedy funkcjonowania na rynku muzycznym, który dla artysty, szczególnie młodego, nie zawsze jest przychylny?

Wiesz co, ja nigdy nie uczyłem się funkcjonowania na rynku. Kiedyś sprzedawałem dziadkowi jabłka na rynku, wiesz (śmiej)? To była jedyna moja nauka funkcjonowania na rynku, że trzeba sprzedać wszystkie jabłka (śmiej). Natomiast jeśli chodzi o muzyczne rzeczy, to wybierałem utwory, które mi się podobały, z których chciałem wyciągnąć wszystkie soki – z kompozycji, z harmonii, z improwizacji, z grania na żywo z muzykami, którzy improwizują. To była naturalna kontynuacja rozwoju. Nie miałem żadnego menagera, nie zabiegałem o popularność pokazując się w różnych masowych programach typu „Idol” itd. Pierwszą płytę nagrałem właściwie dopiero po pięciu latach od debiutu, ponieważ zaczęły powstawać prywatne studia i ktoś mi zaproponował jej nagranie. A przez 5 lat nikt nie chciał mi jej wydać. Wtedy były tylko „Polskie Nagrania”, „Poljazz” i coś tam-coś tam. No, po prostu, nie chcieli. Mimo, że nagrywałem dużo piosenek do radiowego archiwum,

WSTAWIŁAM
MIAŁO WYWIADY
MIAŁO WYWIADY

nie były one spełnieniem moich marzeń. Chociaż teksty pisałi Osiecka, Cygan, a komponowało je wielu dobrych muzyków. Żyłem od propozycji do propozycji. Taki czas. Zdawałem na studia i za pierwszym razem nie przyjęli mnie do Katowic. Chciałem iść do wojska, ale ludzie mi nie pozwolili, kazali mi składać papiery gdzie indziej i byłem na pedagogice przez 2 lata. Wtedy dużo śpiewałem – na „Jazz Jamboree” z zespołem Walk Away. Mieliliśmy sporo koncertów, nagrywaliśmy i występowałem z Lorą Szafran.



uoi, co ty uo to

Ze Sławomirem Kulpowiczem w takim międzynarodowym składzie, w melanzu muzyki jazzowej z hinduską. Śpiewałem na festiwalach muzyki współczesnej, różne rzeczy robiłem. Bardzo różne. Przygodziłem się z muzyką, z wdzięcznością pasjonata.

A studia?

W 87 już się tam dostałem. No i to była wielka uczta – poznanie muzyki i odkrywanie tego, co się dzieje między nutami, niuansy rytmiczne, szukanie barw, ekspresji, ćwiczenie, granie z muzykami, pierwsze improwizacje. No i odkrywanie wielkich ludzi w muzyce, analizowanie ich, naśladowanie... Zdałem sobie sprawę, że muzyka jest niezwykłym darem, że jestem za nią wdzięczny... Że wielu było, jest i będzie lepszych ode mnie. Ale mam swoją historię, którą mogę po swojemu opowiedzieć, korzystając z tego bogactwa. Nauczyłem się nie zadziierać nosa, że tłum dzisiaj klaszcze temu, a jutro tamtemu, że trzeba przemierzyć swoją drogę, inwestować w rozwój, w doświadczanie rzeczy, które się zmieniają i będą zmieniać. Naturalnym dla mnie było połączenie dźwięków, umiejętności, z wdzięcznością dla Pana Boga. To dla mnie przywilej – dać te najlepsze rzeczy nie dla siebie, ale z wdzięczności – dla Niego.

Czy był w Twoim życiu czas, kiedy muzyka była najważniejsza?



Seet + vea

Nie, muzyka nigdy nie była dla mnie najważniejsza. Może cię zdziwi i może rozczaruję (śmiech). Ja, wiesz, od dziecka miałem jakby przecucie, a teraz mam pewność, że nie ma nikogo i niczego ważniejszego od Boga. Czasem było mi to niewygodne, ale pewność zostawała.

Może nie wszyscy wiedzą... Dlaczego teraz, kiedy jesteś zawodowym, uznanym, czołowym polskim wokalistą, w zeszłym roku postanowiłeś podsumować i dopełnić swoje studia dyplomem?

Tak, bo je przerwałem. Miałem jeszcze parę egzaminów i napisanie pracy. No i wróciłem, żeby skończyć, co zacząłem. To było marzenie mojego dziadka, którego jestem imiennikiem i od którego dostałem siłę życia.

On zawsze chciał żebyem skończył te studia. To jest też znak mojego dojrzenia jako człowieka, mężczyzny. Miałem taki czas, że postanowiłem dokończyć rzeczy, które kiedyś zacząłem.

Po wszystkich wymienionych wyżej festiwalowych wydarzeniach, w 1990 roku, ukazała się firmowana Twoim nazwiskiem płyta „Niby Nowy” (jej reedycja pojawiła się w roku 2002)...

„Niby Nowy” – dobry tytuł. Justyna Holm napisała wszystkie teksty. Ona to dobrze wyczuła, bo rzeczywiście byłem „niby nowy”. Niby wszystkim znany, niby zdolny, ale bez płyty, bez posłuchu, bez żadnej estymy i ze strony krytyki czy ludzi, zresztą do tej pory tak jest, wiesz? Ludzie mnie nie rozpieszczają. Myślę o jakimś środowisku muzycznym, czy o dziennikarzach muzycznych, radiowcach... Nikt mnie nie zachęca: *Nagraj płytę! Czekamy na Twoją płytę! Jesteś świetny! Pokaż coś, podziel się!* Albo to w ogóle

do mnie nie dociera. Wszystko, co robię muszę krzesać z siebie i przechodzić przez mur obojętności, przez jakąś samotność. A może każdy tak ma...?

No właśnie, czy nauczyłeś się jakoś z tym funkcjonować, z tą samotnością? To jest jakiś trud...

Trud jest właściwie zawsze, bo każdemu się wydaje, że co innego powinno być niż jest. I przychodzi moment niepewności – *Może oni mają rację, może nie potrafię się zdystansować?*, i tak dalej... Właściwie, zamiast pomagać, jeszcze, po prostu, przeszkadzają. Wiesz, tworzenie muzyki to jest praca zespołowa i bardzo dużo zależy od tego z kim się pracuje, kto jak zagra, jak się zgra to wszystko, jakie będzie brzmienie. A później jeszcze, jakie będą okładki, jak to zareklamują, co powiedzą, gdzie cię puszcza. To jest po prostu milion zależności.



Ni by nowy



Grażyna Łobaszewska



K. RACZYŃSKI

Milion. Nie te rzeczy, których by się chciało najbardziej, tylko te, które ich zdaniem są najbardziej nośne. Wiesz, to takie... To jest dziwne. Ale myślę, że jeszcze gorszym zawodem jest zawód aktora, tam jest jeszcze więcej zależności. Sumując – ja kocham muzykę, ale trudno jest kochać ten zawód. Właściwie, przyznam się szczerze, że nie kocham tego zawodu. Kocham muzykę.

Na płycie „Niby Nowy” nie Ty jesteś autorem tekstów i muzyki... Czy mimo to czujesz, że ona jest Twoja?

Wiesz co, to jest taka opowieść na tamten czas. W 90. roku byłem taki „niby nowy”. To była piosenka o Murze Berlińskim, że on padł, ale ludzie niegotowi... itd. Byłem rzeczywiście „wolny dziki”, nie chciałem się z nikim i z niczym wiązać. Po trosze mi to zostało, tylko może w mądrzejszym sensie? Wiele tam jest opowieści o mnie. Tyle, że to się bardzo postarzało, głównie brzmieniowo. To nie są żywe instrumenty, które zawsze brzmią szlachetnie.

Potem były recitale ze standardami jazzu, bluesa i muzyki gospel. No i płyty jak najbardziej autorskie: w 97 roku płyta „Raduj się świecie” z fantastycznie zaaranżowanymi koledami, zachowująca ich nastrój i piękno. W 98 roku subtelna i bujająca „Czarno na białym”. W 2000 roku, różnorodna, kolorowa pod względem stylistycznym, brzmieniowym i nie tylko – „Spoza nas”...

„Raduj się świecie” była chyba najbardziej chętna. Później było „Czarno na białym” i „Spoza nas”. Zobacz, jak mało płyt nagrałem przez tyle lat...

Ale za to jakie!

Ja wiem...? Można było dużo różnych i dobrych rzeczy nagrać, naprawdę.

Może będzie jeszcze na to czas...

Może będzie, może nie będzie – wszystko jedno. Ale pomysłów mam wiele.

Jak, w odniesieniu do tych płyt, określiłbyś obszary muzyczne, w których najbardziej lubisz się poruszać, najlepiej się czujesz?

Trzeba odróżnić to, czego słuchasz, od tego, co się lubi uprawiać. Ja nie wiem skąd, z Kalisza będąc, dostałem takiego rodzaju muzykalność, że rytm, ekspresja, kompozycja, harmonia, improwizacja i wszystkie inne składowe muzyki soul, funky, gospel – zachwycały mnie. I się tym inspirowałem. Ale doskonale zdaję sobie sprawę ze swoich ograniczeń, biały człowiek nie może śpiewać jak czarny człowiek, tak jak żółty nie może śpiewać jak czarny, albo biały jak żółty i odwrotnie. Są różnice w fizjologii, w budowie, to jest naturalna rzecz i do tego się trzeba przyzwyczaić. I czasem to zajmie człowiekowi pół życia (śmiech), wtedy zaczyna się szukanie swojej drogi. Ja jeszcze tej drogi nie znalazłem muzycznie. Jeszcem na etapie...

Naprawdę?!

...oczywiście, mam jakąś twarz. Ale ona jeszcze nie jest wyraźna. Jestem na jakimś tropie. Coś... Mam nadzieję, że dojdę, że mi się uda (śmiech)! Na razie robię taką muzykę z „elementami”. Generalnie, są to piosenki pop z „elementami”. Ale gram też koncerty ze standardami jazz, soul, blues, gdzie śpiewam swoje najbardziej ulubione. Chodzi mi też po głowie przetwarzanie poetyckich piosenek... Ostatnio nagrałem „Jesienną zadumę” Eli Adamiak. ...Rzeczywiście tak jak księżyc, ludzie znają mnie tylko z jednej... jesiennej strony.

Słyszałam ją 17 września podczas koncertu w Gliwicach.



Lora Szafran i Mietek

Tak? Mam taki pomysł, żeby nagrać płytę z „krainy łagodności” – w innych aranżacjach. I najchętniej bym się już teraz za to wziął, ale muszę dokończyć coś, co powinno wyjść trzy lata temu. To „przenoszone dziecko” wychodzi mi już... uszami (śmiech). No, trzeba dokończyć, co się zaczęło. No i co z tym etapem...? Ja po prostu lubię naturalnie, jak każdy muzyk, sięgać po wyraźne gatunki, takie jak na przykład bossa nova, jak funky, ballada jazzowa, żeby inspirując się nimi, stworzyć coś łączliwego z popem. Miałem taki pomysł, najbardziej na płycie „Czarno na białym”, żeby moje fascynacje czarną muzyką połączyć z melodią jakby słowiańską. „Jakby” – mówię. Piosenka „Tu (Smoszew)” jest jednym z moich cichych osiągnięć. Gdyby ją ktoś spróbował przeanalizować muzycznie, wiedziałby o czym mówię. To moje koncepcyjne, konkretne myślenie. Jestem w drodze...

Przez te lata rodziły się i rozwijały też różne przyjaźnie muzyczne i nie tylko... Chciałabym żebyś powiedział o Lorze Szafran i Grażynie Łobaszewskiej, jak one wpłynęły na Ciebie i Twoją muzyczną drogę?

Takie spotkania zawsze ubogacają, jeżeli są na dodatku przyjaźniami! No, Lora wprowadziła mnie w swój świat, w świat kobiety, w świat jazzowej wyobraźni, w klimat, nastrój, barwę w muzyce. Z Grażyną czas był trochę inny, polegał na fascynacji podziałem i traktowaniu go w konkretny sposób. Grażyna jest wyjątkowa, nasza

ziemia rzadko wydaje taki owoc jak Łobaszewska – ten rodzaj talentu: niezwykle poczucie rytmu i niezwykle feeling, barwa głosu, błyskotliwość w prowadzeniu frazy, w śpiewaniu po polsku. Ona w odróżnieniu od wielu – nie transakcentuje, zawsze śpiewa świetnie po polsku, dzieląc niemilosiernie trafnie. Jej frazy muzyczne są dla mnie fascynujące. Uczyłem się na niej śpiewać. Myślę, że jeśli chodzi o Polskę, od nikogo nie nauczyłem się więcej.

Wśród tych wszystkich muzycznych projektów i wydarzeń, przyszedł w Twoim życiu moment, który chyba też stał się jakimś początkiem, ważnym rozdziałem. Rok 1992. Co się wtedy stało?

Chodzi ci o New Life 'M?

W ogóle o tamten czas. O New Life 'M też, później, ostatecznie.

No tak, to właściwie się zaczęło od New Life 'M. Czas moich świadomych wyborów w dorosłym życiu. Wcześniej się uczyłem, fascynowałem, obmamywiałem. No, nie znałem życia, normalnie jak każdy młody człowiek. A wtedy zacząłem... To się stało przez muzykę, czyli dla mnie – jedną z najważniejszych rzeczy w życiu. Zaproszenie do New Life 'M spowodowało, że musiałem wziąć odpowiedzialność za słowa, które śpiewam. Musiałem podjąć jakieś...

No, bo coś w Tobie też się stało...

Tak, tak. Mówię o pewnym konglomeracie zdarzeń. Ja wybierałem, dojrzywałem, decydowałem, co jest dla mnie ważne w życiu. Wiedziałem, że to musi być jakaś konstrukcja, myślałem, że zależna od tego, jak ja sam wybuduję. Nawet, jeżeli miałby być na górze Bóg! Zorientowałem się, że ta woda jest znacznie głębsza... I nawet, jeżeli po niej chodzę, to kiedy zdarzy mi się zanurzyć, nie osiągnę dna... Nie wiedziałem, że to możliwe, by bardziej ufać Bogu niż sobie. Żebym ja podążył, a nie ścigał Boga do tego, co już zrobiłem. Pewnie wielu ludzi wie o czym mówię, bo sami to przeżyli. To rzeczywiście decydujący moment, kiedy człowiek jakby rezygnuje z wolnej woli, a jednocześnie korzysta z niej jak nigdy. Zaczęłem patrzeć na Boga jak na Rzeczywistość, a nie jakiegoś Kogoś, gdzieś w niebie... No i dopiero wtedy jąłem na serio czytać Biblię. Zobaczyłem, że jest źródło, że można bardziej ufać Bogu niż człowiekowi, niż sobie. Że to w ogóle możliwe... No i zacząłem doświadczać swoich prywatnych, drobnych cudów. A jeżeli się doświadcza, to wiesz – już nikt ci tego nie zabierze.

W 92 roku odbyły się rekolekcje w Dursztynie, później w Ludźmierzu. I New Life Music... Te wszystkie wydarzenia były chyba bardzo ze sobą powiązane?



New Life Music, Toruń, S.o.S. Festiwal 1998

K. SŁOWIK



Mówisz o Spotkaniach Muzyków? Tak, one zaczęły się od prób New Life Music. Myśmy się spotkali w Dursztynie, żeby robić program. Była z nami jeszcze wtedy Ewa Uryga. I zjechało się paru ludzi, muzyków, plastyków, kilku znajomych znajomych. Tak sobie siedzieliśmy i gadaliśmy na tematy, które nas interesowały, najbardziej te biblijne. Ludzie byli na różnych etapach, więc rozmowy były różne, kwadratowe i podłużne (śmiech). Wieczorami graliśmy dla ludzi ze wsi, przychodzili, modlili się z nami. I wtedy musiałem pokonywać swój wrodzony wstyd. Bo ja słono płacę – myślę o tremie – za to moje śpiewanie.

Właśnie tam czułeś tremę?

Po raz pierwszy wykonałem akt strzelisty pod tytułem: *Chcę żebyś Ty działał, a ja będę tylko narzędziem*. No i zostało mi to dane, to był jeden z tych drobnych cudów.

...których nikt Ci nie odbierze :-)

Tak. Po prostu został ze mnie zdjęty ciężar, taki lęk przed oceną publiczności i muzyków, oraz surową samooceną.

Bez Ciebie te rekolekcje dla muzyków, zespół New Life 'M i inne grupy, na pewno nie byłyby takimi jakimi były, jakimi są do dzisiaj...

Coś jest w tym byciu mostem... Myślę, że przyłożyłem się trochę do Spotkań Muzyków przez to moje śpiewanie (śmiech). Bo powstało coś nowego, coś, co zatoczyło, wiesz... To wypuściło na wolność zjawisko grania i śpiewania w różnych gatunkach, na dobrym poziomie – dla Pana Boga. No i eksplodowało.

Był zatem New Life 'M, jest New Life 'M. Czym ten zespół był dla ciebie na początku istnienia? Ważne spotkanie, pierwsze koncerty, pierwsze reakcje ludzi. i czym jest dzisiaj? Czy nadal jest jakąś koleżeńską relacją, a może wspólnotą...?

Wspólnota nie, wspólnota opiera się na innych rzeczach. New Life 'M, to było zjawisko naprawdę wyjątkowe, ponieważ Pan Bóg je sobie tak wymyślił (śmiech), że ludzie tak bardzo różniący się charakterologicznie, muzycznie, różniący się doświadczeniem i sposobem

życia, patrzenia na świat, sposobami poznawania tego świata itd., będą w jednym teamie, i że przez zgodę na bycie posłusznymi naczyniami, po prostu rozlegnie się woń! Dobrze powiedziałem: ROZLEGNIE SIĘ WON, bo nie dźwięk, tam – woń dźwięku! Dla każdego z nas to była szkoła podejścia do muzyki, do Boga i przede wszystkim – do drugiego człowieka. Spotkały się osobowości, które musiały się ze sobą zetrzeć. I myślę, że w tak zwanych „normalnych warunkach”, to by nie miało szansy istnienia. Nauczyłem się, że jeżeli przed naszymi charakterami, racjami (bez względu na to czy mamy rację, czy nie), zdolnościami, koncepcjami, jeżeli przed tym jest Bóg, to ludzie mogą się spotkać i robić razem wiele pięknych rzeczy. Że takie wyzwania należy podejmować. Jeżeli ludzie na serio traktują Boga, to nie ma takiej możliwości, że się nie dogadają! Nawet, jeżeli to miałoby trwać tylko jakiś czas, nie przez całe życie, zrobią to z nadadkiem. Tak myślę. No i pokłosisiem New Life 'M jest moje przyjaźnienie się z Marcinem Pospieszalskim, który produkował moje płyty. Hmm... To była przygoda, taka uczniowsko-apostolska, tak jakby Jezus wziął nas na parę lat na czeladnictwo, wiesz. Wiele się uczyliśmy, no i... spaliśmy gdzie bądź, graliśmy gdzie bądź, na czym bądź – ze sprzętu (śmiech).

Jedliśmy co bądź :-)

...jedliśmy co było. I myślę, że to jest jedna z najpiękniejszych rzeczy, jaka się może zdarzyć artyście – robienie czegoś z czystej intencji, rzeczy dobrych artystycznie, zmieniających życie odbiorców i wykonawców na lepsze. To była cenna szkoła dawania i brania, grania w małych salkach i w dużych filharmoniach, dla wielu, wielu. Nieraz nie pamiętam ludzi u których spałem, z którymi jadłem. Dlatego, że myśmy każdego dnia byli w innym miejscu, spotykali innych ludzi. Wszystko było syte modlitwą, chęcią służenia i żeby pójść dalej i lepiej jeszcze. Życzę tego każdemu.

A Deus Meus? Jak to się zrodziło? W zeszłym roku odbyliście wspólną trasę koncertową. Czym są dla ciebie te koncerty?

To było chyba już na trzech Spotkaniach Muzyków. Deus Meus śpiewali swoje pieśni, a ja wyszedłem na scenę żeby improwizować, muzykowaliśmy sobie razem. Wpadliśmy na pomysł, żeby to nagrać. Pierwsze nagrania były robione w kościele w Szczecinie, a'capella. Ja stałem trzy kroki przed chórem, stałem więc bliżej mikrofonu i było mnie słychać (śmiech). A później ojciec Bujnowski z Marcinem wymyślił, że to trzeba jakoś uinstrumentalnić, no i powstał pomysł na „Hej Jezu”.

Czy zeszłoroczna trasa Deus Meus i koncerty w tym roku, to są jakieś powroty, czy konsekwencja tamtego czasu?

Jeżeli powroty, to w utworach, które są z płyty „Hej Jezu” i „Mój Jezus”, ludzie je wszędzie znają i śpiewają fajnie. Ale ten zespół istnieje i nagrywa nowe rzeczy. z Deusami, czy z TGD współpracuję ciągle, na każdej ich płycie coś nagrywam. Na nowej płycie Deusów pod tytułem „Jahwe” nagrałem dwie piosenki, więc na koncertach śpiewamy piosenki ze wszystkich płyt.

Cieszysz się tymi koncertami?

Bardzo się cieszę, bo ich uwielbiam. Bardzo, bo jest to dobre muzycznie, to dobry materiał i jest odbierany bardzo dobrze. A na dodatek, jeszcze jest... potrzebny ludziom w zbliżeniu do Pana Boga, bo się tym modlą. To jest dla mnie rodzaj rekolekcji.

Było i jest bardzo wiele projektów, które współtworzysz: TGD, Et In Terra, Full Power Spirit (jeśli chodzi o muzykę wykonywaną przez artystów chrześcijan). Chciałabym zapytać jeszcze o Amenband i o twoją przyjaźń ze zmarłym niedawno Andrzejem Cudzichem...

Podobnie było z zespołem Amenband Andrzeja Cudzicha... Pokochałem jego płyty i jego muzykę, po prostu. Andrzej przyjechał na któreś Spotkania Muzyków, wcześniej graliśmy razem. Ja miałem też program ze standardami jazz, soul, blues. Później zaprosił mnie do Amenband i tak się poznaliśmy bliżej. Zawsze go lubiłem i rozumiałem. i jego sposób myślenia o muzyce

był mi bliski. A na płycie, gdzie nie mogłem nagrać piosenek, bo już były nagrane, to chociaż chórki nagrałem (śmiech). Powiem ci, że z płyt chrześcijańskich, które powstały w Polsce, najczęściej słucham Amenbandu, modlę się nimi, wzruszam się. Dają mi przestrzeń.

A sama przyjaźń z Andrzejem, ta relacja, jaka była?

Ja się z Andrzejem nie przyjaźniłem, tylko kolegowaliśmy. Ten ostatni czas nas bardzo zbliżył. I to nie będzie nadużycie, jeśli powiem, że zacząłem się z nim przyjaźnić. Ja myślę, że nieuchronność, która wiązała się z jego chorobą, dała nam taką możliwość. Raz, że się lubiliśmy wcześniej, dwa, że mieliśmy do siebie zaufanie, trzy – ta choroba udrożniła nam spotkanie i dowiedzenie się więcej o sobie.

Udrożniła, prawda?

Udrożniła, tak. Nikt z nas nie jest łatwy. Z muzykami jest tak, że muszą całe życie pracować, pracować i pracować, wiesz... Nie żyją tak jak inni ludzie, jak inne dzieci, młodzież itd. I rzeczywiście trudno nie być skoncentrowanym na sobie – całe życie musisz być skoncentrowanym na instrumencie, na tym, żeby dobrze go opłynać i dobrze to przekazać ludziom. Koncentracja na sobie jest jakby naturalna, ona się często przekłada na życie niestety, czy stety, nie wiem. Jest w tym jakaś nieuchronność. I wiesz, porozumieć się, otworzyć na siebie, zaufać – to jest rzecz niezwykła. Ja myślę, że w logice Bożej miłości jest miejsce na konfrontację – czy bardziej Mu wierzysz i ufasz, czy bardziej spodziewasz się, że da ci to, czego sobie życzysz. W przypadku Andrzeja, to było zdrowie. Ponieważ ja temu towarzyszyłem, byłem przekonany, że On to zdrowie musi dać. Ale plan Boży jest znacznie szerszy niż nasze myślenie. Wiem to ze swojego doświadczenia, z umiierania mojego dziadka. I z moimi doświadczeniami w umieraniu młodych ludzi, dla których grałem w szpitalach onkologicznych – to byli wierzący ludzie, którzy przychodzili na takie spotkania z księdzem, ja tam grałem i śpiewałem, rozmawiałem z nimi. Śmierć i choroba też czemuś służy, komuś służy... Czasem widzę, że udrażnia pewne rzeczy w człowieku, w jego najbliższych i w dalszych też. Sens śmierci jest znacznie większy niż nasze uczucia, niż nasze zrozumienie sytuacji, i trzeba zadać pytanie: czy Bogu ufam i wierzę w Jego logikę, czy po prostu wymagam, i jeśli nie dostanę czego chcę, obrażę się na Niego i rozżalę się... nad sobą. Przecież tego człowieka, który odszedł, to już nie dotyczy, on jest w lepszym miejscu niż ja. Czyli tak naprawdę ubolewam i wyrażam Bogu ze względu na siebie. To rozumiałem. Wiele z Andrzejem rozmawialiśmy też o sensie muzykowania i o muzyce w ogóle. O tym, co warto. I, o... wiesz, że warto być wiernym sobie. To przywilej – towarzyszyć komuś w odchodzeniu, zobaczyć jak się zmienia na lepsze i lepsze, aż do nieba... Że to jest możliwe.

Każdy z nas prędzej czy później będzie musiał doświadczać takiego odchodzenia kogoś bliskiego. Także przez ten wybór zaufania Bogu albo skupienia się na tym czego chcę i rozżalenia...

Ja nie mówię o smutku. Bo smutek ma swoją funkcję i został dobrze wymyślony. I człowiek ma prawo do smutku. Ale po co wyrażać pięścią, jeżeli się ufa Bogu? On wie co robi.

Wróćmy jeszcze do twojej solowej, autorskiej drogi muzycznej. Po wydaniu płyty „Niby Nowy” powstały jeszcze trzy wspomniane wcześniej, no i płyta „Kiedys” z serii „Złota Kolekcja”. Co jest przyczyną powstawania kolejnych płyt – wymagania rynku muzycznego, potrzeby fanów, czy po

prostu przychodzi specjalny czas – kiedy coś się zdarza, coś przeżyjesz, o czym przy pomocy muzyki będziesz chciał opowiedzieć?

Tak, tylko tak.... Ja nigdy nie robiłem czegoś na zamówienie czy pod gust, niezgodny z moim. Są tacy, którzy mają gust podobny do mojego, więc śpiewam dla nich na przykład (śmiech). A jeżeli inni się załapią, no to fajnie. Jednak podstawowe jest, co ja myślę, co przeżywam, jakie mam doświadczenia, w tym muzyczne. No i wtedy kiedy to jest gotowe... .

Wydaje się, że na twoich płytach nic nie dzieje się przypadkowo. Czy ważna jest dla ciebie na przykład kolejność utworów na płycie?

Pieczolowicie układam kolejność piosenek, żeby jedna po drugiej tworzyły opowieść. Myślę uporczywie o tytule każdej z nich i o tytule płyty, która jest zwykle podsumowaniem kolejnego etapu. A każda z piosenek to jakaś cegła, jakaś część tej budowli.

Twoje płyty zawsze są spójną opowieścią...

Tak, choć z pozoru mogłoby się wydawać, że nie. Pod tym względem jestem perfekcjonistą.

Skoro mówimy o powstawaniu płyt, oczekujemy na kolejną... Wiemy już, że nie będzie na niej kitu, że będzie dobry wykonawca, dobra muzyka i dobre vibracje. Mieliśmy tego przedsmak podczas ostatnich Festiwalu w Opolu i Sopocie.

Na takich festynach festiwalowych preferuje się piosenki, które są najłżejsze. Zwykle nie mówią o stylu, nastroju całości, ale mogą być najbardziej nośne. Na płycie, takie piosenki pełnią pewną funkcję, są cegiełkami. Mam roboczy tytuł... Bo napisałem piosenkę, którą nazwałem „Naiwni”. Chciałem zrobić laurkę dla ludzi, o których tzw. świat mówi: na i w n i. A ja ich nazywam – „zwykły cud”. Tak zwani „nawni” mogą wierzyć w cud zamiast tych, którzy nie wierzą. Bo dla nich cud jest zwykły. A płyta być może będzie się nazywała „Zwykły cud”. Myślałem też o tytule „Strefa Miecza” (śmiech), ale wywołuje to zgoła inne skojarzenia... A może powinienem ją nazwać „Przenoszone dziecko”... (śmiech)? Mam taką chęć, żeby złapać chwilę i je opisać, ośpiewać. Tak było na płycie „Spoza nas”, gdzie zaśpiewałem piosenkę, na którą ludzie zwykle nie zwracają uwagi, ona jest bardzo ważna. Dość mroczna... czyli nietypowa dla mnie. Nazywa się „Śnić - nie śnić”. Ona jest po – i przed pewną piosenką, pełni konkretną funkcję.

Ta płyta będzie więc kontynuacją prób „uchwylenia momentów”...?

To będzie jakaś kontynuacja „Czarno na białym” i „Spoza nas”. I właściwie ten tryptyk się zamknie. Myślę, że zacznie się nowy etap. O, widzisz, dlatego właśnie pojadę ją dokończyć (śmiech)!

Możemy dowiedzieć się czegoś o tekstach, kompozycjach, stylu i o muzykach, których zaprosiłeś do współpracy? No i oczywiście o tym, kiedy ta płyta będzie dostępna dla słuchaczy?

Ona powstaje, więc na razie wszystko mamy w komputerze, większość... Dwie piosenki Mirka Stępina z moimi tekstami to te, które były w Opolu i Sopocie: „Naprawdę dość” i „Chyba na pewno”. No cóż, na razie siedzimy z Piotrkim Kominkiem w jego studiu i wymyślamy aranżacje i brzmienia.

Czy oprócz kolejnej płyty planujesz w najbliższym czasie udział w innych projektach muzycznych?

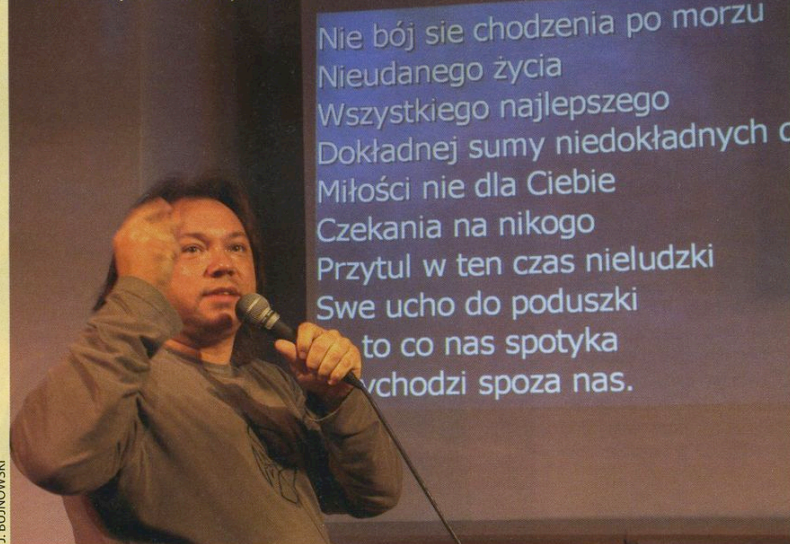
Od paru lat chciałem nagrać „Mesjasza” Haendla po polsku. Jacek Cygan zrobił tłumaczenie. To jest gotowy materiał, tylko nie mam z kim tego zrobić, nie ma pieniędzy i ochoty na wydanie tego materiału. Bo to pewnie troszkę by czasu i pieniędzy zabrało. Kiedyś mecenasami były instytucje kościelne, ale teraz już nie są. A szkoda, bo powstawało wtedy wiele pięknych i ważnych dla kultury i sztuki dzieł i dziełek. To jest raz, a dwa – kiedy skończę tę płytę – od razu biorę się za realizację następnego pomysłu. To będą piosenki poetyckie, których mam wiele ulubionych i chciałbym je zrobić po swojemu.

Trzykrotnie otrzymałeś Fryderyki, w 98, 99 i 2001 roku w kategorii Wokalista Roku. Wielu uczy się od ciebie. Od kogo ty uczyłeś się śpiewać lub kim się szczególnie fascynujesz?

Jestem beceremonialnym fanem Grażyny Łobaszewskiej i Czesława Niemena. No i słucham bardzo wielu czarnych wykonawców. Uwielbiam głos Donny Hathaway’a, czas Billy Withers’a, ekspresję Raya Charles’a, muzykalność Steviego Wondera... i wielu innych, od których ciągle się uczę.

Słuchasz tylko wokalistów świetnych warsztato? A może zdarza się, że wolisz posłuchać kogoś nienajlepszego technicznie, ale szczerego w przekazie?

Gródek n/Dunajcem, Strefa Chwały 2005



J. BUJNOWSKI

Tak, wielokrotnie tak jest! Tak, tak! No, jeżeli jest coś co mnie frapuje, to jestem w stanie poświęcić niedogodności estetyczne. Myślę, że najważniejsze jest przesłanie. Czasem się zdarza, że nie wokalista, a świetni instrumentalniści skupiają uwagę. Nie przepadam na przykład za brzmieniem głosu Erykah Badu, ale bardzo cenię ją jako muzyka i szefa świetnego zespołu i słucham jej płyt z chęcią.

Czyli – w przekazie, kluczowa jest prawda?

Tak. Podobnie jest z muzyką, którą nazywa się u nas „z krainy łagodności”, czyli z poezją śpiewaną. Wielu takich wykonawców słucham i uważam, że są świetni, mimo że posługują się inną estetyką. Chowają się w nich inne rzeczy. Wojtek Jarociński, który gra w Wolnej Grupie Bukowinie jest moim zdaniem przednim poetą i charyzmatycznym wokalistą. Mimo, że w sensie technicznym, nie ma niesamowitych możliwości głosowych. Ale świetnie oddaje to, co śpiewa, wierzę mu. Albo nasza niezwykła, polska syrena – Antonina Krzysztoń – wszystko, co robi jest piękne i ważne.

Wielu ludzi uważa, że jako wokalista jesteś obdarzony szczególnym namaszczeniem, umiejętnością prowadzenia ludzi w modlitwie, poruszania w nich najczulszych strun. Czy masz tego świadomość i czy doświadczasz w związku z tym szczególnego poczucia odpowiedzialności za przekaz, za odbiorców?

Świadomości mam o tyle, o ile ludzie mi o tym opowiedzą, po koncercie na przykład. Bo kiedy śpiewam koncerty uwielbieniowe, to – wiesz, jestem w środku. Ja sobie nie zdaję sprawy, nie stosuję metod, które mają jakoś działać. Po prostu jestem w środku zdarzenia.

Gdy masz już tę świadomość, przychodzi jakaś szczególna odpowiedzialność?

Poczucie przyzwoitości karze mi być przygotowanym, czystym i prawdziwym. Wiem, że nie mogę się zastanawiać nad większością oczekiwań, bo nie byłbym sobą. Śpiewanie dla Pana Boga albo o Panu Bogu jest czymś tak intymnym, że już samo to, że robi się to publicznie jest jakby niestosowne... Właściwie przed ową, w cudzysłowie, niestosownością chroni to, że człowiek odcepia się od siebie i staje się jakby medium, naczyniem, którego On może na ten czas używać. Ja się nie zastanawiam, co powinienem zrobić – po prostu daję się prowadzić.

Za co – za jakie wydarzenia, doświadczenia ostatnich 20 lat jesteś najbardziej wdzięczny Bogu?

Bogu... Wiesz, jestem wdzięczny za świadomość, że muzyka jest czymś niezwykłym i dodanym do niezwykłości stworzeń, wszechświata. Takim bonusem. Później za to, że dostałem zdolności, żeby ją przyswajać i przetwarzać po swojemu. I później, że dostałem trochę oleju do głowy, przynajmniej na tyle, żeby po prostu podziękować, nie zadzierać nosa z tego powodu, że jakiś talent się dostało. Umieć być wdzięcznym, że to mój zawód, że normalnie mogę

pracować, mogę z tego żyć. To wielkie szczęście, nie każdemu to się udaje.

A ludziom...?

Nauczyłem się jednej rzeczy – jestem wdzięczny za każde dobro w spotkaniu z człowiekiem. Czasem jest głęboko przyspane, ale jest! Mam świadomość, że każdy z nas potyka się o samego siebie, a co dopiero o drugiego... Pan Bóg występuje incognito, kiedy zdarza się tzw. przypadek. I rozumiałem, że to nie ludzie zmieniają nasze życie. Tylko nasze zaufanie Bogu kieruje nasze stopy tak, żeby z tymi ludźmi pójść dalej. Ja nie mówię o braku wdzięczności... Mówię o odkryciu – to nie ludzie zmieniają nasze życie. To Bóg przez nich. No, jestem szczerzy – tak myślę.

A czy myślisz, że twoim głównym powołaniem jest bycie wokalistą?

Tego nie wiem. Przeważam nowy rozdział w moim życiu, który się otworzył ze dwa lata temu. Niepewność na ten temat. Między innymi, dlatego tej płyty nie mogę skończyć (śmiej). ... Bo straciłem pewność, wiesz?

Dlatego, że pojawiły się inne rzeczy...?

Nie. Właśnie nic się nie pojawiło. Na razie to jest tylko przecucie, ale ja to znam. Ja znam ten stan. I wiem, że dokądś prowadzi. Nawet się tego obawiam...

Obawiasz się?

No... każdej zmiany się obawiam, jak zwykły człowiek. Wiesz, jeżeli większość życia, żyło się w przeświadczeniu, że jest się do czegoś przeznaczonym i nagle ta wiara zaczyna się chwiać... Ja nie mówię, że to nie będzie związane z muzyką, chodzi o środek ciężkości. Na razie nie wiem co to jest, przypatruję się i szukam, rozważam i proszę o wyjaśnienie.

Ten wywiad ma jedynie zaznaczyć pewien jubileusz. Niczego nie zamyka i nikogo nie podsumowuje. Dlatego pytam na koniec o twoje marzenia i plany, niekoniecznie muzyczne...

No właśnie, marzenia mi się też zaczęły zmieniać! Bo ostatnio miałem parę marzeń takich zawodowo-życiowych... Pierwsze – żeby nagrać „Mesjasza”, to mi się nie udało. To już trzeci rok... Bo potrzebuję wielu

ludzi, którzy za tym pójda... Więc na razie się to nie udało. Chciałem też być rodzajem „sprawcy” spotkań dla młodych wokalistów uzdolnionych, którzy śpiewają muzykę r'n'b, soul i różne takie, nie lansowane w mediach, a po prostu dobre. Gdzie nie zwraca się uwagi na to, jak kto wygląda albo jak tańczy, tylko jak śpiewa i co śpiewa. Nie, czy to się sprzedaje, tylko czy to jest dobre. Wiesz, miałem takie marzenie i taki plan. I próbowałem w jednym miejscu, w drugim. Ale też mi się to nie udało... jakoś. Nie wiem, czy z powodu dobierania złych ludzi, czy może, nie wiem, z powodu braku siły przebicia(śmiej)? A może po prostu musiałby się tym jakiś manager zająć konkretnie? No, nie wiem. W każdym razie, to na razie spełzło na niczym. Nie mówię, że do tego nie wrócę. Chciałem też stworzyć miejsce twórczo-twórcze. Myślałem o swoim rodzinnym mieście, o Kaliszu, że zaadaptuję budynek, gdzie by się to mogło dziać. Jako, że jestem nauczycielem interpretacji piosenki w Kaliszu – to jest filia Uniwersytetu Poznańskiego i często tam bywam – chciałem coś zrobić dla ludzi z rodzinnego miasta. Wiem, jakie ja miałem kiedyś potrzeby. Miało to być miejsce, gdzie by się mogła spotykać młoda inteligencja, młodzi twórcy ludzie, taki przedział od liceum do studiów, a reszta, jeżeliby chciała, to proszę bardzo. Żeby robić dla nich warsztaty, pokazy, zapraszać twórców, robić cykliczne wykłady, umożliwiać im występowanie, robienie prób itd. Ale niestety, nie sprzedano mi budynku. Nie wiem, nie wiem dlaczego... Nie miałem tylu pieniędzy, żeby kupić po komercyjnej cenie, a tylko tym Urząd Miasta był zainteresowany. No i tyle. Ale jednego jestem pewny. Że modliłem się i wszystkie te trzy rzeczy wyraźnie Bogu oddawałem. Miałem wielkie nadzieje na ich spełnienie, każdej z nich. I mimo pewności i energii... zawsze mówiłem: *Jeżeli to nie jest od Ciebie, to zamknij mi drogę!* No i jak mi się wydaje, zostały zamknięte. Przynajmniej na ten czas... Jestem ciekawy, co będzie dalej, sam jestem ciekawy... No i jeszcze ta płyta poetycka, bardzo już bym ją chętnie nagrywał (śmiej). No i marzę, żeby być lepszym, niż jestem. ■

rozmawiała Agnieszka Pajk

S.o.S. 2005

W. PIVNIK



Hallelu Jah w Bułgarii

D Z I E N N I K P O K Ł A D O W Y

Czwartkowe przedpołudnie, 14 lipca 2005 roku. Dzwoni telefon. Na wyświetlaczu widzę, że to Tomek z Diakonii Ewangelizacji wspólnoty Hallelu Jah. Już wiem, że coś ważnego, ale pierwsze pytanie: „Czy mógłbyś jechać z nami do Bułgarii i grać na basie z *Czterdziestoma*?” totalnie mnie zaskakuje. Tego się nie spodziewałem. Wyjazd planowany był na wieczór 22 lipca. Czuję gdzieś wewnątrz, że oto „dokonują się rzeczy nowe”. Zawsze chciałem być tam, gdzie Bóg działa, więc decyzja mogła być tylko jedna – JADE!

Tak rozpoczęła się dwutygodniowa przygoda ewangelizacyjna. Zanim opowiem z dokładnością kronikarza o doniosłych wydarzeniach tamtych dni, chciałbym uczynić kilka uwag. Relacja „dzień po dniu” jest zapisem dokonany tuż po powrocie z Bułgarii i Czech. Od tego czasu minęło kilka miesięcy, które poukładały i uporządkowały wewnętrznie moje przeżycia. Ludzie, którym głosiliśmy, byli w znacznej mierze zaskoczeni i nieprzygotowani na tego typu manifestację religijną. Wielu księży zwracało nam uwagę, że w Bułgarii nie spotyka się zewnętrznych wystąpień. Wiara jest prywatną sprawą każdego człowieka, a życie publiczne ma być neutralne światopoglądowo, co w praktyce oznacza jedno – ateizm. Przy każdym dniu postaram się opisać reakcję słuchaczy. Zapraszam do lektury...



Jacek Jureczko

Dzień 1 – niedziela (24.07)

5:30. Jesteśmy w końcu na miejscu w Sofii. Trzydzieści długich godzin w samochodzie i jeszcze więcej rozmyślań o tym, co mnie tam czeka. Jestem w najgorszym położeniu z całej ekipy, najpóźniej dołączyłem i nie miałem pojęcia o panującej w Bułgarii kulturze, o historii chrześcijaństwa w tym kraju, a nawet o pogodzie. Na miejscu poczułem się jednak jak u siebie w Polsce... tylko 15 lat temu. Sofia, stolica Bułgarii. Pierwszy przystanek w naszej pielgrzymce. Ten dzień prawie w całości przepaliśmy, wstając tylko na wieczorną mszę świętą. W parafii św. Józefa pracuje polski ksiądz! Liturgia po bułgarsku, ewangelia po polsku. Na szczęście, Eucharystia tak samo sprawowana jak u nas, więc nie było trudno zrozumieć, co jest treścią modlitw. Po mszy spacer, wieczorna modlitwa i oczekiwanie na pierwszy dzień koncertów ewangelizacyjnych. Podczas wieczornej modlitwy gram na przypisanym mi instrumencie i zdaję sobie sprawę... mogę nawalić.

Dzień 2 – poniedziałek (25.07)

Wstajemy jeszcze zmęczeni podróżą. Wszyscy czujemy narastającą radość i niepewność co do dzisiejszego koncertu. Chcemy dać z siebie wszystko na chwałę Boga. Andrzej Dziewit animował nasze modlitwy i głosił słowa zachęty. Zmęczenie nie pozwala mi jeszcze cieszyć się wyjątkowością miejsca i czasu, a Andrzej już „poczuł klimat”. Zaprawia nas do boju, zachęca, motywuje. Będzie to robił przez wszystkie dni. Osobiście bardzo tego potrzebowałem. Po modlitwie wspólnotowej czas na „namiot spotkania”. Po obiedzie zaplanowaliśmy wszystkie próby – pantomimy, muzyki. To moja pierwsza próba z całym zespołem. Jakże się bałem! Czy dam radę? Skończył się bez troski czas przygotowań i cmokań zachwyty mojej kochanej żony. Nadszedł czas, którego się obawiałem. Pierwszy koncert ma się odbyć w Parku Południowym w Sofii o 20.00. Miejsce piękne, ale widownia niepewna. Kto

przyjdzie? CZY W OGÓLE KTOŚ PRZYJDZIE? Uświadamiam sobie, że do Pana należy czas i miejsce. On chce zbawić Bułgarów, On chce umacniać swój Kościół – naszą rolą jest tylko dać siebie do dyspozycji. Te myśli mnie uspokajają, przestają się bać porażki i pustego parku.

Koncert przebiegał dobrze, ludzie też dopisali. Jak to wyglądało? Najpierw mozolne podłączanie sprzętu. Nagłośnienie ustawia Robert, który dwoi się i troi, by wszystko grało tak jak należy. Rzutnik i ekran – tu przodu je Tomek. Cała wspólnota zaangażowana jest w szybkie i sprawne przygotowanie sprzętu. Rozpoczynamy półgodzinnym koncertem, by zachęcić ludzi do oderwania się od spacerów w innych częściach parku. Wszystkie teksty wyświetlane są na ekranie w języku bułgarskim. To ważne. Widzowie wiedzą, o czym śpiewamy. Następnie pantomima zatytułowana „Breakout”, a po niej świadectwo Marcina tłumaczone na żywo na język bułgarski. Ludzie zasluchani. Nigdy nie brali udziału w takim widowisku. Widać, że nie spodziewali się czegoś jeszcze poza muzyką. W dalszej części gramy kolejne utwory, by przerwać kolejno na pokaz „zionięcia ogniem”, scenkę „Misterium” oraz orędzie Dobrej Nowiny głoszonej przez Andrzeja Dziewitę.

Atmosfera staje się coraz bardziej modlitewna. Andrzej zachęca ludzi do dokonania wyboru Jezusa, a my gramy „Dwie drogi”. Ludzie mają czas na chwilę zastanowienia. Bułgarski tekst śpiewanej piosenki nie pozwala oderwać myśli od konieczności wyboru: *Wybieraj, wybieraj, wybieraj jedną z dróg... Bułgarzy zaczynają podchodzić, kłękają koło Andrzeja, a my ogłaszamy: Tylko Jezus, tylko Jezus, tylko Jezus Panem jest!...* Kończymy po godzinie dwudziestej drugiej. Część wspólnoty zwiija sprzęt, inna część modli się z miejscowymi. Trzeba ładować... Ruszamy do naszego miejsca noclegu, by udać się na odpoczynek. Podczas wieczornej modlitwy odczuwamy ból

tej ziemi. Bułgaria wcześniej niż Polska przyjęła chrześcijaństwo, ale komunizm w dużej mierze przetrzebił wyznawców Jezusa. Ludzie umierali za swoją wiarę. Jako Polacy wiemy, co to walka o niepodległość, co to tradycja ojców i przywiązanie do Kościoła. Potrafimy współczuć Kościołowi w Bułgarii. Jesteśmy tu po to, by umacniać, zachęcać, budować i nawoływać do odnowy wiary.

Dzień 3 – wtorek (26.07)

Postanowiliśmy „poczuć duchowy klimat Bułgarii” i udaliśmy się w podróż do monasteru w Rile. To miejsce Jan Paweł II uznał za duchową stolicę tego kraju. Piękne ikony. Każdy modli się sam odkrywając „inne” chrześcijaństwo. Krótki spacer i powrót do Sofii na drugi koncert. Tego wieczoru gramy w bardzo nietypowym miejscu – w ogródku piwnym. Właściciel liczył na dodatkowych klientów... My też! z jednym wyjątkiem – my głosiliśmy wolność od narkotyków, wolność od uzależnień. Był to – w moim odczuciu – najmocniejszy koncert. A wszystko to przez poprzedzające go wypadki. Podczas przygotowania sprzętu naszemu perkusiście Januszowi zniknął samochód. Szok, zdziwienie, bezradność. Na pewno ukradli! Okazało się jednak, że samochód stał w niedozwolonym miejscu i został odtransportowany na policyjny parking, z tego powodu koncert opóźnił się o godzinę i zostało nam tylko 60 minut... Ale czy godzina na koncert i na orędzie to nie za mało? NIE! Pan działa! My mieliśmy dodatkową motywację do grania, a Darek (świadectwo) i Andrzej (orędzie) do głoszenia. Wiedzieliśmy, że Pan zniweluje działanie złego, a my będziemy jeszcze bardziej umocnieni. Tak też się stało. Po koncercie razem z grupką Bułgarów pojechaliśmy na miejsce naszego noclegu. Podziękowaliśmy Panu za Jego dobroć i miłość. To nasza ostatnia noc w Sofii.

Podczas koncertu spotykaliśmy się z niechęcią niektórych „klientów”, których wieści o Jezusie niepokoiły i wprawiały w zakłopotanie. Jak wiemy z doświadczenia... jest to działanie Pana, który działa na sumienia. Walka duchowa toczyła się, a my byliśmy narzędziami w rękę Pana Zastępów. Pamiętam, że cały czas towarzyszyła nam pewna wróżka, która chciała nam pomóc w głoszeniu. Przypomniał mi się św. Paweł, który pewnego razu zmagał się z duchem wieszczym reklamującym jego głoszenie. Żadna pomoc, ale doskonały sygnał, że „ktoś” się boi naszego głoszenia.

Dzień 4 – środa (27.07)

Tego dnia mieliśmy grać w Plewen, ale miejscowe władze nie wyraziły zgody. Drzwi zamknięte... Postanawiamy grać tam, gdzie będziemy nocować – u ojca Stanisława w Asenowie. Bierzymy udział w wieczornej mszy, potem kolacja i koncert. Nie ma dla nas znaczenia miejsce, chcemy ogłaszać wielkie dzieła naszego Boga! Na koncert przyszła cała katolicka część wioski. Starzy i młodzi, dorośli i dzieci. Dobra atmosfera, wspaniałe





przyjęcie, choć sąsiedzi starali się nam przeszkadzać. Naszą obecnością umacniamy naszych braci i siostry. Na marginesie dodam, że w Plewen znajduje się tylko jedna kaplica rzymsko-katolicka. Nikt nie domyśli się gdzie...? W piwnicy jednego z bloków.

Dzień 5 – czwartek (28.07)

Rano spotkanie modlitewne, a potem wyjazd do Bardarskiego Gerana. Jedziemy w wielkim upale dwieście kilometrów. Ku naszej radości o. Zbigniew Karniewicz (franciszkanin) odprawia dla nas Eucharystię w naszym języku! Pierwsza taka msza w Bułgarii. Scenariusz podobny jak w inne dni: koncert, świadectwa i pantomimy. Andrzej głosi orędzie. Scenariusz taki sam, ale działania Boże ciągle świeże i nowe. Zawsze jesteśmy zaskakiwani. O ile w Sofii był najlepszy koncert (muzycznie), o tyle tutaj przeżywamy prawdziwą radość razem z miejscowymi. Dzieci tańczą, ludzie się modlą. To wspaniałe doświadczenie widzieć ludzi modlących się w Bułgarii. Wbrew pozorom, to nie takie powszechne. Po koncercie modlimy się jeszcze nad małą grupą młodzieży z miejscowej parafii, która stanie się zaczynem. Powrót do Asenowa. Na miejscu jesteśmy w pół do drugiej nad ranem. Po pracy czas na odpoczynek. Ostatnia noc w tym jakże gościnnym miejscu.

Dzień 6 – piątek (29.07)

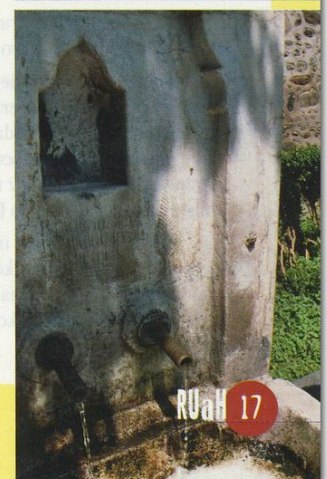
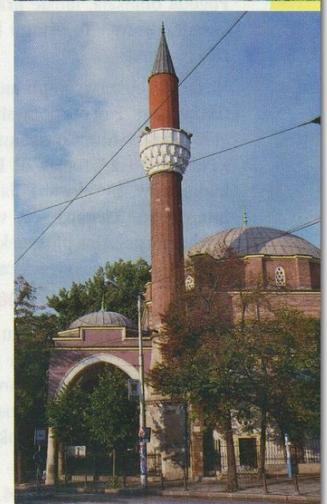
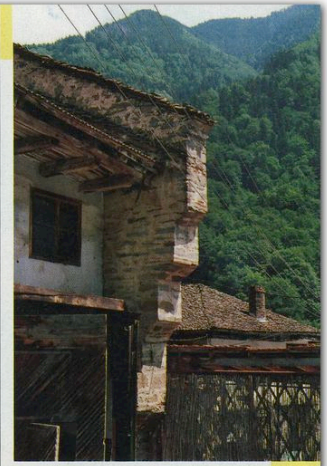
Teraz jedziemy do Szumen. Wyjeżdżamy przed południem, by zdążyć na koncert, który ma się odbyć w stutysięcznym mieście. Władze zgodziły się na „świecki” koncert pod hasłem „Wolność od narkotyków”. Docieramy do miasta na tyle wcześnie, by zdążyć zjeść tzw. obiad. Tutaj poznajemy ojca Jacka Wójcika CR, z którym spotkamy się jeszcze w Warnie. Szumen to placówka mu podległa. Znajduje się tu kaplica. Ilu katolików może być w takim stutysięcznym mieście? Ojciec mówi, że na niedzielne msze chodzi stale ta sama grupa 25 osób! Trudno nam sobie to wyobrazić... Koncert rozpoczęliśmy bardzo ostrożnie (takie mieliśmy zamiary), ale z czasem przestaliśmy się krępować świeckością naszego kon-

certu: Marcin i Darek odważnie obwieścili swoje świadectwa. Jak zwykle Andrzej ogłosił wolność w Jezusie. Nocowaliśmy u siostr benedyktynek, gdzie poznaliśmy byłego proboszcza z Bardarskiego Gerana (36 lat posługi w tamtejszej parafii). Tym razem słuchaczami była głównie młodzież z dwulitrowymi butelkami z piwem. Tym bardziej świadectwa o wolności w Chrystusie były na czasie. Po koncercie kilka osób podeszło by porozmawiać. Twierdzili, że nie wiedzą nic o Jezusie, że nie znają żadnej alternatywy poza zabawą z alkoholem. Jakie to smutne. To nie sianie, to wbijanie się w suchą, od lat nie poruszoną glebę. Oby Pan wylał swój deszcz, zwilżył tą ziemię, poruszył swym Duchem...

Dzień 7-8 – sobota-niedziela (30-31.07)

Teraz wyprawa do Malko Tarnowa, małej miściny położonej niedaleko tureckiej granicy. Przed nami kilkugodzinna jazda w upale... Boli, ale warto. Docieramy – jak zwykle – na granicy przyzwoitości. Szybka kolacja i koncert. Tutaj przeżywamy wspólnotowy kryzys. Mamy już dosyć wszystkiego. Na domiar złego mało ludzi na ewangelizacji i nikt nie wychodzi do modlitwy. Jutro niedziela, planowaliśmy w nocy jechać do Warny, by grać na dwóch mszach św., ale ojciec Lucjan Bartkowiak CR, prowadzący parafię greko-katolicką prosił, byśmy nie popelniali tego szaleństwa – zwłaszcza, że zapowiedział już nasz udział w przedpołudniowej Eucharystii. Mieliśmy nadzieję na wolny dzień w Warnie, a tu zostajemy... Pogłębiło to nasz wewnętrzny, wspólnotowy kryzys.

Zostaliśmy... Bolało, ale cóż? Po mszy świętej i posiłku ruszamy w dalszą drogę. Ciągnęło nas do morza. W Warnie byliśmy około szóstej wieczorem i od razu poszliśmy na plażę. Baaardzo potrzebowaliśmy tej chwili. Ciepła woda w morzu – jak wiadomo – pomaga wyjść z kryzysów. Tak więc wieczorna modlitwa była pojednawcza – przepraszaliśmy Boga i siebie za swoje humorki. Ja ciągle miałem „dola”...





Dzień 9 – poniedziałek (1.08)

Poranna modlitwa poprzedzona dobrym śniadaniem, a potem plaża! Nawet nie wiedziałem, jak bardzo „cielesny” jestem. Trzy godziny w wodzie i poobiednia drzemka odnowiły moje siły. Po południu nad Warną rozszalała się gwałtowna burza. Czy koncert się odbędzie? Czy ludzie dopiszą? Kolejna lekcja od Pana Boga – On jest organizatorem! Pogoda dopisała, ludzie przyszlizli... Graliśmy, świadczyliśmy... To ostatni koncert w Bułgarii.

Niedaleka burza wygoniła ludzi z plaży wprost nasz występ. Pan ma pomysły! Sporo widzów, głównie turystów. Co ciekawe, byli też ludzie z Polski, i to z Wrocławia! Ile trzeba zrobić kilometrów, by głosić Polakom. To bardzo interesujące: ciekawe, czy w Polsce również słuchaliby polskich piosenek o Bogu..? Za granicą chłonimy nasz język całym ciałem.

Dzień 10 – wtorek (2.08)

Rano Eucharystia w języku polskim – drugi raz! Teraz długa droga do Koprivsztica (nie mogę tej nazwy wymówić), gdzie mieliśmy przenocować po raz ostatni w Bułgarii. Docieramy po 22:00. Szybki sen, bo o 5:30 pobudka i jazda do Czech....

Dzień 12 – czwartek (4.08)

Przed 10 rano jesteśmy w Trutnowie (Czechy). Ile godzin jechaliśmy? Sporo...

O 12:00 obiad, a po obiedzie spanie do 17:00. To już finisz. Ostatni koncert, ostatnia ewangelizacja i do domu. Obsada jednego samochodu postanowiła przenocować, a trzy inne po koncercie planowały już mały – w porównaniu z całą trasą – skok do Polski.

Tego wieczoru ręce nam marzły. Szok termiczny. 14 stopni to wszystko, co pokazywały termometry. Byliśmy już na tyle zgraną ekipą, że wiedzieliśmy, co do kogo należy. Minął

krzys i aż żał było kończyć. Zapomniałem dodać, że przed koncertem mieliśmy przywilej uczestniczyć we mszy świętej. Po ośrodku Andrzeja kilku młodych ludzi zostało, by się z nami modlić. Ksiądz nie znał tych osób, nie należeli do grona praktykujących. Jakże wielką radość z nawrócenia grzeszników.

Na koniec...

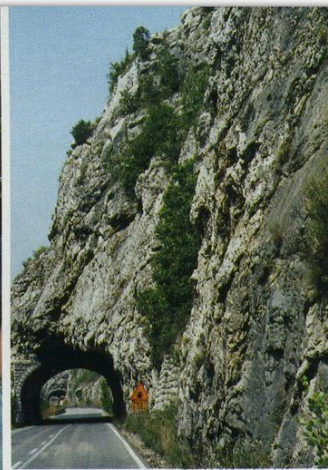
Dwutygodniowy wyjazd misyjny został zorganizowany przez charyzmatyczną wspólnotę katolicką Hallelu Jah (www.hallelujah.pl) przy współpracy i czynnym uczestnictwie zespołu 40i30na70 (www.czterdziestu.pl).

Ze strony bułgarskiej zostaliśmy zaproszeni przez: o. Jacka Wójcika CR z parafii św. Michała Archaniola z Warny, Caritas Sofia. Osobą, która wszystkiego doglądała, jeździła, tłumaczyła, zatawiała, troszczyła się o nas była Darina Kaykowa. Dzięki jej zaangażowaniu nasz wyjazd do Bułgarii doszedł do skutku. Tłumaczka tekstów zespołu na bułgarski to Blagovesta Natheva. Na scenie (świadectwa, pantomimy, zapowiedzi) towarzyszyła nam i tłumaczyła nas Darina, bez której nie byłibyśmy zrozumiani przez Bułgarów.

Dla mnie było to bardzo znaczące wydarzenie. Każdy z nas poświęcił swój prywatny urlop, by uczestniczyć w niezwykłym czasie głoszenia Dobrej Nowiny o Jezusie Chrystusie. Drodzy, wspomnijcie w waszych modlitwach Bułgarię, księży pracujących w tym kraju (jest ich tam tylko 67!), jak i trwających w wierze braci i siostry.

Zapraszamy do pobrania z u/w strony teledysku „Czterdziestu”, który został nakręcony w Bułgarii. Materiał będzie dostępny do lutego 2006. ■

Jacek Jureczko





TU ES PETRUS



Tegoroczny Festiwal w Sopocie wygrała piosenka „Niech mówią, że to nie jest miłość”, której styl trudno jednoznacznie określić. Zaprezentowano ją na komercyjnej imprezie. Wzbudziła powszechne zainteresowanie i zachwyty, reprezentuje zatem świat muzyki rozrywkowej. Potwierdza to jej tekst, w którym pojawiają się typowo kolokwialne sformułowania, jak „fotki” czy „radowanie byle czym”, jak również teledysk utrzymany w konwencji typowej dla kultury pop: ona – młoda, zakochana, on – przystojny, zdradza ją i zostawia.

Po takim wstępie można by sądzić, że piosenka ta nie różni się specjalnie od innych, typowo festiwalowych. Gdy przyjrzymy się jej jednak bliżej, wyraźnie widzimy, że napisano ją z myślą nie tylko o tej mniej wymagającej części publiczności, zadowolającej się miłą, koniecznie łatwo wpadającą w ucho melodią i nieskomplikowanym tekstem. Czym więc różni się ona od innych i co spowodowało, że stała się numerem jeden nie tylko Festiwalu, ale i przebojem lata 2005 w Polsce? Otóż – utwór ten wyraźnie sytuuje się na pograniczu kultury wysokiej, do jakiej należy muzyka poważna, a do której zaliczamy formę oratorium (z niego wywodzi się w ogóle piosenka) i kultury popularnej reprezentowanej przez muzykę rozrywkową. Łączenie różnych elementów jest zazwyczaj zjawiskiem ciekawym i budzącym zainteresowanie, jego popularność doszła zatem do swojego apogeum. Co też ważne – przesłanie piosenki trafiło do wielu młodych ludzi. Chodzi w nim o to, że Bóg stworzył nie tylko zmysłową, ale „romantyczną miłość” i jest z nami gdy ktoś nas zostawił i gdy cierpimy. Słuchacz odkrywa, że prawdziwa miłość może istnieć wbrew temu, co mówią o niej dookoła. To odkrycie prowadzić może z kolei do pragnienia szukania Boga i poznania Go, takim, jakim jest naprawdę. Piosenka „Niech mówią, że to nie jest miłość” pochodzi z oratorium „Tu es Petrus” dedykowanego Janowi Pawłowi II, zbudowana podobnie do tych, które słyszy się w radiu, przyciąga uwagę, skłania, by sięgnąć dalej, posłuchać dalszej części dzieła, zawierającego Boże słowa – fragmenty bardziej i mniej znane, osadzone w naszych czasach. Jezus jest przecież wciąż żywy, dlaczego więc nie mówić o Nim w sposób aktualny i emocjonujący? Nie jest postacią, która istniała tylko tysiące lat temu, a wiara to nie przeżytek przeznaczony dla ludzi zmęczonych, starszych, którym w życiu już nic nie pozostało. On jest obecny tu i teraz. Jak mówi sam autor libretta – „*Tu Es Petrus*” to poetycka opowieść o trzech najważniejszych tajemnicach tego świata. Te tajemnice to Tajemnica

Stworzenia, Tajemnica Krzyża i Tajemnica Miłości. „Tu es Petrus” to jednocześnie poetycka opowieść o trzech największych problemach XXI wieku. Te problemy to głód obok bogactwa, wojny w opozycji do pokoju i nienawiść w ludzkich sercach obok pragnienia ładu serca. „Tu Es Petrus” to poetycka opowieść o następcy Piotra – Janie Paule II, któremu przyszło w swoim życiu i pontyfikacie zmierzyć się z powyższymi kwestiami. O Papieżu, który podążył drogą Ukrzyżowanego i z pokorą poniósł krzyż cierpienia, krzyż życia, krzyż wiary i krzyż bólu.

Przysłuchując się całemu oratorium, w mniejszym już stopniu odnaleźć można wpływy muzyki rozrywkowej, chociaż wyraźnie slychać, że nie jest to także czysta muzyka poważna. Sopotka piosenka wylamuje się wyraźnie, choć trudno uchwycić granicę, w którym miejscu to następuje. Wszystkie utwory łączy wspólna tematyka, ci sami soliści, ponad 100 osobowy chór, orkiestra symfoniczna, a także wspaniała aranżacja, ciekawe rozwiązania melodyczne i harmoniczne. Wszystko to jest zasługą głównego pomysłodawcy, a zarazem kompozytora i dyrygenta – młodego i utalentowanego Piotra Rubika (por. www.rubik.pl).

Niedawno w sprzedaży pojawiła się płyta DVD z oratorium zaprezentowanym w Amfiteatrze „Kadzielnia” w Kielcach 14 maja 2005 roku. Dużą rolę w odbiorze koncertu odgrywa tu oprawa pozamuzyczna. Scena znajduje się na tle skał, podkreślających sens tytułowych słów: „Tu es Petrus”. Przed rozpoczęciem kolejnych części, aktor Igor Michalski, recytuje fragment z Biblii lub słowa Ojca Świętego stanowiące wprowadzenie do tematyki danej pieśni. Swoisty urok ma też tekst libretta autorstwa Zbigniewa Książka, czasem poetycki i liryczny, czasem dosadny i kolokwialny. Podobnie jak muzyka, tchnie on radykalizmem. Brak tu letniości i półśrodków.

Muzyka, nawet w kantylenowych momentach, jest bardzo przejrzysta i konkretna, nie mówiąc o dynamicznych fragmentach, gdzie dążenie do punktu kulminacyjnego następuje przy wykorzystaniu wszelkich środków muzycznych (dynamika, harmonia, artykulacja, kolorystyka). Efekt potęguje także wykonanie – każdy artysta naprawdę przeżywa to, co śpiewa. Widoczne jest pełne zaangażowanie w dzieło, oddanie całego siebie, wręcz zatracenie się. Nie mówię tylko o solistach, ale o chórzystach i instrumentalistach. Nie wiem, jakie są przekonania większości artystów, ale to, jak śpiewają o Bogu, ma wymiar ewangelizacyjny. Są bardzo przekonujący i trafiają do większości swych odbiorców. ■

Katarzyna Cudzych



PIOTR PAŁKA – absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie (1999), dyplom z wyróżnieniem w klasie dyrygowania prof. Marty Wierzbieniec. W marcu 1998 roku został laureatem VII Ogólnopolskiego Konkursu Dyrygentów Chóralnych w Poznaniu, zdobywając II miejsce oraz dwie nagrody specjalne: za najlepsze kształtowanie wokalne śpiewu zespołowego i za najlepszą metodę pracy z chórem.

W roku 1998/99 otrzymał Stypendium Ministra Kultury i Sztuki za wyróżniające osiągnięcia w nauce. Od 1998 rozpoczyna ożywioną działalność artystyczną w Krakowie. Tu pracuje jako dyrygent wielu zespołów, m. in. Chóru Międzynarodowego, Chóru Muzyki Żydowskiej, Chóru Seminaryjnego Zgromadzenia Księża Misjonarzy i Michaelitów, Chóru ZPiT Krakowiaczy i Scholi Braci Mniejszych Kapucynów. W czerwcu 1999 roku pełnił funkcję dyrygenta Chóru Papieskiego podczas spotkania z Ojcem Świętym na Błoniach Krakowskich. Od sierpnia 1997 roku jest śpiewakiem w Chórze Polskiego Radia S.A. w Krakowie.

Hubert Kowalski: *O Piotrze Pałce usłyszałem po raz pierwszy kilkanaście lat temu w Szczecinie, gdzie wtedy mieszkałem. Formował się tam właśnie zespół Deus Meus. Zdażyliśmy już nagrać płytę „Hej Jezu” i radowaliśmy się, że możemy poprzez muzykę uwielbiać Pana. Zaczęliśmy też realnie doświadczać w grupie mocy Ducha Świętego, który pobudzał nas do prawdziwego życia i działał w niezwykle sposób. W tym czasie przychodziłem do klasztoru dominikanów, by z przyjaciółmi modlić się, śpiewać, doświadczać pokoju i jedności. Wtedy też moje uszy i serce przeniknęła głęboko melodia modlitwy do Ducha Świętego. Prosiłem Boga, by Jego łaska ogarnęła mnie i moje życie, by Jego Duch dotykał mnie i przemieniał. Od tamtej chwili do dziś towarzyszy mi pieśń Piotra Pałki „Niech nas ogarnie łaska Panie Twa”. Wielokrotnie przez nią Duch Św. jednoczył i jednoczy członków zespołu Deus Meus przed wyjściem na scenę i świadectwem o nieskończonej miłości Boga do każdego człowieka. Nie sądziłem, że kiedyś zamieszkać w Krakowie, poznam Piotra i będę miał przyjemność z nim pracować.*

Dyrygować i modlić się

z **PIOTREM PAŁKĄ** rozmawia Hubert Kowalski

Piotrze! Jak sobie przypominasz początki swojego muzykowania?

Pamiętam, jak w szkole podstawowej, gdzieś w trzeciej klasie, zainteresowały mnie dźwięki wydobywane z pianina w przedszkolu, gdzie pracowała moja mama. Lubilem siadać i coś tam sobie brzdąkać. Mama to zauważyła i wraz z tatą zaproponowali mi naukę w szkole muzycznej. Wybór padł na instrument, który mieliśmy w domu – akordeon. Potem był klarnet, w klasie którego skończyłem szkołę średnią, a następnie studia na Akademii Muzycznej w Krakowie.

Czym jest dla Ciebie muzyka? Czym jest w Twoim życiu?

Czymś bardzo ważnym, co ciągle mi „gdzieś tam gra”. Jest wielkim darem od Pana. Każdego z nas obdarowuje inaczej. We mnie Pan zaszczerpił łatwość poruszania się w przestrzeni dźwięków, słyszenia, śpiewania i komponowania. Te cechy są dla mnie tak naturalne jak oddychanie, przez co może taka łatwość i naturalność poruszania się w tej materii. Bardzo dziękuję Mu za to, że właśnie tak mnie ukształtował.

Od kiedy komponujesz?

Od lat 90. Wiązało się to z potrzebami pisania „czegoś” dla Duszpasterstwa w Tarnobrzegu, gdzie się wychowywałem. Miało to inny charakter niż ćwiczenia w ramach zajęć w szkole muzycznej. To, co pisałem było od razu wykonywane przez moich przyjaciół, dzięki temu od razu mogłem słyszeć efekt pracy. Spróbowałem i tak zostało. Jednym z pierwszych utworów był „Niech nas ogarnie łaska Panie Twa”.

Czy spodziewałeś się, że stanie się on tak popularny i dotrze do wielu ludzi, nie tylko jako piękna muzyka, ale także głęboka modlitwa?

Nie, nie myślałem o tym w ten sposób. Dopiero po latach widziałem ilu ludzi się



P. DULAK

nim modli. Śpiew był potrzebny wtedy na czuwaniu modlitewnym. Spełnił swoje zadanie. Potem w zasadzie rozprze-strzenił się samoistnie.

Czym jest dla Ciebie liturgia i co Cię w niej fascynuje? w jakim stopniu była inspiracją do komponowania?

Liturgia to wyjątkowa przestrzeń, którą próbuję cały czas zgłębiać, poznawać, przeżywać i ostatecznie dla jej potrzeb komponować. To przede wszystkim uczestnictwo i modlitwa w Eucharystii, coś zasadniczego w życiu duchowym. Przeżywanie Eucharystii to wielki dar i bogactwo, któremu trzeba wyjść na przeciw. Miałem tę okazję poznawać ją od środka i wiem, że aby w niej w pełni uczestniczyć, trzeba ją stale poznawać.

To czas, kiedy w sposób szczególny spotykamy się z naszym Mistrzem i Panem w tajemniczy sposób. Cała akcja liturgiczna Eucharystii, może być dla nas czasem, kiedy tylko stoimy i nic nie rozumiemy, albo świadomym angażowaniem się w poszczególne jej części. Liturgię należy poznawać nieustannie i jest to dla mnie bardzo istotne w komponowaniu muzyki, która potem wykonywana jest w czasie mszy. Pisząc taką muzykę, kieruję się jej przeznaczeniem, jak również możliwością włączenia w nią wiernych. Taka muzyka nie może mieć charakteru koncertującego, co oczywiście nie wyklucza jej walorów estetycznych. Pisanie muzyki dla celów liturgicznych, to wielkie wyzwanie i zadanie, którego cały czas się uczę.

Jak oceniasz obecną sytuację muzyki liturgicznej w Polsce?

Muzyka liturgiczna ma specjalne przeznaczenie, kieruje się więc pewnymi kryteriami. Wielka odpowiedzialność spoczywa na ludziach, którzy ją dobierają jak również i tworzą. Uważam, że w Polsce powinno położyć się większy nacisk na kształtowanie świadomości osób za nią odpowiedzialnych. Żyjemy w czasie, kiedy rozwinął się i stale nabiera rozmiarów nurt muzyki chrześcijańskiej, i tu powstaje pewna rozbieżność, bowiem „muzyka chrześcijańska” to w wielu przypadkach utwory, które nie mogą być wykonywane w czasie liturgii, a wielu ludzi myli je ze sobą. Chodzi o tekst, styl, charakter, instrumentarium itp... Myślę, że Kościołowi polskiemu potrzebna jest

w ogóle gruntowna odnowa liturgiczna. Mam tu na myśli pomoc każdemu z nas w podstawowym jej zrozumieniu. Dla ilu wiernych czytelnym i zrozumiałym jest sens znaków-symboli w trakcie Eucharystii? Należałoby to zmienić, tak żeby czas uczestniczenia w mszy, nie był tylko czasem „odstany”.

Czy warsztaty liturgiczno-muzyczne, w których bierzesz udział mogą coś zmienić w muzyce liturgicznej, którą słyszymy w naszych kościołach?

Warsztaty są ogromnie potrzebne. Mówią o tym sami ludzie, którzy przyjeżdżają i chcą się uczyć liturgii, jej przeżywania i animowania, współtworzenia, także od strony muzycznej.

Jaka jest zależność pomiędzy twoimi utworami a twoją wiarą? Czy one wpływają z wiary, czy mają do niej prowadzić?

Siłą napędową jest kontakt z Żywym Bogiem, a więc regularność w życiu sakramentalnym: spowiedź, Eucharystia i modlitwa indywidualna. Dla mnie jest to bardzo ważne i cały czas uczę się tej wierności. Jest to wymagająca droga, ale jedyna sensowna, którą widzę. To daje w konsekwencji możliwość otwierania się na „muzę”, która gdzieś we mnie tkwi i pozwala pisać. Dla mnie wiara i muzyka są mocno sobą przeniknięte. Dbałość o wiarę przenika i generuje muzykę. To dla mnie bardzo istotne. Staram się tak-

że powstające utwory „przemadlać”, aby mogły być maksymalnie czytelne dla słuchacza i wykonawcy. Myślę, że z pomocą Bożą udaje się to osiągnąć.

Jak to się stało, że trafiłeś do dominikanów w Krakowie i zacząłeś prowadzić jako dyrygent najbardziej uroczyste liturgie w roku?

Z dominikanami jestem związany już od moich pierwszych prób muzykowania. Stale z nimi współpracowałem i kilka dobrych lat temu zaproponowali mi prowadzenie muzyki w trakcie wielkich wydarzeń liturgicznych w bazylice krakowskiej. Było to dla mnie wielkim wyróżnieniem i wyzwaniem. W takich sytuacjach nie wystarczy tylko dyrygować, trzeba się tym jeszcze modlić. To rzeczywiście wielka próba dla prowadzącego. Służyć innym. Tego się cały czas uczę i rzeczywiście z każdą kolejną liturgią jest łatwiej, można się coraz bardziej angażować nie tylko w dyrygowanie, ale modlenie tym wszystkim. To dla mnie wielka przyjemność, nowe wyzwania i zaszczyt.

Czy twoje spotkanie z dominikanami i ich traktowaniem muzyki w liturgii to wynik poszukiwań muzycznych, czy duchowych?

Niewątpliwie moje działania twórcze wpływają z tego wszystkiego, co można by nazwać kilkunastoletnią tradycją dominikańską. W jej nurcie się wychowywałem i jestem nią przesiąknięty. Jest to wielkie

bogactwo i skarbnica tego wszystkiego, z czego dominikanie czerpali i czerpią nieustannie. Dalsza droga to samodzielne poszukiwania języka muzycznego, takiego, który byłby w pewnym sensie „moim”, dla mnie bliskim i wygodnym. I te poszukiwania trwają, o ile człowiek nie zatrzyma się w miejscu, całe życie. Człowiek bowiem, cały czas się zmienia, coś nowego odkrywa, coś go zachwyca, z czegoś rezygnuje. Jest to żywa wymiana i poszukiwanie. Na moje tworzenie ma także wpływ duchowość franciszkańska, z którą jestem związany od wielu lat.

Może trzeba by jeszcze dopowiedzieć, że także duchowość karmelitańska i duch Miłosierdzia. Tworzysz bowiem także muzykę do tekstów św. Teresy, św. Jana od Krzyża i św. Faustyny...

Tak, to prawda. Była ostatnio taka potrzeba i pisałem do słów różnych świętych. Bardzo ważną i istotną grupą utworów są te inspirowane „Dzienniczkiem” siostry Faustyny, a traktujące o Miłosierdziu Bożym. Świadomość i doświadczenie w moim życiu tej rzeczywistości, jest dla mnie kołem napędowym, Miłosierdzia Bożego bowiem, nieustannie doświadczamy.

Komponujesz nie tylko muzykę liturgiczną, ale także, można by powiedzieć, „rozrywkową”. Czy możesz opowiedzieć o swojej pracy nad musicalem „Zazdrosna miłość”?

Liturgia Paschalna u Dominikanów





Próba do Musicalu „Zazdrosna Miłość”

To była wielka i nowa przygoda. Tematyka religijna, ale w nowej formie. Nowe inspiracje, przeżycia, ciekawi ludzie, balet, aktorzy. Olbrzymia machina złożona z 200 osób, którą nazwaliśmy musicalem. Tego nie da się do końca opisać. Także ogrom pracy. Dla mnie jako współtwórcy i dyrygenta wielkie przeżycie muzyczne. Muzyka rozrywkowa jest dla mnie ciekawym doświadczeniem, choć nie tak ważnym jak religijna. Ale i na tym polu znajduję łatwość tworzenia.

Czy sądzisz, że jest ona potrzebna we współczesnej ewangelizacji?

Oczywiście. Sposoby docierania z Dobrą Nowiną powinny wynikać z potrzeb i dostępności dla ludzi. Przekaz Ewangelii w czasach w jakich żyjemy wymaga nowych sposobów, aby była ona czytelna i łatwo docierała do ludzi. Te proste słowa wymagają jednak przemyślanych i jak najbardziej profesjonalnych środków. Ludzie potrzebują formy dopracowanej i dobrze przygotowanej, w której najważniejsza jest oczywiście treść: Bóg ciągle nas kocha i zależy mu na nas.

Twój ostatni projekt to muzyka do „Tryptyku Rzymskiego”. Dlaczego wybrałeś ten właśnie tekst? Czy dla ciebie Jan Paweł II też był kimś szczególnym?

To wielki człowiek, który ofiarował swoje życie służąc każdemu z nas. To dla mnie także wspaniały przykład artysty czerpiącego inspirację z Boga. „Tryptyk” ujął mnie plastycznością i obrazami, które sprowokowały muzykę. Samo przedsięwzięcie muzyki do „Tryptyku” jest dla mnie hołdem dla Jana Pawła.

Z kim pracowałeś nad tym projektem?

W koncercie wziął udział Piotr Piecha, aktor Teatru Ludowego w Krakowie. Pierwszy raz spotkałem człowieka, który z tak wielką pieczołowitością przygotowywał się do recytacji, która stała się jedną wielką medytacją. Zaśpiewała z nami też Elżbieta Towarnicka, światowej sławy sopran, o niezwykłym, charakterystycznym ciepłym brzmieniu. To z myślą o niej pisałem wszystkie partie solowe. Zagrała, nie mniej znana, Sinfonietta Cracovia, krakowska orkiestra, z którą pracują najwybitniejsi muzycy i dyrygenci. W partiach chóralnych można było usłyszeć chór Voce Angeli i zaproszonych przyjaciół. (www.tryptykrzymski.prv.pl)

Od kilku lat pracujesz ze swoim chórem – Voce Angeli. Co za inspirowało cię do jego założenia – ambicją zawodowa – czy coś innego? Kto tworzy chór Voce Angeli?

Chór Voce Angeli to moje „pierwsze dziecko”. Założyłem go w 1999 roku. Był to dla mnie czas szczególny. Skończyłem studia i należało rozpocząć pracę z jakimś zespołem. Bardzo chciałem coś takiego robić, i pomogła mi pewna prestiżowa sytuacja. Otóż, jak pamiętamy, w 1999 miała miejsce jedna z ostatnich wizyt Ojca Świętego w Polsce, także w Krakowie. Pamiętamy ten moment, kiedy papież był chory i nie mógł pojawić się na mszy na Błoniach. Dla mnie był to czas wyjątkowy, ponieważ Kuria Krakowska zaprosiła mnie do poprowadzenia dużego chóru młodzieżowego, nazwanego Scholą Papieską, który wtedy śpiewał. Miałem okazję dyrygować około 300 osobami. To było wielkie wyróżnienie i wspaniała przygoda. Po zakończeniu wiele osób chciało dalej ze mną śpiewać. Za namową innych jeszcze przyjaciół, którzy także chcieli być w jakiejś grupie, w październiku 1999 powstał chór o nazwie Voce Angeli, co oznacza – „Głosem Anioła”. Powstał zespół przyjaciół i ludzi, którzy się już znali z mszy papieskiej. Zaczęliśmy śpiewać, a już po miesiącu mieliśmy nasz pierwszy koncert i od razu nagranie płyty „live” na mszy Krakowskich Zaduszek Jazzowych.

Czy Schola Papieska wciąż istnieje?



Premiera „Tryptyku Rzymskiego”, 16. 10 2005, Kościół Dominikanów, Kraków

Schola Papieska zaistniała wtedy na Błoniach w 1999 roku. Była potem powoływana do istnienia przy okazji innych wielkich wydarzeń, m. in. w czasie czuwania pod słynnym „oknem papieskim” w 2002 roku, następnie podczas podobnego czuwania w dniu imienin papieża w obecnym roku, pod tym samym oknem. Miałem okazję poprowadzenia teje scholi na Błoniach Krakowskich podczas mszy dziękczynnej w przeddzień pogrzebu Jana Pawła II. Chór złożony z młodych ludzi, którzy śpiewają całym swym sercem to niesamowity potencjał brzmienia i emocji, których nie jest w stanie stworzyć żaden chór zawodowy. Kiedy słyszysz 300 osób śpiewających całym sobą, to nie możesz się temu oprzeć, to porывa wszystkich słuchających. Tak było w sposób szczególny podczas ostatniej mszy na Błoniach.



P. DULAK

Nagrałeś z chórem *Voce Angeli* kilka płyt. Które z nich są ci najbliższe i dlaczego?

Ta pierwsza płyta, z *Zaduszek Jazzowych* u dominikanów w 1999 roku. Jest wyjątkowa, choć to były nasze początki i nie mieliśmy jeszcze wypracowanego swojego brzmienia. Mogliśmy za to zagrać z takimi jazzmanami jak: Jarek Śmietana, Jan Budziaszek czy Jacek Zieliński. W płytotece mamy także: album „Kolędy i Pastorałki”, „Aniele mój”, „Pieśni i piosenki z pielgrzymek Ojca Świętego do Ojczyzny”, „Ufam miłosierdziu”, „Cichy wieczorny mój śpiew” i ostatnia nowość Artka Kaszowskiego „Odpowiem”. Przygotowujemy się także do rejestracji płytowej wspomnianej premiery muzyki do „Tryptyku Rzymskiego”, szukamy sponsorów.

W Krakowie chyba nie ma scholi, która by cię nie znała. Pracujesz z kilkoma z nich, a także z klerykami seminariów zakonnych...

Tak, to prawda. Miałem okazję pracować i nadal pracuję z wieloma chórami krakowskimi. Jest taka potrzeba, ludzie chcą ze mną pracować, a dla mnie, jeżeli tylko czas na to pozwala, to zawsze nowe doświadczenie. Poza tym bardzo lubię dyrygowanie i sprawia mi to wiele satysfakcji.

Warto wspomnieć, że od kilkunastu lat pracujesz w Chórze Polskiego Radia w Krakowie. Czy śpiewanie w zawodo-



Tatry, X 2005

wym zespole wpływa na twoje komponowanie i pracę z zespołami amatorskimi?

Bycie w zespole zawodowym to dla mnie możliwość bycia śpiewakiem. To znów nowe doświadczenia, nowa literatura i nowi muzycy. Jest to wspaniała przyгода bycia muzykiem. Wpływa to na mnie i na wszystko co robię.

Jako muzyk, kim czujesz się najbardziej – dyrygentem, śpiewakiem czy kompozytorem?

Dyrygentem i kompozytorem, a następnie śpiewakiem.

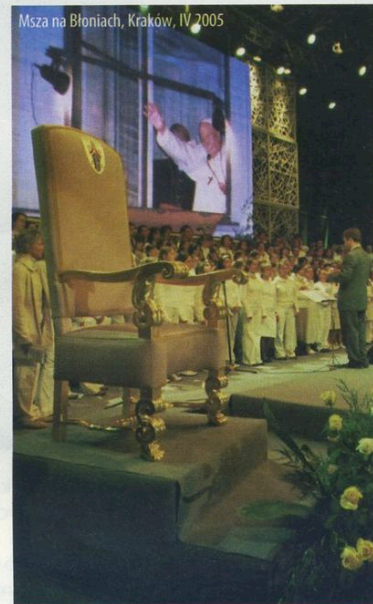
Wśród krakowskich przyjaciół jesteś znany jako fan sportu. Nieodzownym elementem twojego życia są narty, rower czy górską wspinaczkę. Czy dbałość o ciało, a także kontemplacja natury mają jakiś związek z „Matką od Szczęśliwych Powrotów”? Gdybyś mógł przybliżyć ideę spotkań nad Morskim Okiem...

Sport, a w szczególności turystyka górską są moją pasją od najmłodszych lat. W czasie każdej pory roku próbuję znaleźć jakąś formę ruchu. Kilka lat temu samotnie, potem z żoną, a obecnie ze starszym synem mkniemy na rowerze czy chodzimy po górach. Kontakt z naturą to dla mnie kolejna sceneria, niesłychanie inspirująca, w której zawsze rodzi się mnóstwo nowych pomysłów. Dlatego jestem „niewolnikiem” kartki nutowej czy dyktafonu pozwalających mi utrwalić pomysły i motywy. Moje zamiłowanie do gór, „wykorzystała” Maryja, włączając mnie w cykliczne msze morskooczańskie przy Kapliczce Matki Bożej od Szczęśliwych Powrotów. A wszystko rozpoczęło tak. Moja koleżanka z pracy – Anula, a było to w roku 1998, powiedziała, że powstaje idea „mszy kapliczkowych” i czy nie zorganizowałbym jakiejś grupy śpiewającej. Dwa razy nie trzeba było mnie zachęcać. Już za tydzień powstał utwór „Matko Scynśliwyk Powrotów”. Wyjątkowość tych spotkań potwierdzają przyjeżdża-

jący tu corocznie ludzie gór i ich sympatycy. Gromadzimy się na modlitwie i wspólnym biesiadowaniu. Gości nas zawsze radosna i serdeczna kierowniczka schroniska, pani Maria Łapińska. Od niedawna przyjeżdża coraz więcej rodzin z dziećmi. Wszystkich, którzy chcieliby przyjechać zapraszam do odwiedzenia strony: www.matkaodpowrotow.w.pl

Na koniec zapytam – jakie ma dla ciebie znaczenie twoja rodzina i jaki ma z nią związek twoja wiara i działania muzyczne?

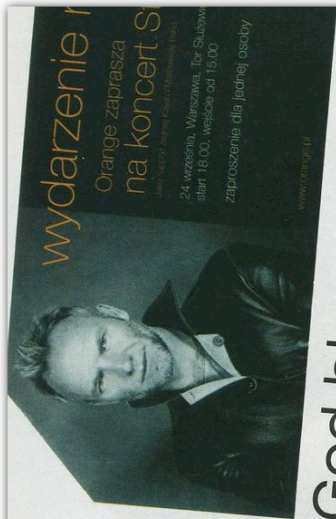
Rodzina to dla mnie sprawa zupełnie nadrzędna. Moja wspaniała żona, Marta, doskonale rozumie moje twórcze potrzeby i tak jak może, pomaga mi. Ja tej po-



Msza na Błoniach, Kraków, IV 2005

mocy nie odrzucam, choć zawsze czujnie śledzę potrzeby domowe, bo jest jeszcze z nami dwuletni Pawełek i sześciotygodniowy Michał. Kto ma dzieci, ten wie ile pracy jest do zrobienia. Staram się nie wykorzystywać swojej artystycznej pozycji i uczestniczyć we wszystkich zajęciach. Rodzina, nasza harmonia i miłość, czerpią tylko i wyłącznie z żywego Jezusa. Tego dla nas nie jest w stanie nikt i nic zastąpić, nawet my sami dla siebie. To Jego obecność i moc pozwalają nam w pełni próbować kochać siebie i dzieci. Czujemy stale Jego obecność, prowadzenie i pomoc. To jest dla nas drogowskaz, który wskazuje pewną drogę, do nas należy praca nad sobą i wierność: modlitwie, życiu sakramentalnemu i miłości. Bez mojej rodziny, nie byłbym tym, kim jestem i nie stworzyłbym tego, co tworzę. Dzięki niech będą Panu za to wszystko. Alleluja! ■

rozmawiał Hubert Kowalski



wydarzenie

Orange zaprasza
na koncert Sting
24 września, Warszawa, Tor Służewiec
start 18.00, wejście od 15.00
zaproszenie dla jednej osoby

God bless you too, Sting!

Należę do bardzo wiernych stingo-
logów. Mam niemal wszystkie pły-
ty artysty, na video koncert z Hol-
lywood Bowl, film dokumentalny
„Bring on the Night” a stingowy
kwadrans w niedzielnej Trójkowej
audycji „Muzyczna sjesta” Marci-
na Kydryńskiego jest moją cotygo-
dniową lekturą obowiązkową. Nic
więc dziwnego, że kiedy nadarzy-
ła się okazja pojechać na koncert
muzyka do Warszawy, skorzysta-
łem z niej skwapliwie.

24 września wsiedliśmy do samochodu i ru-
szyliśmy. Już w trakcie podróży zarysowała się
wspólnota ciągnących z różnych stron fanów
Stinga. Łatwo rozpoznawali się oni w mijanych
samochodach i nie była nawet do tego koniecz-
na, tu i ówdzie przyklejona na szybie kartka
zdradzająca cel podróży.

Gdy dotarliśmy na Służewiec właśnie kończył
się koncert Kayah. Trudno było znaleźć w stu-
pięćdziesięciotyśmicy tłumie jakieś dogodne
miejsce przed sceną, w końcu zadowoliliśmy się
telebimem. Okazało się to trafne ze względu na
dźwięk, problematyczne ze względu na wizję.
Brak synchronizacji (nawet w trakcie utworu
nomen omen „Synchronicity”) przeszkadzał
niewo w odbiorze, tym bardziej, że Sting nawią-
zywał kontakt z publicznością nie tylko głosem,
ale i mimiką.

Koncert zaczął się ostro od wielkiego przeboju
„Message in A Bottle” z drugiej płyty The Poli-
ce. Potem od sceny popłynęła długa wiazanka
starszych utworów z rewelacyjnie odegranym
„Spirits in the Material World”, dawno już przeze
mnie nie słyszany „Invisible Sun” i obowiązkowy
„Roxanne”.
Muszę przyznać, że odkryłem też swoje ograni-
czenia. Stojąca po mojej lewej ręce stingolożka
śpiewała z wokalistą wszystkie kawałki z czasów
The Police, mnie stać było tylko na refreny...

Rockowy skład, z jakim przyjechał muzyk okazał
się doskonale do przeprowadzenia słuchacza
przez całą historię jego twórczości od czasów
elektryzującego energią trio do wyczynów so-
lowych w różnych muzycznych konstelacjach.
Pierwsza płyta The Police „Outlandos d'Amour”
zawierała szereg punkowych inklinacji perkus-
isty Stewarda Copelanda. Od początku jednak

Sting był do tych brzmień zdystanso-
wany. *Cóż mi po śpiewaniu nieme-
lodyjnych, ponurych tyrad* - napisał
w swojej autobiografii „Niespokojna
muzyka”. - *Moja specjalność to czu-
łe piosenki o miłości. W tym jestem
dobry.* Trzeba dużej prostoty, aby tak
określić główne walory swojej twórczo-
ści muzycznej i nic nie wspomnieć przy
tym, że owe „czułe piosenki o miłości”
niejednokrotnie przybierają formę iscie
wybuchowej mieszaniny jazzu, rocka,
popu a nawet country, a karkołomne
metrum na 7, 9 czy nawet 11, dodają tutaj
jeszcze swoistej pikanterii.

Spośród muzyków grających na koncercie
z dawnego składu pozostał tylko gitarzysta
Dominik Miller, który gra ze Stingiem od
płyty „The Soul Cages”. Charakterystycz-
ne riffy na trwałe wpisały się w brzmienie
utworów autora. Pozostali muzycy także stawali
na wysokości zadania, perkusista Josh Freese
dawał z siebie wszystko, drugi gitarzysta Lyle
Workman pozostawał raczej w tle, choć jednora-
zowe długie, eksperyjne solo w pełni objawiło
jego możliwości.

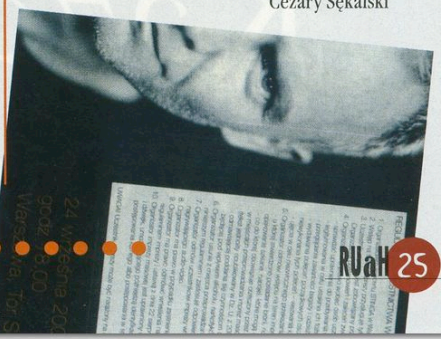
W drugiej części koncertu Sting sięgnął do póź-
niejszej swojej twórczości i w tym momencie
znaczenie ożywiło się grono młodszych słucha-
czy. Pierwsze takt „Fields of Gold” na widowni
wywołały aplauz. Następowaly kolejne nowsze
utwory i po raz kolejny okazało się, że bardzo
dobrze bronią się, gdy gra je prosty rocko-
wy skład i pozbawione są wielu ozdobników
brzmieniowych, na które można sobie pozwolić
w studio. Taki skondensowany przekaz czasem
nawet przydaje im dodatkowych atutów, a sam
Sting jest w stanie doskonale swoim głosem
uzupełnić nawet arabskie wokalizy (patrz utwór
„Desert Rose”).

Po półtoragodzinnej dawce muzyki zakończonej
dwoma bisami, artysta pożegnał widownię slo-
wami „God bless you”. Nie należy doszukiwać
się w nich tylko jakiegoś anglosaskiego przyzwy-
czajenia. W tekstach Stinga element religijnych
poszukiwań zawsze był obecny, choć czasem
ukryty w ostrej, zbuntowanej rockowej fraze-
ologii. W swojej autobiografii Gordon Sumner
wprost odwołuje się do swojego katolicyzmu.
*Niezależnie od wątpliwości targających mną
jako dzieckiem - pisze - utrzymywałem wiarę
w tę słabutką osobistą linię, łączącą mnie ze
sferą duchową, zawsze wierzyłem, że kiedy
będzie po wszystkim, otrzymam przebaczenie
i zostanę przyjęty z powrotem do ołtarza, a
moje religijne dylematy zostaną zrozumiane
i zaakceptowane.* W książce tej znajdujemy
także wyznania, których trudno tam także
spodziewać u gwiazdy światowego rocka:
*Ileokroć budzę się w środku nocy i zaczynam
odmawiać różaniec, czuję pokrzepienie. Pięć
dziesiątek różańca to pięćdziesiąt Zdrouaś
Mario i chociaż w miarę powtarzania słowa
tracę znaczenie, zaczynają działać jak kojąca
mantra na niespokojny umysł nekany troska-
mi o przyszłość rodziny.* Znajdziemy tam także
przejmujące przyznanie się do tradycyjnej ma-
ryjności. Sting pisze: *Od dziecka łatwiej było mi
przywoływać w wyobraźni „kobiece bóstwo”,
którego czczenia Kościół mądrze nie zabronił
w patriarchalnej, mizoginicznej czystce, któ-*

*ra niemal starła kult bogini. Maryja, gwiazda
morza, stała się moją ikoną w dzieciństwie,
płynię ponad oceanem w swoim błękitnym
welonie, głowa w gwiazdnej koronie łagodnie
przechylona w bok, oczy skronie spuszczone
w zamyśleniu. Miała delikatny uśmiech jak
Wenus, przepojony obietnicą nieskończonej
cierpliwości i miłosierdzia. To ona mogła
wstać się za mną na niebiańskim sądzie.
Mój ulubiony hymn religijny z dzieciństwa
kończy się słowami: Panno, przeczyszcza
gwiazdo morza, módl się za wędrówca, módl się za
mnie.* Sting wspomina także konkretne doświad-
czenie wiary. Kiedy z żoną Frances i dzieckiem
przeżywał trudności mieszkaniowe, modlił się
co noc za swoją rodzinę. Otrzymał sutereny
przy Leinster Square 28 w Londynie przypisuje
bezpośredniej ingerencji Matki Bożej. *Frances
i ja tańczymy z radości, a ja w duchu dziękuję
Panience za pomoc* - wspomina.

Sting rzeczywiście jest wędrówcem, a jego kręta
droga życia często prowadziła go na manowce.
Rozpad małżeństwa z Frances i swoje zagubie-
nie przyporządkowuje w swoim życiu po stronie
strat. W autobiografii dokonuje szczerych rozli-
czeń z przeszłością. Ocena faktu nie pojecha-
nia na pogrzeb rodziców, na kartach książki staje
się tłem dla szerszego rozrachunku: *Nie by-
łem na pogrzebie żadnego z moich rodziców.
- Sobie i bliskim przyjaciółom tłumaczyłem,
że obawiałem się, iż brukowce mogłyby obró-
cić tę ceremonię w poniżający cyrk. [...] Jedna
moja cząstka wierzy, że to prawda, ale druga
wie, że po prostu się bałem. Ucieklek przed
ceremonią, tak samo jak ucieklek przed swoją
rodziną, gdy odchodziła, zasłaniając się nawa-
łem zajęć, odpowiedzialnością za dotrzymanie
umów i sprawy związane z trasami koncer-
towymi oraz utrzymaniem ponad sześćdzie-
sięciosobowej ekipy. Ale czy naprawdę tak
trudno byłoby odwołać kilka występów i wysłać
wszystkich do domu na tydzień albo dłużej?
Pewnie nie, ale ja najzuyczejniej w świecie
nie chciałem, ponieważ potrzeba ucieczki
i bycia w ciągłym ruchu stała się chroniczną.
Uzależniłem się od pracy i ciągłych podróży
i nie umiałem już tkwić w jednym miejscu. Na
samą myśl o udziale w pogrzebie brakowało mi
tchu, więc pozbyłem się tej myśli i rzuciłem się
w wir przygotowań do kolejnego koncertu. Ale
była też psychologiczna cena, którą musiałem
zapłacić. Nie potrafiłem odreagować, więc
nosiłem ten smutek wewnątrz. Nie potrafiłem
plakać ani ujawnić swoich uczuć, nawet przed
samym sobą, bo bałem się, że tak starannie
skonstruowany własny image zostałby zburzo-
ny i odsłoniłby rozpościerającą się pod spodem
absolutną pustkę. [...] Na zeewnątrz niezachwia-
ny, ale w środku złamany. Odbudowa zajmie
mi resztę życia - kończy. Oby Ci się udało! God
bless you too, Sting! ■*

Cezary Sekalski





Każdy ma swojego anioła

Paweł Gzyl

Andrzej Dziubek

*Polsko, że jeś katolicko, ty jeś słońce w biały dzień.
Kto nie chce być katolikiem, tego zaćmi corny cień.
Polsko, że jeś katolicko, tyś miesiąckiem nocy,
Kto nie chce być katolikiem, prędko w przepaść skoczy.
Bądź ty Polsko katolicko
Bądź ty Polsko katolicko
Bądź ty Polsko.*

Czy taki tekst mógł zaśpiewać wokalista rockowego zespołu? Niemożliwe. A jednak – to fragment wiersza Piotra Borowego, który wykonał zespół Andrzeja Dziubka – De Press – na płycie „Śleboda” z 2001 r.

ZA CHLEBEM

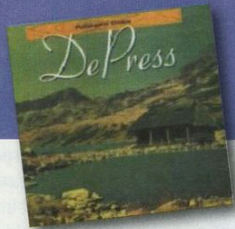
Pochodzi z Orawy. Już jako dziecko zainteresował się muzyką i śpiewem. Występował w zespole Andrzeja Haniaczyka – *Małe Podhale*. Potem przyszedł czas młodzieńczego buntu: znudził mu się folklor, góralskie portki zaczęły go uwierać. Kiedy odkrył muzykę rockową, wspólnie z kolegami zaczął konstruować wzmacniacze i przystawki do gitar. Używali je potem w zespole Lotony, który grając prostego rock and rolla, występował na szkolnych potańcówkach i zabawach góralskich. Przyszedł rok 1970.

– *Każdy z nas ma swojego anioła, który czuwa nad jego losem* – tłumaczy Andrzej Dziubek. – *Tak było i ze mną. Ciąsnio mi się zrobiło w komunistycznej Polsce. Dlatego postanowiłem uciec z kraju. Przez kilka miesięcy opracowywałem z kumplami plan ucieczki. Mieliśmy wtedy po 17 lat. Zdecydowaliśmy się w grudniu. Była wielka śnieżycyca. Powiedzieliśmy rodzicom, że idziemy na prywatkę. Przeszliśmy przez słowacką granicę, a potem przez pole minowe, odgradzające ówczesną Austrię od państw Układu Warszawskiego. Trafiliśmy do obozu dla uchodźców politycznych. To nie był jednak koniec mojej drogi. Chciałem wyjechać do Kanady, ale nie wzięli mnie, bo byłem za młody i nie miałem żadnego fachu w ręku. Później chcieli mnie przygarnąć Amerykanie, ale pod warunkiem, że pójdę walczyć w Wietnamie. A ja nie chciałem. w końcu przyjechała do obozu komisja z Norwegii i zaprosiła mnie do Oslo. Tam trafiłem do czteroletniej szkoły rzemieślniczej, a potem zacząłem studia w Akademii Sztuk Pięknych.*

MUZYKA NA DWA PALCE.

Kiedy znalazł się w wolnym świecie, znów zaczęło go ciągnąć w stronę rocka. W 1976 r. trafił w Oslo na koncert Sex Pistols. Poraziła go surowość i energia granej przez nich muzyki. Ponieważ stracił w austriackim obozie przy maszynie trzy palce, myślał, że już nigdy nie będzie mógł grać na gitarze. Sex Pistols przywrócili mu wiarę. Punk był na tyle prosty, że mógł go zagrać pozostałymi dwoma palcami. Szybko skompletował zespół Berlin Band, który przekształcił się potem w Pull Out i wreszcie w 1980 r. – w De Press.

– *To już nie był czysty punk, tylko bardziej skomplikowana muzycznie nowa fala* – wyjaśnia. – *Szukaliśmy nazwy dla kapeli, kiedy w Polsce doszło do powstania Solidarności. Siedząc przy piwie, ktoś rzucił: „De Press”, i tak już zostało. Jesienią 1980 r. byliśmy już w Polsce na koncertach – w Stoczni Gdańskiej, w sopockiej Operze Leśnej i w warszawskiej Sali Kongresowej. To była ekstaza – ludzie szaleli, aż się gotowało. W Warszawie spotkałem się z rodzicami – zobaczyłem ich po raz pierwszy od dziesięciu lat.*



NORWID PO GÓRALSKU

Pierwsza płyta De Press - „Block To Block” - została przyjęta w Norwegii entuzjastycznie. Trafiły na nią dynamiczne post-punkowe utwory, zaśpiewane przez Dziubka w trzech językach - po polsku, po rosyjsku i po angielsku. Perłą albumu była kompozycja „Bo jo cie kochom” - genialne połączenie góralskiej melodyki i punkowej energii.

- *Wydawca nie miał nic przeciwko temu, żebym śpiewał po polsku i po rosyjsku - wspomina Dziubek. - Norwegowie mieli wówczas dobry kontakt z Polską. Wszyscy mówili o „Solidarności”. A ponieważ to również kraj górski, natychmiast pochwycono moją podhalańską tonację. Okazało się, że melodyka ich języka jest podobna do tej, którą wyniosłem z domu. Rosyjskie teksty były natomiast ironiczne. Pamiętałem ten język ze szkoły. W „Kolhozie” chciałem pokazać, że w komunizmie wszyscy żyją w takim właśnie miejscu...*

Producentem albumu był Brytyjczyk - John Leckie - znany wówczas ze współpracy z gwiazdami Nowej Fali: Magazine, XTC,

Simple Minds. Dziubek wysłał mu demo, a on po jego przesłuchaniu, przyjechał do Oslo i zrobił płytę De Press. Podobnie było w przypadku drugiego studyjnego albumu zespołu - „Product”. Miał on jednak już całkiem inne brzmienie - bliskie zimnej fali, mroczne, niemal mistyczne. Dziubek śpiewał niczym Ian Curtis. Inne były również teksty - niemal wyłącznie po angielsku, opisywały uludę tego świata, dokumentując tęsknotę ich autora za czymś doskonałym i czystym. Krążek kończył przejmujący utwór do wiersza Cypriana Kamila Norwida z 1863 r. - „Święty - Pokój”:

*Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur/
Nie-porozpychanych nozdrzem konia/
Jeszcze tylko kilka stromych gór/
A potem już - słońce i harmonia!
Jeszcze tylko z helmu kilka piór/
w wiatru odrzuconych próżni/
Jeszcze tylko jeden pękły grot/
Błyskawica jedna - jeden grzmot/
A potem - już nie!*

- *Poezja Norwida, niosąca głęboki chrześcijański mistycyzm, bardzo do mnie trafiła*

- *podkreśla Dziubek. - Odbierałem ją całym sercem. Jego sytuacja przypominała trochę moją. Był też emigrantem, tak jak ja. To, co działo się w Polskę w XIX wieku, odpowiadało temu, co widziałem dookoła. Wtedy były powstania - teraz „Solidarność”. Poza tym, pamiętałem jeszcze z młodości utwór Czesława Niemena - „Bema pamięci żałobny rapsod” i wiedziałem, że można połączyć poezję Norwida z rockiem.*

„Product” był łabędzim śpiewem De Press. Dziubek, zafascynowany industrialnym w rodzaju Einsturzende Neubauten, powołał w 1982 r. do życia nowy zespół - Holy Toy.

NA TYŁACH WROGA

- *Chciałem robić nową muzykę, odpowiadającą nowej sytuacji - podkreśla Dziubek. - Jaruzelski wprowadził stan wojenny, skończyła się euforia, pojawiły się*

katastroficzne nastroje. Postanowiliśmy połączyć w muzyce Holy Toy elektroniczne brzmienia ze słowiańskimi chórami.

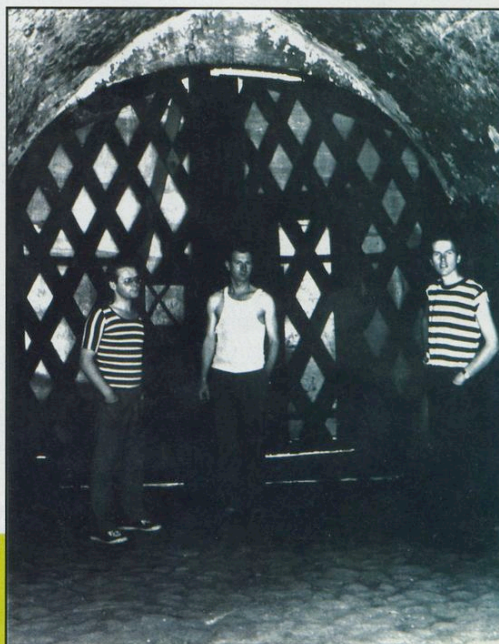
Pierwszy album nowego zespołu Dziubka - „Warszawa” - to jedna z najspanialszych płyt lat 80., doskonale wyrażająca ducha tamtych czasów. Piosenki zebrane na płycie opowiadają o ubezwłasnowolnieniu jednostki, politycznych prześladowaniach, Powstaniu Warszawskim czy kulcie Lenina. iżnów kluczowym utworem jest na krążku utwór do wiersza Norwida - „Buntownicy, czyli Stronnictwo-Wywrotu”:

*„Oni nie przyszli tu po łup bojowy/
Niemowlęta biorąc na piki/ Ozałobione
tłukąc kolbą wdowy/ To - buntownicy!
Oni sprawują rząd bez-osobiście/
Miastem nieraz władną młodziki(!),
A tłum groźny, ich słucha uroczyście/
To - buntownicy/ Na cherubinach
Bóg już zbliża-zbliża/
Ezechielowej tor kwadryki/
Tam i owdzie grzmi, wielkie-znamię
krzyża/ To - buntownicy/
Czemuż raczej nie wierzą Kancelarii/
Ojczyznę wołac niż rubryki/
A ufać śmiać w Jezusa moc i Marii/
Te - buntownicy!?”*

Holy Toy zdobyło sobie dużą popularność - szczególnie w Anglii. Kiedy zespół, wychwalany przez prestiżowy „New Musical Express”, pojawił się tam na koncertach, dziennikarze opisywali Dziubka jako partyzanta, który walczy na tyłach wroga o wolną Polskę.

- *To była trochę przesada, nie byłem żadnym „guerilla” - śmieje się artysta. - Wierzyłem, że zmiany powinny następować drogą ewolucyjną, a nie rewolucyjną.*

Drugi album Holy Toy - „Panzer And Rabbits” - to odbicie lęku przed wojną atomową, jaki

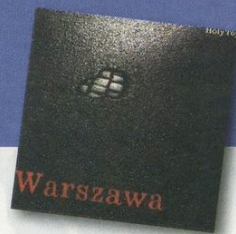
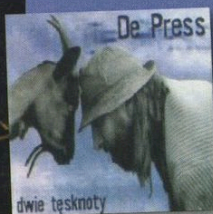




wywoływały w połowie lat 80. kolejne doniesienia o narastającym napięciu między USA a ZSRR. „Kapitan Boom Boom Boom” to przeobrażający w swej lakonicznej treści opis nuklearnej zagłady, a „Telegram I” – przejmujące wołanie ocalalej ludzkości o pomoc do swego Stwórcy.

W połowie lat 80. Holy Toy zawitał w Polsce – do dziś nie wiadomo, jakim cudem udało się zorganizować dwa koncerty grupy – w Warszawie i Krakowie.

– *Myszę, że to miała być taka pokazówka – ówczesne władze chciały pokazać, że Polska jest wolnym krajem* – śmieje się Dziubek. – *Nie obeszło się jednak bez ingerencji cenzury. Podczas warszawskiego koncertu nie udało się nam zaprezentować filmów, które wyświetlaliśmy podczas koncertów, pokazujących autentyczne sceny z gulagów, obozów koncentracyjnych, niewolniczą pracę w fabrykach, bezmyślną musztrę w sowieckiej armii. Ale za to w Krakowie – wszystko poszło gładko.* Kontynuacją „Panzer And Rabbits” okazał się album „Czemu nie w chórze?” – najbardziej mroczne dokonanie Holy Toy.



– *Polityka była wtedy wszędzie* – podkreśla Dziubek. – *Nastroje stawały się apokaliptyczne. Wydawało się, że zło zwycięża. Postanowiłem więc wejść do jądra ciemności i pokazać ją od środka.*

i znów pomocny okazał się Norwid. Tym razem Dziubek wybrał wiersz „Czemu nie w chórze?”

Śpiewają wciąż wybrani/ U złobu, gdzie jest Bóg/ Lecz milczą zadyszani/ Wbiegają w próg/ A cóż dopiero? owi/ Co ledwo wbiegli w wieś/ Gdzie jeszcze echo łowi/ Niewinną rzeź!/ Śpiewajcież, o! Wybrani/ U złobu, gdzie jest Bóg/ Mnie jeszcze ucho rani/ Pogoni róg/ Śpiewajcież, w chór zebrani --/ Ja? – zmieszając mógłbym śpiew/ Triumfującej litanii/ Jam widział krew!...

Opatrzność nie dopuściła jednak do zagłady – świat ocalał, rozpadł się komunistyczny blok, Polska rozpoczęła odbudowę demokracji, a Dziubek obudził się z totalitarnego koszmaru z... pustymi kieszeniami. Dlatego dwie kolejne płyty Holy Toy, były, jak szczerze przyznaje, próbą zarobienia na życie – stąd skręt w stronę elektronicznego funku i dadaistycznego rapu. Z czasem stało się jasne, że projekt już się wyczerpał i na nowe czasy trzeba zaproponować coś innego. Długo się nie namyślając Dziubek reaktywował De Press.

W ZGODZIE Z BOGIEM

– *Otwarto granice, poczułem zew wolności, znowu pociągnęło mnie do czadowego rocka* – śmieje się. – *Przyjechałem do Polski, odwiedziłem rodzinne strony, nabrałem w płuca górskiego powietrza. Najpierw nagrałem „3 Potocki”, jeszcze w Norwegii, a potem już w Polsce „Groj Skrzybko Groj”, „Potargano Chalpe” i „Ślebode”. Znalazłem polskiego wydawcę – został nim Piotrek Praschil z krakowskiej firmy Music Corner.* Nowa muzyka De Press była wywiedzionym z „Bo jo cie kochom” ekspresyjnym połączeniem ostrego rocka z góralskim folklorem. Dziubek śpiewał w góralskiej gwarze, sięgając po poezję Tetmajera i ludowych twórców z Orawy. W kilku utworach artysta w jasny sposób zadeklarował swoją wiarę. Na „Potarganej chalpie” znalazły się piosenki „Zielna” (do wiersza K. P. Tetmajera) i „Matka Jaworzyńska”, będące jednym świadectwem maryjnej pobożności w polskim rocku.

Kiedy my się ześli/ Przed Twoim obrazem/ To se zaśpiwojmy/ Matce Boskiej razem/ Ej Ty Matko Boska/ Prowadź nas ku chwale/ Będziemy Cie wielbić/ No najwyszej skale. „Orawski psalm” z tej samej płyty to z kolei

świadectwo miłości do Boga, wyrażone wierszem Emila Kowalczyka:

Wielbi Cie Stwórco/ Moja Orawa/ Skalisto/ Jako/ Ziemiya Świynto/ Wychwaluje Cie Panie/ Jej lud/ Co z nadziejom/ dźwigo/ Swój krzyż/ Wyśpiewuje Ci wielki Boże/ Orawski psalm/ Robotnym dnym/ wieczornym wycsynim/ i babiom Górom/ któro/ jak popocyrze/ ku niebu się wznosi.

Przysłowiową kropkę nad i stawia Dziubek w „Hymnie pochwalnym” ze „Ślebody” do wiersza XIX-wiecznego poety z Orawy – Piotra Borowego:

Polsko, żeś jest katolicko, tyś drogi kamień na górze/ Nie sięgaj poń, ty rabusiu, dostaniesz po skórze!/ Bądź ty Polsko katolicko, wyrzec się satana/ Za to Ci od Boga będzie wielka miłość dana!/ Bądź ty Polsko katolicko/ Bądź ty Polsko katolicko/ Bądź ty Polsko

To właśnie De Press wyśpiewał Janowi Pawłowi II najpiękniejszą piosenkę rockową – „Cy bocyce Świnty Ojce” – do wiersza Emila Kowalczyka. Choć Dziubek nigdy nie miał szczęścia spotkać osobiście Papieża, wie, że płyta z tym utworem została wręczona Ojcu Świętemu i bardzo mu się spodobała. Na nowy album De Press – „Za chlebem” – który w styczniu 2006 r. wyda Polskie Radio, trafi kolejny utwór dedykowany Janowi Pawłowi II, w który znajdują się pamiętne słowa Benedykta XVI o tym, że Papież spogląda na nas z okien domu Ojca.

– *Jestem praktykującym katolikiem* – podkreśla Dziubek. – *Trochę narobiłem sobie zaległości, jak byłem za granicą, ale teraz wszystko naprawiam. Odczuwam potrzebę życia w zgodzie z Bogiem.*

Oprócz działalności z De Press, artysta ma w swym dorobku solowe projekty. Jeden to album „Electric Evil” sygnowany nazwą Nebb Błagism, a drugi – „Total Błaga”, wydany pod nazwiskiem Dziubek. Obie płyty zawierają elektroniczne piosenki. Pierwsza zawiera utwory nieznanego autora, które Dziubek zaaranżował w duchu mrocznej elektroniki, a druga – prześmiewcze utwory, komentujące w dowcipny sposób komercjalizację góralskiej kultury. „Total Błaga” przyniósł artyście zasłużonego Fryderyka w kategorii muzyki folk. Wszak to Dziubek był pierwszym, który pozeńił w udany sposób folklor z rockiem. ■

Paweł Gzyl

Fot. z archiwum Andrzeja Dziubka

w sercu
Kościoła



o grupie

z ks. Cezariuszem Cieszyńskim

SARUEL

rozmawia Patrycja Michońska

Od wydania płyty „Z Tobą” minęło już kilka miesięcy. Były koncerty we Włoszech i Niemczech, w październiku odbyły się przesłuchania do chóru. A teraz cisza?

Wręcz przeciwnie – Saruel daje w dalszym ciągu koncerty. Wciąż w repertuarze mamy m.in. program ewangelizacyjno-uwielbieniowy, „Pieśni Naszych Ojców”, zawierający piękne kościelne pieśni, śpiewane przez całe pokolenia chrześcijan oraz Koncert kołęd na Święta. 11 i 13 listopada w Łodzi była premiera nowego projektu pt. „Pamięć i Tożsamość”, będącego artystyczną refleksją nad tematem miłości do Ojczyzny.

Od kilku tygodni Saruel ma w dorobku kolejną płytę – „W sercu Kościoła”.

Ten projekt obejmuje Nieszpory, części stałe mszy św., oraz pieśni ku czci św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Został on zarejestrowany na żywo podczas peregrinacji relikwii św. Teresy w Łodzi w czerwcu tego roku.

Czy to było jednorazowe wykonanie tego dzieła?

To była oczywiście szczególna okazja, ale utwór ten może być w dalszym ciągu wykorzystywany, na przykład podczas uroczystości kościelnych. Tak się dzieje w parafii św. Teresy w Łodzi, gdzie mamy swoją siedzibę, ale coraz częściej dochodzą mnie słuchy, że również gdzie indziej są te utwory wykonywane, od klasztorów kontemplacyjnych po wspólnoty parafialne.

Przypomnijmy, że ksiądz Czarek prowadzi zespół Saruel i jest zawsze z tą inicjatywą kojarzony. Jak więc wytłumaczyć pojawienie się nowego zespołu – CCM. Czy pomysł na Saruel już się wyczerpał?

Ależ skąd. Ja też przypominę – Saruel to kilkadziesiąt osób – chórzystów, solistów i instrumentalistów. Z czego ludzkich powodów nie zawsze możemy w takim składzie grać w różnych miejscach Polski. Dlatego powstał CCM – nie zespół, a saruelowy projekt. Podejmujemy różne działania: od rekolekcji i misji parafialnych, dni skupienia, poprzez animację Mszy Świętych i spotkań

modlitewnych, do wieczorów uwielbienia czy koncertów ewangelizacyjnych.

A co w tym przypadku oznacza CCM?

Cezariusz Cieszyński Music (-)

Pamiętam, kiedy spotkał się jeszcze wiosną, ksiądz wspominał o nowym pomysle – tym razem całkowicie instrumentalnym...

Kwartet smyczkowy, piano, gitara, flet, trąbka... Wszystkie te instrumenty przepięknie współbrzmiały. Całość nosi tytuł „Muzyczny Pamiętnik”, który powstał, kiedy zastępowałem znajomego księdza w pewnej wiejskiej parafii. Ten projekt jest według mnie muzyczną ilustracją codzienności. „Poranek na wsi”, „Wizyta”, „Codziennosc niecodzienna”, „Ludzie prości” – te utwory mają kołować serce, pomagać odpocząć i spotkać Tajemnicę Wszechobecności.

Czy sama muzyka może nieść przesłanie? Może ewangelizować?

Z pewnością sama muzyka może nieść pozytywne, a nawet Boże przesłanie. Zależy to bowiem od intencji, zamiaru kompozytora i wykonawców. Ale prawdę mówiąc, tym projektem nie chcę wcale ewangelizować. A co chcę przez to powiedzieć, będzie można się przekonać na koncertach, bądź słuchając płyty, którą – jeśli Bóg pozwoli – nagramy.

Jak Saruel przygotowuje się do przyszłorocznego jubileuszu? Czyżby kolejna płyta? 10-lecie?

Planujemy wydanie książki pt. SARUEL – Młodzi, Muzyka i Misja. Do niej będzie dołączona płyta – składanka. Chcemy zorganizować w Łodzi koncert, na który chciałbym zaprosić jak największą ilość osób w przeszłości współpracujących z zespołem. Pewnie przydałaby się jakaś trasa koncertowa, ale o tym już zaczyna myśleć Mikołaj – nasz manager. Mamy nadzieję, że w kolejnym RUaH będziemy mogli podać już szczegółowy plan świętowania jubileuszu. ■

muzyka z samej GÓRY

RUaH: Pierwszy dzień Adwentu to jednocześnie inauguracja nowej „odslony” Radia Józef w Warszawie. Od tego dnia rozgłośnia gra tylko muzykę chrześcijańską.



PATRYCJA MICHONSKA, RADIO JÓZEF: Przygotowania do wprowadzenia nowej ramówki trwały kilka miesięcy. Dyskutowaliśmy, planowaliśmy, zbieraliśmy bazę muzyczną. Chcemy, by nasze radio było kojarzone z muzyką chrześcijańską w najlepszym wykonaniu. Na szczęście profesjonalnych twórców jest coraz więcej.

Nie boicie się zaszklawienia i ryzyka związanego z tak radykalną zmianą? Nie macie żadnych wątpliwości?

To jest wyzwanie. Ale będzie dopełnieniem długiej pracy nad tworzeniem całego programu. Jesteśmy radiem chrześcijańskim. Chcemy być jednoznacznie kojarzeni – bez żadnych niedomówień. A jednocześnie, dbając o jakość emitowanej muzyki, mamy nadzieję zmieniać stereotyp, panujący wśród osób sceptycznie nastawionych do chrześcijańskiego grania. Szukamy najlepszej muzyki – polskiej i zagranicznej. Przecież to pop, rock, jazz, blues, hip-hop, muzyka poważna – z dobrym przesłaniem. Taka muzyka pomaga stworzyć dobrą stację. A co do wątpliwości – nie wszystko szło gładko. Zebrania redakcyjne często były burzliwe, ale w sumie – twórcze.

Stawiacie na muzykę chrześcijańską. Wasze hasło to „Zawsze chrześcijańskie granie”. Czy to znaczy, że stajecie się radiem muzycznym? Ależ nie, przewagę nadal będą miały audycje. Krótko mówiąc – „słowo mówione” ma przewagę nad „słowem śpiewanym”. W proporcjach 75 do 25. W audycjach więcej miejsca poświęcimy prezentacji płyt i festiwalu, zaproszeniom na koncerty, konkursom oraz oczywiście wywiadom z muzykami. Pierwszy tydzień spędzamy z Magdą Anioł i Adamem Szewczykiem. Dodam, że Adam Szewczyk aranżował nowe wersje naszych dżingli. Zaśpiewali je dla nas: Magda Anioł, Agnieszka Rusinowska z J.E.G.O. Band i Adam Pluciński. Marek Rusinowski zagrał na klawiszach i całość zrealizował. A wracając do promocji artystów w Radiu Józef – każdy kolejny tydzień także ma swojego bohatera: Tomka Kamińskiego, Chili My, Violę i New Day. Pierwszy tydzień nowego roku poświęcony będzie prezentacji kanonów z Taize. Nawiązujemy także ścisłą współpracę z innymi mediami: podobnymi rozgłośniami w Polsce i portalami internetowymi. Na antenie Radia Józef stałe miejsce będzie miał Magazyn Muzyczny RUaH. Raz w tygodniu dziennikarze związani z RUaH będą opowiadać o nowych zjawiskach w świecie muzyki chrześcijańskiej, wydarzeniach, płytach i koncertach. ■

RADIO JÓZEF JEST ROZGŁOSNIĄ ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ I NADAJE NA CZĘSTOTLIWOŚCI 96,5 MHz. RADIA MOŻNA SŁUCHAĆ TAKŻE W INTERNECIE: www.radiojozef.pl





Trzeba nam Boga

z zespołem **Anastasis** rozmawia Weronika Ika Gurdek

Ale jutro, będzie pięknie wszędzie... – malujecie wizję końca tak wyraźnie, jakby faktycznie jutro miało być jutro... Aż mi ciarki chodzą po plecach... Tęsknicie za lepszym światem, pełnym prawdziwego życia smaku...?

W przypadku piosenki „Jutro” chodziło nam o kampanię wyborczą, o wyglupy niektórych „poważnych” ludzi. Jutro właściwie dzieje się teraz, na naszych oczach, każdego dnia. W gonitwie za karierą, za władzą ludzie zapominają skąd się wzięli i dokąd tak naprawdę zmierzają (wyszcig szczurów). Kult pieniądza jest tak silny, że nawet z gruntu dobry człowiek zderza się z jego siłą i bardzo często przegrywa. Jedyną szansą na normalność i niezwyrodnienie jest życie według bardzo solidnych zasad. Bóg nam je ofiarował, a my próbujemy je modyfikować, dostosowywać do własnych potrzeb. Piosenka PŁASZCZ wskazuje drogę, delikatnie zaprasza do kochania Boga, bo w Nim jest prawdziwe życie. Trzeba wybierać „dobry brzég”, choć często nie jest to ani łatwe, ani miłe.

No właśnie, coraz więcej artystów – także Wy – dostrzega permanentny brak szacunku wobec świata, rzeczywistość zła, którą tworzymy, która zaczyna nas powoli przytłaczać. To jest problem, który dominuje na nowej płycie: Bóg dał nam świat, a my? A my stajemy na głowach...

Faktycznie nie jest pięknie. Bywały jednak gorsze czasy. Nam przyszło żyć teraz i zmagać się z problemami nieco innej rangi niż te z jakimi wojowali nasi dziadkowie. Każdy czas ma swoich bohaterów i swoje przekleństwa. My mieliśmy Jana Pawła II i mamy bandy złodziei na ulicach. Zadajemy sobie mnóstwo pytań, na które coraz trudniej znaleźć odpowiedź. Światem rządzi absurd. Największym wrogiem świata jest człowiek. Brak nam pokory.

Ta niezgoda na zastaną codzienność wyraża się też w utworze Ulica, mówiącym o śmierci osiemnastoletniego człowieka...

Po ostatnich przypadkach zakatowania małych dzieci okazuje się, że bohater naszej piosenki miał sporo szczęścia i trochę sobie pożył. Najbardziej niesamowity jest fakt, że powoli przyzwyczajamy się do tych sytuacji. Codziennie ktoś ginie, ktoś kogoś zabija, ktoś umiera. Przyzwyczajamy się do obecności śmierci w gazetach, w wiadomościach. Niestety nie myślimy o własnej śmierci, przestajemy się jej bać, bo myślimy, że jest zarezerwowana dla innych.

Wobec tego wszystkiego co powiedzieliście, nasuwa się zasadnicze pytanie: gdzie szukać nadziei umacniającej nas w tej trudnej rzeczywistości?

Modlitwa – przebywanie z Bogiem. Bardzo dawno temu wynaleziony środek na chorobę ducha. Bóg przekazał nam ogromną wiedzę na temat nas samych, przekazał nam pakiet sposobów na bycie dobrym i wartościowym człowiekiem. Problem w tym, że jesteśmy uparci, zawsze najmądrzejsi i doskonale wiemy, czego nam najbardziej potrzeba. Szkoda, że rozumiemy się z prawdą. Trzeba nam Boga – czyli nowego zrozumienia (nowonarodzenia): kim jest dla mnie i dla ciebie Jezus Chrystus. Musimy się do tego przyznać i żyć zgodnie z Jego słowem i nauką!

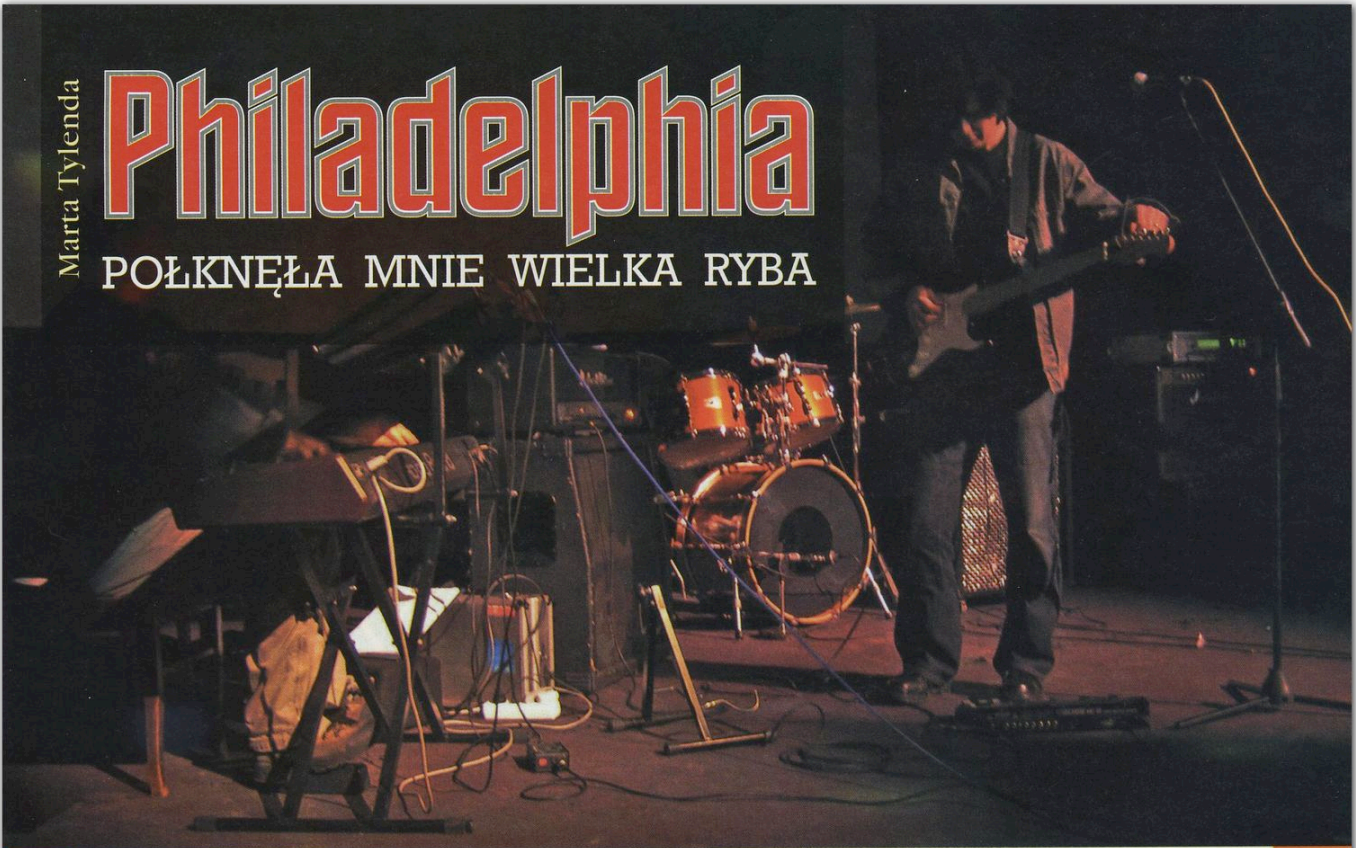
Krażek „Jutro” jest jesienną nowością paganiniego i na internetowej stronie wydawnictwa należy szukać płyty. A gdzie trzeba się udać, aby posłuchać was na żywo?

Wszystkie informacje o koncertach można znaleźć na stronie www.anastasis.pl. ■



Philadelphia

POŁKNEŁA MNIE WIELKA RYBA



To nietypowa impreza. W końcu rzadko się zdarza, żeby przed koncertem strażnicy zabierali do wody i telefony komórkowe. I to w dodatku muzykom. Sala też dziwna. Nie ma przyćmionych świateł, neonów. Jest stolówka wypełniona drewnianymi ławkami, nieszczelne okna, lastriko na podłodze i światło z jarzeniówek. Na ustawionych w rzędy ławkach siada kilkudziesięciu krótko obciętych mężczyzn. W większości starszych, takich co w więzieniu spędzili większą część życia. Jest też kilku bardzo młodych – aż trudno uwierzyć, że już kilka razy weszli w konflikt z prawem. Dlaczego przyszli? Maciej, wychowawca ds. kulturalno-oświatowych i sportu w zakładzie karnym dla recydywistów nie pozostawia złudzeń: – *Recydywista musi wiedzieć, co się u niego dzieje. Choćby go to nie interesowało, to przyjdzie, żeby wiedzieć. Lepsze to, niż siedzieć w baraku z papieroskiem.*

Nasali pojawia się piątka muzyków z zespołu Philadelphia. Witają ich gromkie brawa. Zaczyna Mariusz: – *Przywieźliśmy ze sobą kilka opowieści o tym, co przeżywa każdy z nas. Niezależnie od tego, po której stronie muru się znajduje.*

Połkneła mnie wielka ryba
Byłem w jej wnętrzu
Nie wiem jak długo
Nie szukał mnie nikt, nie wołał...
Błądziłem w ciemnościach
Wołając Ciebie Panie...
Mam nadziei krople dwie
Że nie utracę Ciebie
Wierzę, że nadejdzie dzień
Twój głos będzie ratunkiem dla mnie



W moim życiu było ostro. Rodzina rozbita, więc wychowywałem się sam. Bardzo wcześnie zacząłem hulaszczę życie: narkotyki, alkohol. Dziwię się, że w końcu nie przedawkowałem – opowiada Tomasz Matłoch (Philadelphia – bas). – Aż poznałem człowieka, który też w swojej przeszłości pił i ćpał, i siedział w więzieniu. On opowiedział mi o Bogu. Nie od razu słuchałem. Dopiero,

kiedy zaczęły mnie męczyć stany depresyjne, kiedy bałem się wyjść z domu, bo byłem pewien, że ktoś chce mnie zabić, pobiegłem do tego człowieka i powiedziałem "ratuj!".

Mariusz Sobański: – *Wszyscy mamy jakieś przeżycia za sobą. Jeździłem po festiwalach Jarocin, Rawa Blues itp. Przed laty jeździliśmy większą paczką po Polsce, często uciekaliśmy przed milicją, sypialiśmy na plaży, na dworcach, wszędzie. Była trawka, alkohol, myślałem, że znalazłem wolność. Ale dziś wszyscy jesteśmy już nowymi ludźmi. Dlaczego grają w więzieniach? – Staramy się tym ludziom dać jakąś iskrę, która ich podbuduje. Chcemy im mówić o naszych doświadczeniach i wskazać na prawdziwą wolność.*

Ale grają jak w transie. Stolówka nie jest przygotowana na taki koncert. A publiczność? Nikt nie skacze, nie tańczy, nie macha rękami, nie krzyczy. Wszyscy siedzą na ławeczkach, twarze pozostają bezmienne. Tu i tam tylko nogi przytupują. Niektórzy uparcie patrzą w podłogę. Kilku nie może się skupić – ciągle się rozglądają, wierca.

i czekam na cud pod niebem gwiazd uwięziony jak w klatce ptak na planecie zielonej która naprawdę nigdy nie była moim domem



Tomek II, młody, szczupły, więzień, za kilka miesięcy wychodzi na wolność. – *Za mało takich koncertów – rzuca – i szkoda, że tylko niektórzy słuchali słów. Pochodzi z Chodzieży. Siedzi za wyrwyność. – Byłem taką osobą, że jak wchodziłem do pubu, to niektórzy woleli wyjść. Bo jak wypilem piwo, dwa, to potrafiłem porządnie narozrabiać – opowiada.*

Od paru miesięcy więźniowie mówią, że Tomkowi II odwalilo. On mówi, że nareszcie zmienił swoje życie. – *Ja uwierzyłem w Boga – tłumaczy. – Wcześniej w nic nie wierzyłem. Z teściową się kłóciłem, że Boga nie ma. No bo kto Go widział? A teraz wierzę. W wolnych chwilach czyta Biblię. – Na to inni już przestali reagować. Zresztą ja i tak się nie przejmuję. Wiesz, moje życie wyglą-*

dało katastroficznie. Teraz wszystko się zmienia. Calkowicie. Tomek II planuje, że nie tylko jego życie się zmieni. – W domu też będzie musiało być inaczej.

Wychowawca: – I co on pani mówił? Bo wie pani, jak coś złego, to będziemy potem mieli nieprzyjemności.

Pracownica więzienia: – Niech pani uważa. Oni różne rzeczy potrafią naopowiadać. I potem będą na panią pisać skargi. Nawet pani nie wie, do czego są zdolni.

Przemek, młody, potężnie zbudowany więzień, nieśmiało się uśmiecha. On też uważa, że Oni do wielu rzeczy są zdolni. Tyle że dla niego Oni to wymiar sprawiedliwości. – Tu ludzie za bzdury jakies siedzą. Jest tylko jeden taki, co pozabawił kogoś życia i jest parę rozbojów. A większość to drobne kradzieże, jazda po pijanemu. Ci ludzie w ogóle nie powinni być w więzieniu – uważa. Za co siedzi Przemek? Ogólnie przez przypadek, drobnostkę jakąś. Na wolności Przemek m.in. handlował samochodami.

bo w wielkim pędzie szarych dni umknęły oczom zwykłe sprawy a dzisiaj myślisz...

przegapiłem życia kawał życia kawał.

Niech wieje wiatr

Niech wieje wiatr

Nim zgaśnie we mnie żar

Nim ostatnia iskra zgaśnie już...



Jesteś tutaj jedyną kobietą. Nie dziw się, że wszystkie oczy są skierowane na ciebie. Kobieta to tutaj wydarzenie – pociesza mnie

Tomek III. Jeździ do więzienia od ośmiu lat, dwa razy w tygodniu, bezinteresownie. Rozmawia. – Mówię im: wydaje się wam, że jesteście silni, bo możecie komuś dać w mordę. Jednak naprawdę życie według narzuconego scenariusza. Ale możecie być wolni, chociaż jesteście w więzieniu. Bóg wam to może dać. Mało kto go słucha. Niektórzy przychodzą na spotkania z nudów. Inni, żeby się pośmiać. Tomek III jest uparty. – Tu jest wszystko, co zło: pornografia, brutalność, zawiść. Nie ma resocjalizacji. Terapeuci przekonują, że te przypadki już nie rokują. Mimo to ja wierzę, że coś z tego będzie. Jeżeli nie teraz, to może przy kolejnej odsiadce. – Na koncercie siedzi między więźniami. – Mówię im: różne rzeczy w życiu robiłem. Mam po prostu szczęście, że nie siedzę tu zamiast was. Wy go nie miłoście.

Wychowawca obserwuje wszystko z tyłu. – Pan Tomek przyjeżdża tu, bo ma w tym swój interes. On głosi Ewangelię, że tak powiem. A my jesteśmy tu po to, żeby więźniów nauczyć życia w społeczeństwie. A nieodłączną częścią takiego życia jest kultura. To jest resocjalizacja – tłumaczy. – Zimą, kiedy nie ma zajęć sportowych, staram się, żeby takich koncertów było więcej. Nawet jeden w miesiącu.

Tomek III: – Ja im powtarzam: jak raz tu przyszedźcie, to już ugrzęźnicie. Chyba, że coś w życiu zmienicie. Jak nie – wrócicie tu na pewno.

Ryszard, na oko pięćdziesięciolatek, nie chce wrócić. – Siedzę trzeci i ostatni raz. Jeszcze półtora roku i wychodzę. Mam po co żyć – czeka na mnie 7-letnia córka. Wychowawca: – Rysio to typowa recydywa. Więcej życia spędził w więzieniu niż poza nim. Mówił, że jest tu ostatni raz? Wszyscy tak mówią.

Gdy odbiera ktoś ostatni tyk nadziei, a szedł przede z tobą tyle lat, gdy przyjaciel już przestaje być przyjacielem, gdzieś na rozstajach dróg brakuje słów



W połowie koncertu muzyka cichnie. Mariusz odstawia gitarę. – Szukałem wolności w niewłaściwych miejscach. Aż w końcu znalazł się ktoś, kto pokazał mi Biblię. To była najlepsza inwestycja w moim życiu. Wreszcie zrozumiałem, co to jest prawdziwa wolność. Jezus Chrystus dziś daje Tobie zbawienie i życie wieczne, daje Tobie prawdziwą wolność. Życzę Wam wolności. Jadalnia trzęsie się od braw.

Wychowawca: – No, rozruszaliście ich. Dawno nie widziałem ich takich zadowolonych.

Ryszard: – Mało takich koncertów. Niektórym tak brakuje otuchy...

Tomek III: – Wielu mi mówi, że nie może spać, bo dręczy ich strach o przyszłość. I po ludzku faktycznie, nic się z tym nie da zrobić.

Przemek: – Ludzie chcą odreagować. I wierzyć, że jest coś poza tym dzwonkiem na poranny apel. Ale i tak wszyscy najbardziej się boją, że nie będą mieli do czego wrócić.

W artykule wszystkie teksty piosenek pochodzą z repertuaru zespołu Philadelphia

Teksty: www.sobanski.art.pl

Strona zespołu: www.philadelphiaband.pl

Tomasz Matłoch (Philadelphia): – Bardzo sobie cenię służbę więzienną i podziwiam tych, którzy poświęcają dużą część swojego życia aby nieść tam Boże światło, dobrą nowinę dla tych ludzi. Za każdym razem kiedy tam wchodzę czuję coś dziwnego i tajemniczego. Gdy byłem w wojsku cierpiałem niesamowicie, gdyż nie lubię zamknięcia i może stąd to emocjonalne utożsamianie się z tymi ludźmi. Kiedy spotkałem Jezusa osobiście wyprowadził mnie z więzienia iluzji. Ci ludzie potrzebują w pierwszej kolejności wolności Chrystusowej w swoim życiu. My nie obiecujemy im, że wyjdą na wolność np. za trzy miesiące. Mówimy, że jeśli zdecydują się wybrać życie z Jezusem, to natychmiast otrzymają wolność, wolność duchową, której im nikt nie odbierze. Przypominają mi oni także małe dzieci. Siedzą tam i wszyscy jak jeden muszka zaakceptować posłuszeństwo wobec przełożonych, ich wyższość i podporządkowanie się ich prowadzeniu. Na głos wartownika idą do cel, schodzą na apel, udają się na spacer. Żyją według zasad tam panujących, każda próba niedostosowania do nich koń-

czy się przeważnie karą. Jezus przyszedł na ziemię i powiedział, że jeśli On nas wyzwoli to wtedy dopiero prawdziwie wolni będziemy. Dla tych ludzi kara może zakończyć się już dziś. Jezus daje wolność i przynosi duchową amnestię.

Mariusz Sobański (Philadelphia): – Nie mogę zapomnieć szczególnie jednego człowieka z więziennych koncertów. Był taki moment podczas rozkładania sprzętu kiedy podszedł do nas wysoki szczypliwy więzień, miał dłuższe spięte włosy. Zapytał grzecznie czy mógłby chwilę pograć na gitarze, pierwsze dźwięki na mocno rozkręconym piecu zaskoczyły wszystkich, i nas i jego kolegów. Wymiałał naprawdę rockowo. Pomyslałem szkoda, że tacy ludzie trafiają do więzienia, pamiętam, że wolał na niego Dżiki. Modlimy się o Dżikiego i o wszystkich, którzy pozostali po drugiej stronie muru...

Philadelphia Tworzą swoją muzykę w małym zaprzyjaźnionym studio często późnym wieczorem, a nawet nocą, gdy w studio już nikt nie pracuje. Mieszkają w różnych, odległych od siebie miejscach Polski, jak tylko to możliwe przyjeżdżają raz w miesiącu na dwa, trzy dni. Każdy dźwięk i nowy pomysł nagrywają, rejestrują na płytach. Wytrwale realizują swoje plany, wszystko jest przemyślane, jednak zawsze odbywa się to bez niepotrzebnego pośpiechu, ciśnienia, bez wyścigów z resztą świata. Uważnie śledzą wszystko to, co pojawia się na muzycznym rynku, nie poddają się jednak żadnym kolejnym chwilowym trendom, konsekwentnie robią swoje. Nie interesuje ich komercja i komercyjny sukces. Koncertują w zakładach karnych dla recydywistów, w kościołach, w klubach rockowych, wszędzie – dokądkolwiek ich zaproszą. Podczas koncertów można zobaczyć projekcje multimedialne, obrazy stworzone specjalnie do muzyki i tekstów grupy Philadelphia, oddające jeszcze bardziej jej charakter i klimat. Muzycy mają za sobą pierwszy etap pracy nad płytą, zespół zrealizował kilka pomysłów szukając kierunku dla brzmienia powstającego materiału, niebawem rozpoczną poszukiwania wydawcy dla swojej płyty. Na internetowej stronie zespołu Philadelphia są fotografie z części koncertów, a także muzyka w mp3. ■

Marta Tyłenda



mate.o

ZAPOMINAM SIEBIE

Małgorzata Wiczonek

mate.o – Mateusz Otremba. Przez niektórych określany jako lider uwielbienia. Jego piosenki śpiewane są w kościołach i na wielu spotkaniach modlitewnych. Wydał już trzy płyty „Totalne uwielbienie” i „Jesteś dobry”. Ostatni krążek mate.o – „Piosenki młodych wojowników” podbił serca najmłodszych.

Teraz przyszła pora na coś oparte o przemyślenia życiowe. Taka ma być nowa płyta Mateusza „Zapominam siebie”, której wydania należy spodziewać się w kwietniu 2006. I choć artysta mówi, że rzadko się zapomina, to ZAPOMINAC SIEBIE ciągle się uczy. Zapominania siebie, a raczej o sobie w Bożej obecności. To tak, jak w jednej z piosenek z nowej płyty:

**Zapominam siebie,
kiedy Ciebie poznaję,
Ty stajesz się ważniejszy,
a ja siebie zapominam.**

Cała płyta została zainspirowana i oparta o przeżycia ostatnich dwóch lat mate.o. W tekstach piosenek znajdują się doświadczenia radości i smutku, szczęścia i łez, uśmiechu, który w ciszy potrafi poruszyć Niebo i rozpaczy, która jest początkiem nadziei. Utwory powstawały w ciszy. *Tak wielu z nas jest w drodze, czasami chcemy się zatrzymać i pobyć w tej świętej ciszy* – powiedział mate.o. „Zapominam siebie” ma skłaniać do refleksji, bardziej do słuchania ciszy niż mówienia... *Cisza to ta przestrzeń w sercu i umyśle, gdzie do-*

chodzimy do granic swojego gadulstwa, obiecywania różnych rzeczy Bogu. Cisza jest miejscem słuchania. Cisza to miejsce gdzie nie mamy własnej odpowiedzi – mówił mate.o.

**Naucz mnie ciszy
Bo słów pusto brzmiących
Dość było w nas**

Gdy zapytałem mate.o, jakby opisał nowe piosenki, powiedział: *Trudno jest opowiadać o muzyce, gdy się jej nie słyszy*. Tym razem będzie to krążek z piosenkami autorskimi i bardzo osobistymi. Będzie wiele trudnych pytań i odpowiedzi. Raczej nie będą to piosenki (nie wszystkie) do wspólnego śpiewania.

Ta płyta będzie się bardzo różniła od poprzednich. Nie będzie na niej słycać ulubionego ongiś przez mate.o ostrzejszego gitarowego brzmienia Matta Redmana. Nie będzie też poszukiwania ekspresji muzycznej w panujących trendach. Nie będzie eksplozji radości wyrażonej niczym dziecięce podskakiwanie. „Zapominam siebie” będzie bardziej akustyczna, będzie na niej więcej muzycznych improwizacji. i nie trudno się domyślać, że będzie

zachęcała do zastanowienia się nad ważnymi w naszym życiu sprawami.

W nagraniach wzięli udział Paweł Bzim Zarecki, Irek Głyk, Robert Szydło oraz Tomasz Lipert. Przy realizacji dźwięku pracował Maciek Prokopowicz. Opiekę producenką nad pracami w studiu sprawował Bzim. Płyta była nagrywana m.in. w studiu „Echo” w Świętej Katarzynie, niedaleko Wrocławia. Czas nagrywania płyty był nie tylko czasem wspólnego muzykowania. Każdy dzień muzycy rozpoczynali od modlitwy, od inspiracji Słowem Bożym. Wszystko po to, by odkrywać jak wielkimi darami obdarzył ich Bóg, by uczyć się dziękować, tak zwyczajnie, tak prosto.

Na początku roku wystartuje nowa odsłona internetowej strony mate.o: www.mateo.kdm.pl. Na niej pojawią się m.in. filmiki ze studia, które będą opowiadały o pracach nad płytą. ■ Filip Wojnar

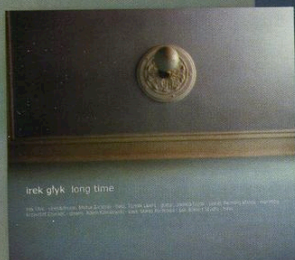
Paweł Zarecki



L. WOJNAR

irek głyk

long time



IREK GLYK – BIOGRAFIA

Od najmłodszych lat wykazywał duże zainteresowanie muzyką. Ukończył Wydział Jazzu i Muzyki Rozrywkowej AM w Katowicach. We Frankfurcie w 1992 r. zadziwił swoim talentem pedagogów bostońskiej Berklee College of Music i otrzymał pełne stypendium tamtejszej uczelni. W roku 1994 założył swój pierwszy zespół Ireneusz Glyk Kwartet, którego członkami byli: Adam Kowalewski – bass, Krzysztof Dziedzic – perkusja i Marek Podkova – sax. Kwartet szybko odniósł sukces na scenie jazzowej. W ankiecie Jazz Forum Ireneusz Glyk został uznany III wibrafonistą w Polsce oraz "nadzieją polskiego wibrafonu". Współpracował z czołówką muzyków sceny jazzowej jak i pop-rockowej. Stanisław Sojka, Justyna Steczkowska, Paweł Kukiz, Reni Jusis, Ireneusz Dudek, Mieczysław Szczęśniak, Jorgos Skolias, Katarzyna Gertner, Ewa Uryga, Anthimos Apostolis, SBB, Tomasz Stańko, Tomasz Szukalski, Maciek Sikala, Piotr Wojtasik, Grzegorz Kapołka, Bronisław Duży, Grażyna Łobaszewska, Marek Bałata, Wojtek i Jacek Niedziela, Ruth Lynch, Junior Robinson – to tylko niektóre z postaci, z jakimi muzykował. Jako muzyk sesyjny nagrał wiele płyt nie tylko dla artystów polskich, ale i zagranicznych. Obecnie pracuje z zespołem mate.o i jest liderem swojego zespołu Irek Glyk Multisound.

www.glyk.art.pl ■

SCENA I

Sala gimnastyczna malej, wiejskiej szkoły w Bieszczadach. Tam gdzie rzadko ktoś zagląda, nawet czas zdaje się biec nieco wolniej. Na prowizorycznej scenie Irek Glyk (perkuszja, wibrafon) z przyjaciółmi z zespołu mate.o gra i mówi o nadziei.

SCENA II

Sala główna Gliwickiego Teatru Muzycznego. Koncert w ramach prestiżowego śląskiego festiwalu „Jazz Sessions”. Na scenie Irek Glyk w towarzystwie najjaśniejszych gwiazd polskiej sceny jazzowej na czele z Anna Serafińska i Bernardem Maseli gra i mówi o nadziei.

LONG TIME

to solowa płyta Irka Glyka, perkusisty i wibrafonisty znanego ze współpracy z takimi zespołami jak mate.o, Shakin Dudi, SBB. Płyta zawiera 10 instrumentalnych utworów w większości autorstwa Glyka, które stylistycznie nawiązują do twórczości Gary Burтона, Chicka Core'a czy innych twórców jazzu nowoczesnego. Całość brzmi zaskakująco spójnie, mimo iż część utworów została zarejestrowana w studio, a część na żywo podczas koncertów m.in. Irek Glyk Kwartet. Płyte można śmiało nazwać ambitną i wymagającą, ale jednocześnie brzmi ona dość dostęпно dla szerokiego grona odbiorców.

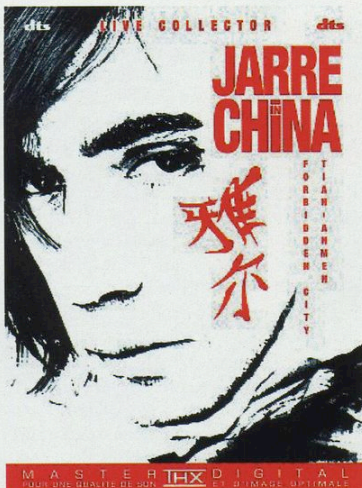
MUZYCY,

którzy wzięli udział w sesjach nagraniowych to od wielu lat szanowane nazwiska (m.in. Bernard Maseli, Tomek Lipert, Joanna Gajda, Adam Kowalewski), ale największym fenomenem na tej płycie jest sam Irek Glyk, który samodzielnie stworzył i zagrał część harmoniczną (wibrafon) i część rytmiczną (perkuszja). Jeżeli dodamy do tego piękne, stonowane fotografie i wygląd okładki (projekt – mate.o) to otrzymamy wymierny efekt pracy o jakim marzy wielu artystów.

Płyta do nabycia w internetowym sklepie www.paganini.com.pl

szczepan stiepa wojnar





JEAN MICHEL JARRE

Jarre in China

Warner 2005

Co do jednego nie ma wątpliwości: Jean Michel Jarre nie zaskoczy nas już niczym. Syn Maurice'a Jarre – wybitnego twórcy muzyki filmowej – intrygujące płyty nagrywał na przełomie lat 70. i 80. XX wieku. Od tego czasu muzyka elektroniczna rozwinęła się do tego stopnia, że – skądinąd bardzo zdolny Francuz – nie był w stanie nadrobić dystansu. Pytanie jednak, czy na pewno tego chciał? Otóż całe lata 90. kompozytor poświęcił na organizowanie gigantycznych koncertów, które weszły do historii muzyki rozrywkowej dzięki pionierskiemu użyciu laserów, świateł i scenografii. Często działo się to przy okazji różnych historycznych rocznic. Jeden z takich koncertów mogliśmy oglądać na żywo podczas obchodów 25-lecia Solidarności, drugi – upamiętniający wydarzenia na Placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie możemy obejrzeć dzięki wydanemu właśnie 3-płyтовemu zestawowi „Jarre in China”. I tu właściwie moglibyśmy skończyć.

Wydanie jest perfekcyjne – zawiera dwie płyty DVD z dwoma koncertami, a ponadto film dokumentalny, wywiady i galerię zdjęć. Dodatkowo jest trzecia płyta audio. Koncerty przygotowane są w technologii THX, która umożliwia doskonały odbiór (oczywiście na dobrym sprzęcie!). Jeśli chodzi o repertuar, to też właściwie jest optymalny – zachowane są odpowiednie proporcje między utworami klasycznymi (Oxygene 4 i 2, Equinoxe 4 czy Rendez Vous 2 i 4) a nowościami (Aero, Aerozone). Miła oko scenografia dopełnia do bólu poprawnego obrazu. No właśnie – coś tu nie gra. Wszystko jest chyba zbyt perfekcyjne, a sam muzyk – zbyt cukierkowy i poprawny... Czasem dochodzę do wniosku, że tacy wykonawcy jak Jarre czy reaktywowany z okazji Live 8 Pink Floyd, grają już tylko po to, by bić rekordy w księdze Guinnessa. Koncert w Pekinie był chyba również rekordowy – dziesiątki milionów ludzi zobaczyły go za pośrednictwem telewizji i na żywo. Tylko to już chyba nie jest moja bajka. ■

Marek Horodniczy

PŁYTA DO KUPIENIA NA WWW.PAGANINI.COM.PL



KORZEŃ Z KRAJU MELCHIZEDEKA

Radicala

Wydawnictwo WAM, Kraków 2005

„Radicala” formacji Korzeń z Kraju Melchizedeka to album mocno synkretyczny: choć zdominowany przez klimat undergroundowego hip-hopu, ragga i dancehallu, usłyszeć na nim można także soul, r'n'b, nieco elektronicznego gothicu, a nawet specyficzną, wybuchową mieszkankę techno z punkiem. Teksty pozostają jednoznacznie zakorzenione w Biblii, dotykając przy tym w bezkompromisowy sposób współczesnej tematyki: problemów zanieczyszczenia środowiska, wzrostu ekonomicznego ubogiej ludności państw słabo rozwiniętych, terroryzmu, rozprzestrzeniania się śmiertelnej kultury narkotykowej itd. Płyta CD skierowana do młodych słuchaczy. „...Oto Korzeń z Kraju Melchizedeka Głos wojownika w obronie pokoju, Wołanie proroka o szacunek do człowieka, Ragga-dywersonja w murach Babilonu Ragga-Ruah! Miecz Słowa czyli moc Świętego Ducha, Ducha Jezusa...”

Wykonawcy:

Baranek: śpiew, melodie
DJ Fabbs – muzyka, rap-ragga nawijki
Teksty: Biblia, korzeń z Kraju Melchizedeka,
Karol Wojtyła (Schizotypik),
Kojot Pustynny (Anti – Terrorist Protest song) ■

Płyty znajdziesz na stronie: www.paganini.com.pl

Nie ma miejsca, w którym nie można głosić Miłości

Żyjemy w świecie reklam. Otaczają nas billboardy a w skrzynkach pocztowych znajdujemy codziennie dziesiątki ulotek... Reklama stała się właściwie naszą rzeczywistością. Czy jest rzeczywistością kłamstwa? Czy jest niemoralna? A może istnieje możliwość wykorzystania jej do ewangelizacji? Z Remigiuszem Reclawem SJ rozmawia Weronika IkaH Gurdek.

Zanim rozpoczniemy rozważania na temat samej reklamy i marketingu, i zanim odniesiemy to wszystko do głoszenia Ewangelii, zastanówmy się nad samą istotą ewangelizacji. Jest to bowiem największe zadanie chrześcijan wobec bliźnich na całym świecie. Ewangelizacja to działanie wpływające z wielkiej miłości...

Człowiek, który przeczytał bardzo dobrą książkę – zaraz chce ją dać przyjacielowi, aby on też mógł ją przeczytać, potem kupuje komuś na urodziny, poleca znajomym w szkole i pracy. Jest to zachowanie normalne i nikogo ono nie dziwi. W ten sposób poleca się bezinteresownie to, co uznajemy za dobre zarówno dla nas, jak i osób nas otaczających. Poza tym należy uznać, że

jest to proporcjonalnie najskuteczniejszy sposób reklamy: procent osób, które skorzystają z otrzymanej propozycji jest bardzo wysoki. Podobna zasada jest w ewangelizacji. Człowiek, który spotkał Jezusa, człowiek, który dowiedział się, że jest bezgranicznie kochany, że wszystko jest mu wybaczone nie potrafi o tym nie mówić. Nie da się o tym nie mówić. Jest to po prostu niemożliwe. Problem zatem nie polega na tym, czy ewangelizacja jest największym zadaniem chrześcijan, czy też największym zadaniem jest coś innego. Jeśli chrześcijanin (świecki czy duchowny) naprawdę doświadcza codziennie Jezusa, jeśli Go spotyka na modlitwie i w drugim człowieku – to nie potrafi o tym milczeć. Jego życie, jego słowa, jego uśmiech na twarzy – to wszystko jest ewangelizacją. Tak, jak osoba zakochana zawsze ma bluszczące z radości oczy, tak zakochany w Jezusie chrześcijanin jest cały jedną wielką ewangelizacją. Problem polega tylko na tym, czy ów chrześcijanin (świecki czy duchowny) spotyka Jezusa, czy jest zakochany...

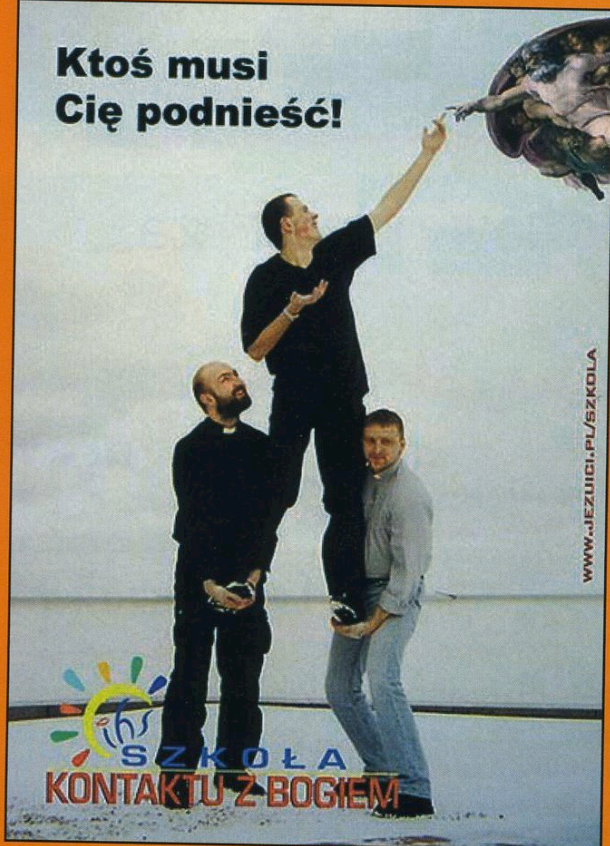
I rzekł do nich: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! (Mk 16,15).

Jezus skierował do uczniów bardzo konkretne polecenie głoszenia Ewangelii. Były to jednak słowa do ludzi, którzy cali poszli za Nim. Jezus dał to polecenie ludziom zakochanym w Bogu, aby dobrze wiedzieli, jak ukierunkować swoje pragnienia. Po tych słowach uczniowie wiedzieli, że nie muszą tłumić w sobie radości ludzi, którzy są kochani i kochają. Wiedzieli też, że głosić to mają zawsze i wszędzie. Nie ma miejsca, w którym nie można by było głosić Miłości, nie ma osoby, której nie powinniśmy głosić Ewangelii.

Ewangelia od wieków tłumaczona była na język kultury. I zawsze towarzyszył temu jakiś bunt, bądź to części duchowieństwa albo wiernych. Wszelkie podziały miały jednak charakter tymczasowy. Dziś nikogo nie dziwi Biblia pauperum, ale oburzamy się na hip-hopowe psalmy...

Rzeczywiście, to prawda, że na przestrzeni wieków różnie rozumiano ewangelizację. Myślę jednak, że historia zatacza pewne koło. Pierwsze cztery wieki były rzeczywiście wiekami ewangelizacji, tak jak ją dziś rozumiemy. Pierwsi chrześcijanie wchodzili

**Ktoś musi
Cię podnieść!**



w kulturę swoich narodów i w ramach tej kultury głosili Miłość. Od V wieku mamy taki okres, że władca przyjmował wiarę i razem z nim robił to cały naród. Taki stan trwał bardzo długo, bo aż do późnego średniowiecza. Sprzyjało to temu, aby robić wyprawy krzyżowe itd. Powód był jasny: zmienimy władcę, to cały kraj przyjmie wiarę. Nie można mówić, że była to ewangelizacja, tak, jak ją rozumiemy dzisiaj.

Problem, który rysował się coraz bardziej w Kościele polegał na tym, że chrześcijanie nigdy nie spotkali osobiście Jezusa. Kościół to widział od samego początku, dlatego pojawiła się forma katechezy, również zawsze wpisana w kulturę danego narodu. Katecheza przybliżała Miłość tym, którzy byli zakochani w Miłości lub tym, którzy się za takich podawali.

XV i XVI wiek, głównie za sprawą jezuitów, przyniósł największy rozkwit katechezy w Kościele. Był to czas nie tyle walki z reformacją, jak to się często podaje, ale uświadamiania katolikom, że są katolikami i konsekwencji z tego płynących. Dlatego też jezuita zaczęli szybko tłumaczyć Pismo święte i Katechizm na różne języki. Nie raz sami pisali katechizm, aby był bardziej przystępny dla ludzi.

Dziś Kościół nieustannie głosi katechezę. Coraz częściej jednak w odpowiedzi na pytanie „Dlaczego katecheza nie przynosi rezultatów?” pada odpowiedź „Bo nie było wcześniej ewangelizacji, albo re-ewangelizacji”. Najpierw człowiek się zakochuje, a potem chce tę osobę poznać. Najpierw jest doświadczenie Jezusa Żywego, Jezusa, który jest dla mnie największym skarbem na ziemi. Dopiero potem można głosić katechezę. Dlatego też coraz częściej w parafiach w ramach rekolekcji wielkopostnych lub adwentowych proponuje się wiernym rekolekcje ewangelizacyjne. Wielokrotnie, wraz z zespołem Mocni w Duchu z Łodzi, prowadziłem właśnie rekolekcje ewangelizacyjne.

Zanim zapytam, czy w takim razie możliwe jest wykorzystanie marketingu i reklamy do ewangelizacji, znowu wypada zacząć od teorii... Marketing (obejmujący reklamę jako jedną z jego płaszczyzn) jest to z założenia zespół działań, który ma na celu doprowadzenie do tego, aby dany produkt lub usługę sprzedać (definicja szalenie uproszczona!). Sama reklama ma za zadanie o pro-

nie

jesteśmy aniołami



dukcie lub usłudze poinformować i do niej przekonać. Czy więc można sam marketing uznać za niemożliwy czy nieetyczny?

Istnieje pewien problem między ewangelizacją a reklamą i marketingiem. W reklamie i marketingu trzeba rozróżnić dwie rzeczy: osoby, które tam pracują oraz metody, których używają. Otóż używane metody są wynikiem badań naukowych, a zatem należy je traktować podobnie jak komputer, film, internet lub telefon. Natomiast ludzie, którzy pracują w reklamie tworzą swoje dzieła za pieniądze, na zlecenie. Raz tworzą reklamę dla produktów firmy Kodak, a zaraz potem dla Samsunga. To jest po prostu ich praca i nie ma w tym nic sprzecznego. Ewangelizacja zawsze wykorzystywała wszystkie dostępne środki techniczne i dalej będzie tak robić. Tego nikt nie zatrzyma. Jeśli ktoś, kto jest zakochany w Jezusie tworzy strony internetowe, to z pewnością szybko zaangażuje swoje zdolności dla dzieła ewangelizacji. Jeśli ktoś zakochany w Jezusie świetnie gra na gitarze elektrycznej lub perkusji, to

zaangażuje swoje zdolności w dzieło ewangelizacji. Nie będzie przecież teraz uczył się grać na organach, bo zakochał się w Jezusie. To byłby absurd.

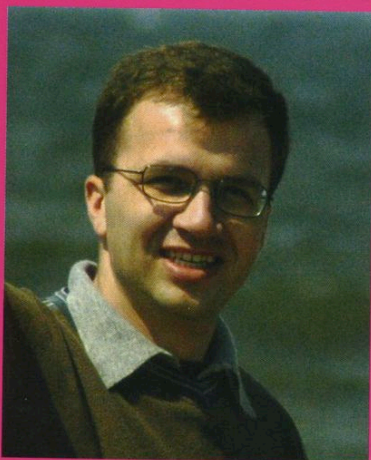
Różni nas jednak od marketingu świeckiego to, że „pracownicy” ewangelizacji nie mogą zmienić „reklamowanej firmy” tak po prostu. Ich życie powinno być takie, jak pokazują na reklamie. Wiem na przykład, że do zespołu ewangelizacyjnego Mocni w Duchu z Łodzi nie można się tak po prostu dołączyć. Od osób, które chcą razem posługiwać wymaga się pewnej dojrzałości w wierze, zakochania w Jezusie i poddania się formacji duchowej przez rekolekcje ignacjańskie. Niektórzy za pracę w zespole otrzymują normalną pensję, ponieważ niezbędne dla funkcjonowania zespołu jest, aby byli w nim na pełny etat. Zespół jednak nigdy nie zatrudnił „nowego pracownika”. Zawsze było tak, że decyzja o zatrudnieniu była podejmowana w sytuacji, gdy ktoś potrzebny był w tym rodzaju ewangelizacji, w takim wymiarze czasu, że nie miał możliwości podjęcia innej pracy zarobkowej. Pokazują przez to, że ewan-

gelizator nigdy nie głosi, aby zarobić. Jednak jeśli zaangażowany jest w ewangelizację bez reszty, normalne jest, że ona go również utrzymuje. Dotyczy to zarówno duchownych, jak i świeckich.

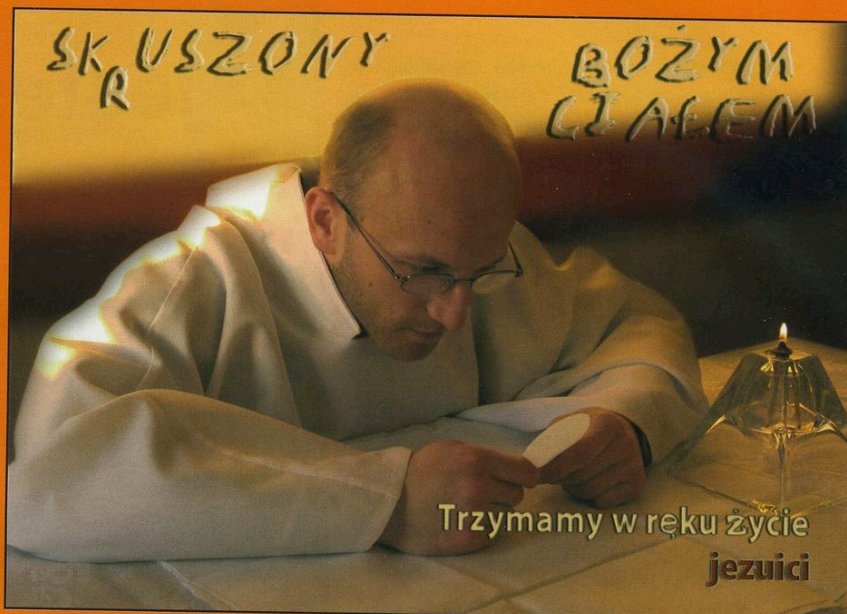
Myszę, że chrześcijanie muszą dbać o to, aby „reklama” Ewangelii mówiła prawdę, nawet kosztem skuteczności. Dlatego np. wykluczona jest reklama porównawcza, bo jej zastosowanie w przypadku Ewangelii byłoby sprzeczne z Ewangelią. Prawda może być reklamowana, ale należy dokładać niezwykłej troski, aby robiła to w sposób prawdziwy. Inaczej byłoby to sprzeczne z jej przesłaniem i z góry skazane na niepowodzenie.

We współczesnej reklamie liczy się efekt, czasem stosuje się metody, które ograniczają wolność człowieka. Jest dla mnie jasne, że tymi przesłankami nie może kierować się ewangelizator. Bo choć może się okazać, że odniósł sukces, to będzie to tylko jego sukces, a nie sukces Jezusa. Jezus mówi, że „Prawda was wyzwoli”, a zatem zakochany w każdym słowie Jezusa będzie się tymi wskazówkami kierował.

Co można reklamować? Czy tylko wytwory kultury i sztuki? A może postawy moralne? Elementy tra-



Remigiusz Reclaw SJ – jezuita, przez siedem lat zajmował się wizerunkiem (PR) zakonu jezuitów wśród młodzieży tworząc plakaty powołaniowe. Swoją pracę licencjacką z filozofii napisał o reklamie. Obecnie robi specjalizację z teologii w Paryżu. Więcej informacji na stronie: www.remi.jezuici.pl.



dycji i obrzędowości religijnej (np. święta)?

Uważam, że wszystko, co wymieniłaś można reklamować. Jeśli ktoś się podaje za chrześcijanina, a nie chodzi do kościoła, to myślę, że Kościół ma nie tylko prawo, ale i obowiązek przypomnieć takiej osobie o świętach, spowiedzi itd. Może to zrobić w różny sposób np. przez ministranta, który zapuka do drzwi i pyta się: „Czy Państwo przyjmują księdza po kolędzie?” albo przez list wysłany do domu. A może też przez dużą reklamę przed kościołem.

Czego powinni się wystrzegać, o czym pamiętać chrześcijanie konstruując działania marketingowe i same reklamy?

Myszę, że musimy dbać o to, aby tworzący reklamy sami byli już zewangelizowani. Poza tym głoszona przez Jezusa Dobra Nowina zawsze zostawiała dużo miejsca na wolność. Ten kierunek muszą mieć też wszystkie propozycje Kościoła z ewangelizacją na czele. Przyjęcie wiary nie jest dziełem manipulacji, ale dziełem Ducha Świętego. Jeśli będziemy się bawić w Ducha Świętego, to marnie skończymy.

Czy wykorzystanie reklamy do ewangelizowania nie sprowadzi chrześcijaństwa do rodzaju mody, way of life?

To zależy od nas. Wszystko, co nowe zawsze wiąże się z ryzykiem. Dlatego też trzeba sobie zadawać pytania, czy nie stawiamy reklamy ponad osobisty kontakt z człowiekiem. Zawsze bezpośrednia ewangelizacja powinna być na pierwszym miejscu. W ewangelizacji reklama może pomóc, ale na pewno nie zastąpi bezpośredniego przepowiadania.

Reklama zbudowana jest na zasadzie obietnicy. Obietnicy przyjemności, wygody itd. Jak to się ma do życia przykazaniami?

Stworzyłem już wiele plakatów ewangelizacyjnych i powołaniowych dla zakonu jezuitów. Nigdy jednak nie obiecywałem przyjemności ani wygody. Owszem – reklama proszków, jogurtów itd. proponuje przyjemność i wygodę, ale np. kilka lat temu była reklama wódki Bols, która proponowała wyprawę, ryzyko i przygodę – nie było mowy o wygodzie. Wszystko zależy od tego, co reklamujemy. Dla mnie Ewangelia jest wyzwaniem, Jezus największym skarbem świata, moje powołanie jest wspaniałą przygodą, ewangelizacja – realizacją tego, co mam w sercu. Jeśli tworzyłbym dziś reklamę, to mógłbym obiecać w niej to, czego sam doświadczam, nic więcej. Bo najważniejsze – w reklamie Prawdy musi być prawda.

Reklama opiera się m.in. na emocjach. A one mają taką naturę, że mijają. Wiara natomiast jest czymś stałym. Czy takie „granie na emocjach” jest fair w stosunku do odbiorców – naszych bliźnich?

A symbole, których w liturgii i kościele mamy masę – nie grają na emocjach? A muzyka – nie gra na emocjach? A kazanie – nie przekazuje emocji? Emocje w naszym życiu są wszędzie. Nawet, gdy uważamy, że ich nie ma – to są, tylko ukryte. Chodzi tylko o to, aby nie zostać na poziomie emocji. Dlatego reklama nigdy nie wystarczy. Reklama może być tylko pomocą w ewangelizacji i w katechezie. Ostatecznie wszystko ma prowadzić do bezpośredniego spotkania z sobą, z Bogiem i z drugim człowiekiem.

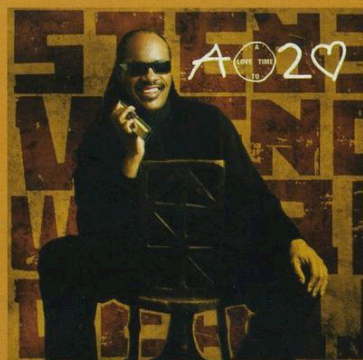
Podsumowując, myślę, że warto podkreślić, iż zwykle reklamowanie tym różni się od ewangelizacji, że to pierwsze chce zdobyć nasze pieniądze, a to drugie serce. Poza tym, zwykła reklama zawsze będzie interesowna – bo chodzi o zdobycie pieniędzy dla siebie, zaś w ewangelizacji chodzi o zdobycie serca dla Jezusa.

Właściwie nasze rozważania rozpoczęliśmy w czasie, kiedy chrześcijanie zaczynają dostrzegać moc reklamy i możliwość jej wykorzystania. Bardzo ważne jest to, żeby być w tych działaniach ostrożnym, żeby pamiętać o modlitwie i zawsze mieć na sercu dobro bliźniego, a nie nasze lub nie wyłącznie nasze. Chyba w pierwszym mailu jaki wymieniliśmy napisali: reklama wciąga. Zatem trzeba uważać... Dziękuję serdecznie za rozmowę. ■

Rozmawiała: Weronika Ika Gurdek

podyskutuj!

Pod adresem www.ruah.pl/forum działa forum dyskusyjne, na którym swoje miejsce znalazł także temat reklamy i ewangelizacji. Wszystkich Czytelników zapraszam do włączenia się w dyskusję. Powyższa rozmowa, mam nadzieję, jest dopiero początkiem szerokich rozważań na ten pasjonujący temat. Koniecznie zajrzyjcie na forum! (Ika)



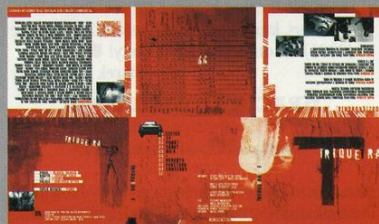
STEVIE WONDER

„A Time To Love”

Motown 2005

Nowa płyta Steviego Wondera będzie sporym zaskoczeniem dla wszystkich, którzy znają go jedynie z przeboju „I Just Call To Say I Love You”. Muzyka zawarta na „A Time To Love” jest wielkim powrotem gwiazdy wytwórni Motown do najlepszego okresu jego twórczości z początku lat 70. To wtedy muzyk stworzył definicję lirycznego soulu wzbogaconego o elementy funku i dźwięki harmonijki ustnej. Ten okres twórczości Steviego wywarł również znaczny wpływ na szeroko rozumiany świat rock’n’rolla i „czarnej muzyki”. Bez jego muzyki swoich talentów nie mogliby zaprezentować chociażby Terrence Trent D’Arby, Prince czy Jamiroquai. Na najnowszej płycie nie pozostał właściwie żaden ślad fascynacji Wondera charakterystycznym brzmieniem syntezatorów, którym w latach 80. zraził do siebie część fanów i krytyków. Znajdziemy tu natomiast nawiązanie do takich klasycznych albumów jak „Innervisions”, „Talking Book” czy „Music of My Mind”. Słowem – dopracowane w najmniejszym szczególe, piękne, tętniące życiem kompozycje, definitywnie kończące w twórczości artysty „lata chude”. Płytę, która bez wątpienia stanie się muzycznym wydarzeniem uświetnia udział znakomitych gości: Prince’a, Paula McCartney’a, Kim Burrell, Aishy Morris i India Arie. ■

Marek Horodniczy



TRIQUETRA

„T”

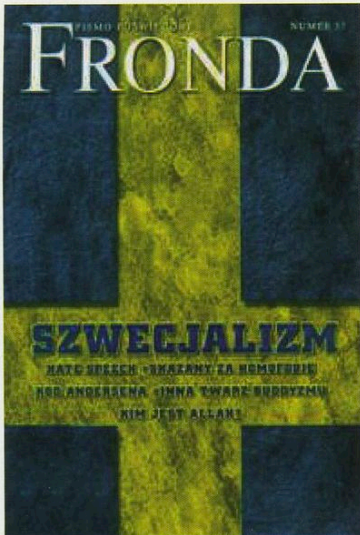
paganini 2005

Słów kilka na temat płyty z literką „T” na okładce. Żałuję, że w przeciwieństwie do moich dzieci, nie mam wysokiej gorączki i nie gadam od rzeczy. Wtedy pewnie ta recenzja miałaby o wiele więcej sensu, niż pisana tak na zimno, ze wszystkimi zmysłami wysrubowanymi próżnym oczekiwaniem, by spłodzić dzieło wiekopomne, rzucające na kolana. Niestety, są one jak rojenia rodzącej – natłok myśli powoduje, że zaczyna brakować słów na opisanie doświadczanych stanów, a jak na łamach pisma użyć pozawerbalnych sposobów do opisanie tychże?

Przez pierwsze dwie minuty i szesnaście sekund żalowałem, że Triquetra nagrywa nową płytę. Żalowałem bo w tych pierwszych stu trzydziestu sześciu sekundach nie usłyszałem tego, co na poprzednich pięciu pierwszych demówkach. Potem oczywiście ryknęło tak, jak lubię, ale dzięki tym stu trzydziestu sześciu sekundom zrozumiałem, że jest dobrze – tak jak dawniej Triqu umyka jednoznaczny klasyfikacją jako zespół punkowy czy core’orowy (że nie wspomnę już jaką dyskusję wywołały teksty Podola wśród chrześcijan nie rozumiejących, że może być ktoś, o podobnej konotacji mentalnej, a śpiewając o rzeczach najważniejszych, nie używając słów na literkę „B”, „J” czy „M”). Te piosenki okazują słabość, jaką chłopcy mają do przywalenia w gary. Lubią ciężkie riffy, ale potrafią dodać melodyjny zaśpiew, melodyjkę do nucenia/pogwizdywania (to działa – moje dzieciaki chodzą po domu i nucą „spieg, spieg pa ra pa ra pa pa param”), łączą ogień z wodą, a to połączenie daje parę. No a jak jest para, to zespół całkiem zasłużenie powołuje się na drugą zasadę termodynamiki – we wkładce. „Sabat” to przeboj radiowy jak nie – można nie lubić sposobu, w jaki kłama pieje, ale trzeba być głuchym, żeby tej melodii nie polubić. No i te słowa! Nawet nie chodzi o to, że chce się to śpiewać i śpiewać, ale jak tu nie uśmiechnąć się, kiedy konczy go kawałek Blues For The Red Sky Kyussa? Toż to jawna prowokacja!

Potem idzie już jak z płatką – ostre dźwięki gitary, motoryczna perkusja, lekko histeryczny wokół okraszony (a jakże) odrobina wrzasku w tle, czyli kapela at its best. Pazurki i piastki. Brudy, sprzężenia i inne nie muzyczne dźwięki wrzgnięte do tworzenia teje. Kto się jednak na to nabierze, skoro funkcję lidera określa powtórzone (a więc wypukłone) słowo o konotacji pejoratywnej, oznaczające człowieka prawdopodobnie inaczej? Numer piąty na płycie zaczyna się jak rasowy przykład ilustrujący rozwój polskiego punk rocka, by w chwili potem zaskoczyć jakimś śpiewnymi onomatopejami. Widać, że chłopakom nie zależy, żeby brać ich muzykę na poważnie – Ok, nagraliśmy płytę, zagraliśmy trochę koncertów, ale na Boga, nie bierzcie nas na poważnie, nie kłękajcie przed nami, nie bijcie nam pokłonów. Już bardziej zapraszamy do wspólnej zabawy. Mnie tam pasi odgadywanie tych wszystkich konotacji, cytatów z klasyki, nagiętych schematów. Myślę, że to nie fair, że akuratnie mnie przypało w udziale napisanie tej recenzji. Jeśli chodzi o ten zespół, to niestety jestem absolutnie bezkrytyczny. Już pierwsze spotkanie mnie powaliło i jak dotąd nie zauważyłem żadnej ściany. Mam tę przyjemność, że od kilku lat obserwuję, jak chłopaki zmagają się z materia, jak niektóre rzeczy się nie udają, a inne idą jak krew z nosa pod górę, i tym większy mam dla ich twórczości szacunek. Nawet, jeśli – o zgrozo!, zagrają ułamek Pieśni Nad Pieśniami w manierze Sigur Ros. Jeszcze słowo o okładce, obrazie Macka Burdy – pozioma belka łącząca dwie ściany dołu – podparta pośrodku belką pionową. Czyż to nie piękna metafora krzyża, który pozwala przejść człowiekowi po swoich ramionach i nie wpaść w pułapkę o pionowych ścianach, z której nie ma wyjścia? Podobnie jest z tekstami na tej płycie – wiele z nich na pozór bez sensu, odczytać można tylko pod warunkiem wtajemniczenia. Podolski bawi się prowokacją, jak pijany zongler pochodniami – milimetry dzieli go od nieszczęścia opaczego zrozumienia. Na pewno są to liryki, tyleż hermetyczne co osobiste. I ciekawe. Szczególnie jak się zna język białoruski, bo i w takim można posłuchać (jednej z ładniejszych) piosenek. Zwłaszcza na to co powiem: najfajniejszy jest Constans. Dlaczego? Na to pytanie odpowiecie sobie sami, jak przeluchacie ten dziesięćminutowy kawałek. Równowaga. Trans. Przepiękny. ■

Grzegorz Waclaw a.k.a. dziki.



FRONDA NR 37
SZWECJALIZM
Fronda 2005

Pamiętacie taki film, z muzyką Michała Lorenza, o dwóch chłopcach (he he he, nie o tych co ukradli księżyc i wygrali wybory), którzy ukryci pod nazepą TIR'a uciekają z komunistycznej Polski do Szwecji? Nazywał się „300 mil do nieba”.

Po lekturze najnowszej Frondy 37 bez problemu można powiedzieć, że tytuł ten jest kłamliwy i obraźliwy dla prawdziwego Nieba, a Szwecja to współczesny synonim piekła. Pięknie oddał to grafik na okładce najnowszego numeru. Gratuluję czujności rewolucyjnej, Janku. No. Prawda jest taka, że im dłużej czytam o dokonaniach różnych wesółków poza granicami naszego prząsnego kraju (tematycznie Frondy dzielą się albo na bloki programowe - islam, judaizm, śmierć albo biorą na tapetę jakiś kraj - Rosja, Niemcy, Hiszpania), to mam coraz mniejszą ochotę, aby go opuszczać. Przeciwnie, zastanawiam się, kiedy to Polska stanie się na powrót krajem schronienia, do którego ciągnąc będą wszyscy przesładowani Europejczycy. Aż dziw, że jeszcze tego nie robią, bo obraz wylaniający się z lektury szwecjalizmu, przejmując aż do szpiku kości, ziębi je niczym skandynewski mróz. Państwo ingerujące w więzi rodzinne, rozbijające społeczeństwo na atomy (najwyższy odsetek samobójstw w Europie przy relatywnie wysokiej stopie życia), zabieranie siłą dzieci od rodziców (przypadek śmierci Daniela), zamykanie do więzienia za głoszenie opartego tylko na cytatach z Biblii kazania przeciwko homoseksualizmowi (przypadek pastora Ake Greena), raport o zoofilii w Szwecji (która, wraz z homoseksualizmem, jest tam legalna od 1944 roku), i całe mnóstwo innych, acz wielce polecenia godnych tekstów, że wspomnę tylko o „Kim jest Allah?”, „W kraju Odyna”, „Inna twarz Buddyźmu” czy „Budda wędruje przez Niemcy”. Obraz, jaki się z tych tekstów wylania, jeśli nie przeraża, to daje do zastanowienia. Śmiało mogę rzec, że lektura tego pisma jest jak zabawa odbezpieczonym granatem w zamkniętym pokoju - może zmienić świadomość na zawsze. O pewnych rzeczach nie mówi się i mówić się nie będzie. Będziecie mogli o nich przeczytać tylko we Frondzie (No i może w OZON, bo redaktorem naczelnym tego ostatniego został były redaktor naczelny Frondy. Pogratulować Panie Grzegorzul! Zanurzeni w ciepłym kokonie pop kultury z pewnych emanacji świata po prostu nie zdajemy sobie sprawy, a co za tym idzie bezbronni wystawiamy się na rzeź. Doświadczył tego na własnej skórze poeta Wencel i od jego tekstu pt. „Wisby” lekturę najnowszej, 37 Frondy, polecam zacząć. ■

Gregor Waclawsson, a.k.a. dziksson

CRACOW KLEZMER BAND plays John Zorn Sanatorium Under The Sign Of The Hourglass

Tzadik 2005

Lider CKB, Jarosław Bester, w wywiadzie, którego udzielił mi na lamach OZONU powiedział: Muzykę na „Sanatorium...” cechuje bardzo specyficzna atmosfera. Po przesłuchaniu naszych interpretacji Zorn stwierdził, że przychodzą mu do głowy tylko dwie interpretacje - Pilpul (dialektyczna metoda studiowania tekstu talmudycznego) i „Sanatorium pod klepsydrą”. Wspólnie



podjęliśmy decyzję, że nam również jest blisko do Schultza i pozostaliśmy przy tej interpretacji. Zorn mówił nam, że wiele lat nie znajdował odpowiedniej muzyki, którą mógłby oddać hold Schultzowi. Dopiero współpraca z nami dała mu tę możliwość. Faktycznie atmosfera na nowej płycie CKB jest niesamowita. Ale atmosfera to nie wszystko. Tym, co różni ostatni album od trzech poprzednich, jest osoba autora kompozycji. W związku z tym, że CKB interpretuje tu utwory Johna Zorna, w muzyce pojawił się pewien - nazwijmy to z braku lepszego słowa - chaos. Właściwie, nie wiem, czy to dobrze czy źle? Całość jest przecież zbyt perfekcyjnie przemyślana, by wkraść się jakiś błąd. Ciekawe, że im więcej słuchałem tej płyty, tym mocniej poddawałem się urokowi tego pozornego nieporządku. Być może więc wiąże się to z postacią Schultza, którego twórczość trudno zaliczyć do „poukładanej”...?

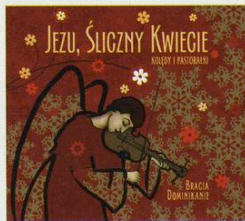
Czy poczucie owego „chaosu” wpływa na odbiór płyty? Odpowiedź brzmi: nie. Po raz kolejny w przypadku krakowskiego kwartetu otrzymujemy wyrafinowaną ucztę muzyczną, mieniącą się tysiącem kolorów (znowu gościnnie udziela się Grażyna Auguścik). Poziom wykonawczy, jaki prezentuje zespół, jest ustawiony niezwykle wysoko. Można powiedzieć: jak zwykle! Pomysłów jest tu tak wiele, że można by nimi obdzielić kilka płyt. Mam tylko jedną obawę, czy tym wybitnym muzykom wystarczy ich na kolejne płyty? Na razie nie musimy się tego obawiać, bo kolejny krążek CKB ma dokumentować koncert, który recenzowałem w RUaH, w nrze 30 (2005). A koncert był wyśmienity! ■

Marek Horodniczy

BRACIA DOMINIKANE Jezu, śliczny kwiecie

Dominikański Ośrodek Liturgiczny 2005

„Jezu, śliczny kwiecie”, kolejna płyta wydana przez Dominikański Ośrodek Liturgiczny, zawiera w większości tradycyjne lecz mało znane koledy i pastoralki opracowane i wykonane przez braci dominikanów. Śpiewowi towarzyszą instrumenty, m.in.: skrzypce, kontrabas, flety, akordeon oraz instrumenty perkusyjne. To wspólne, pełne radości i żywiołowe koleśowanie braci raz jeszcze pozwala odkryć piękno wypływające z przeżywanego we wspólnocie radości z narodzenia Pana. A t m o s f e r a płyty - bardzo ciepła i przystępna pozwala w pełni cieszyć się niezwykłym n a s t r o j e m Świąt Bożego Narodzenia. ■

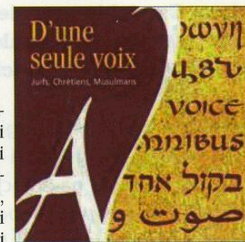


RÓŻNI WYKONAWCY D'une seule voix / Nie lekajcie się

AD VITAM records 2005

Wschód na kolanach

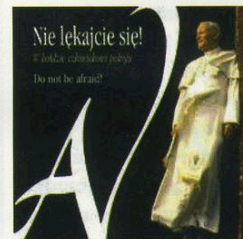
Po pierwsze: Są żydami, palestyńskimi i mużłmanami oraz ormiańskimi, greckimi, prawosławnymi i katolickimi chrześcijanami.



Łączy ich jedno: wszyscy mieszkają w Ziemi Świętej. Jako soliści i chóry, od wielu lat śpiewają o tej samej ziemi i o ukochanym mieście: Jerozolimie. Innymi językami wołają z ogromną tęsknotą o pokój. Teraz czynią to na jednej płycie. Jej tytuł mówi właściwie wszystko: D'une seule voix. Czyli „jednym głosem”. To znakomity krążek. Dawno nie słyszałem tak ciekawej, porywającej płyty. Zachwylił mnie od razu orientalnymi melodiami psalmów i ogromną stylistyczną różnorodnością podejścia do świętych tekstów. To muzyka pogranicza kultur, ogromny tygiel języków, melodii i tradycji. Zgromadzenie na jednym krążku dwudziestu pieśni, w których przepłatają się języki było znakomitą myślą. Na krążku usłyszymy dostojne sakralne hymny śpiewane po grecku, arabsku, ormiańsku, hebrajsku i po łacinie. Wszystkie stanowią jedną, wspólną muzyczną opowieść o Ziemi Świętej. Świat ma okazję usłyszeć wreszcie tych, których nie ujrzymy na co dzień na ekranach telewizorów. One jak zwykle pokazują krew, bomby i zaciśnięte w pięści dłonie. Płyta jest piękną opowieścią o upragnionym pokoju.

I po drugie:

Ledwie zdążyłem się wsłuchać w znakomity krążek „D'une seule voix”, a już na sklepowe półki trafił drugi niezwykle album. „NIE LEKAJCIE SIĘ!



W holdzie czlowiekowi pokoju” to płyta, na której hold polskiemu papieżowi oddają chóry i wykonawcy Wschodu i Zachodu. Artyści występujący na tej płycie są zwiastunami pokoju. Część

z nich: chór kameralny Jeruzalem Oratorio, chór dziecięcy z Taybeh koło Ramallah, mnisi z opactwa Abu Gosh, czy siostra Rabia Motran z Libii - ma nieustannie do czynienia z dramatycznymi sytuacjami zbrojnego konfliktu. Pieśni wyśpiewane na płycie z pasją przez Chór Trebevic zostały nagrane w marcu 1994 roku, w katedrze w Sarajewie podczas oblężenia bośniackiej stolicy. Chór składający się z Chorwatów, Serbów i Bośniaków - chrześcijan rzymsko-katolickich, prawosławnych i mużłmanów odważył się zjednoczyć pewnego zimowego dnia w katedrze pomimo bombardowań, pomimo zimna, wbrew wszystkiemu...

Album jest konkretnym owocem orędownictwa pokoju Jana Pawła II. To wspólne dzieło wyznawców wielu religii. Chóry bizantyjskie z Grecji występują obok chóru polskich górników z Douai („Z tej biednej ziemi” i „Gaude Mater Poloniae”) czy korsykańskiego zespołu „Tavagna”. ■

Płyty znajdziesz na stronie: www.paganini.com.pl

Marcin Jakimowicz

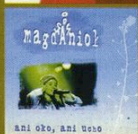


magdaniol

kiedy
dusza
śpiewa



ani oko,
ani ucho

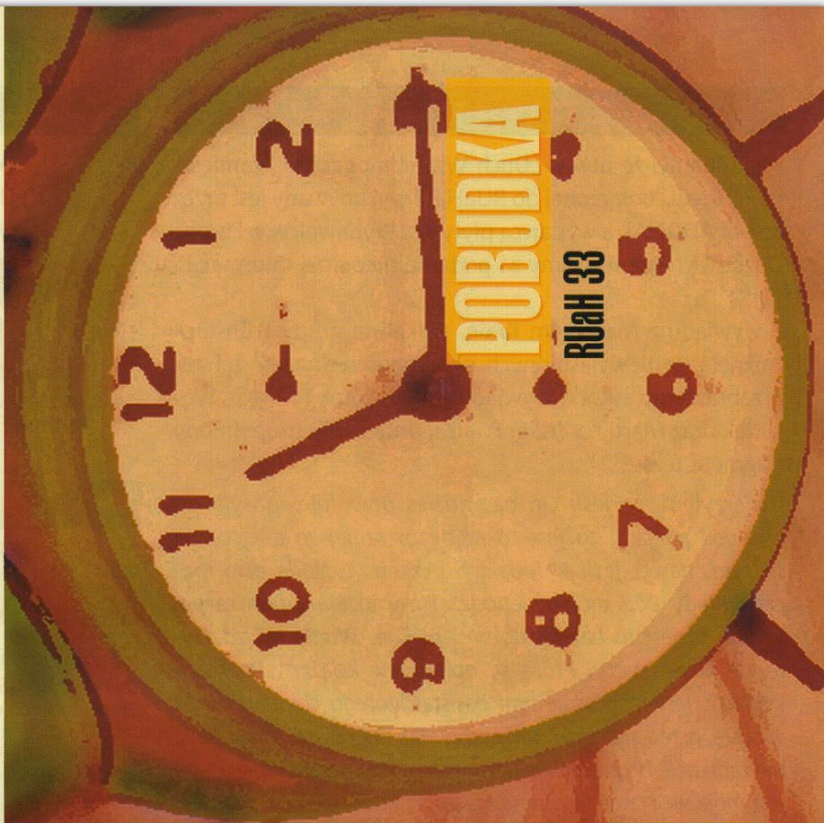


2 CD paganini

DWA ALBUMY MAGDY ANIOŁ NA JEDNEJ PŁYTCIE

WIĘCEJ NA:

WWW.PAGANINI.COM.PL



1. IKENGA DRUMMERS - Alleluja
2. FULL POWER SPIRIT & ZAKOPOWER, Katarzyna Suska, Mateusz Pospieszalski, Arek Skolik, DJ Haem - Raz w roku
3. BUDZIK - Pobudka
4. MIETEK SZCZEŚNIAK - O niebo lepiej
5. GOSPEL RAIN - Startoaj
6. METRO SPIRITUALS - Z mojego policzka
7. ALICJA DZIAK - Kołoda przybędą
8. KANA I PRZYJACIELE (Ukraina) - Hop, szigiri - dej
9. IZAIASH - Błask Boga
10. KORZEŃ Z KRAJU MELCHIZEDEKA - Gruzy Babilonu
11. ANASTASIS - Choć tak jak On
12. CEZARY PACIOREK & DIAKONIA MUZYCZNA „JEZUS ŻYJE” - Krzyż bierze Pan na ramiona - Stacja II (Droga Krzyżowa)
13. MIETEK SZCZEŚNIAK - Jesienna zaduma

BONUS: Teledyski

1. MAGDA ANIOŁ - Lolek Produkcja TVP S.A. Oddział w Katowicach
 2. FULL POWER SPIRIT & Lidka i Marcin Pospieszalscy, Bartek i Darek Malejonek, Viola Brzezińska, DJ Haem - Rozpal serce
- Reżyseria Grzegorz Sadurski, zdjęcia Alex Pavlovic

paganini ul. Batoiego 25/11 31-135 Kraków www.paganini.com.pl
CD 50 płyta dołączona do 33 numeru Magazynu Muzycznego RUAH
design: Jakimowicz

ZRÓB SOBIE OKŁADKĘ

Jacek Kowalski

9

SARMACJA W NIEBOWZIĘTA

kołеды są moherowe

nie jest rzeczą przypadkową, że stanowisko rzecznika do spraw równouprawnienia płci zostało zlikwidowane jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Premier udaremnił w ten sposób powołanie komisji, która miała skontrolować teksty kołęd, podstępnie głoszących brak wiadomej równości, a nawet – nie bójmy się tego słowa – szowinistycznych. Naszym zdaniem nie można ich śpiewać bez konsultacji z Europarlamentem. Łatwo zaś przewidzieć, jak by się takie konsultacje skończyły. Przepelnieni goryczą przypuszczamy, że wiadome Radio sterowało kampanią wyborczą właśnie po to, aby do kontroli tekstów kołędowych nie dopuścić i naród w ciemności utrzymać.

Na szczęście sami promotorzy tej akcji wystarczająco jasno obnażają swoje oblicze. Przyznają, że *kaczka pstra dudki ma*, co jasno określa pstry, czyli fałszywy i niejednorodny charakter obozu rządzącego, a zarazem wskazuje, jak należy określać jego członków – „dudków”. Nie zatuszuje ciężaru tej prawdy formuła *kwa, kwa, kwa, pięknie gra*. Jakże można „grać pięknie” i zarazem twierdzić, że *Heród spisek knuje*? Taka antysemitka retoryka, z teorią spiskową w tle, łączy się z postulatem promowania prywaty. Zamiast walczyć z korupcją, rządowi kołędziarze śpiewają *w źłobie leży*, jasno ukazując, gdzie leży ich cel.

Na tym, niestety, nie koniec. W dopuszczonej obecnie do wykonywania kołędzie pada nieuzasadniony zarzut pod adresem kobiety: *Ach, zła Ewa nabroiła*. Dlaczego „zła”? i dlaczego tylko ona? To uwłaszcza wszystkim paniom. Jak można bezkarnie sugerować, że Pramat-

ka z węzłem sama rozmawiała / i jabłuszka skoszlowała? Powinny zaprotestować firmy produkujące przetwory owocowe oraz obrońcy zwierząt, które ponadto są w kołędach zmuszane do odgrywania ról sprzecznych z naturą



– jak słyszymy: *Jezusowi przyspiewują*. Narusza się też godność ludzką w ogóle. Słyszymy, że Adam został z *raju wypędzony*, po czym już na tej naszej ziemi *zostawił plód zarażony*. Ten plód, to ludzkość. Jeśli plód był zarażony (co już samo w sobie jest obraźliwe), należało go odpowiednio wcześniej usunąć, a nie zostawić i unieszczęśliwiać, skazując na życie pozabawione uśmiechu przez – cytujemy – *cztery tysiące lat*.

Na podstawie tychże staropolskich kołęd dowiadujemy się w końcu, że *rozkwitnęła się lilija*, czyli Panna Maryja. To tylko pozorny ukłon w stronę zwolenników równouprawnienia. Dlaczego bowiem tylko Ta jedna kobieta została wywyższona? Najwidoczniej dlatego, że jest Ona modelowym przykładem uległości kobiety wobec męczyzny. Zarazem ideał męczyzny został w kołędach celowo uproszczony,

tak aby zmusić kobiety do akceptacji zarówno skrajnych macho jak pantoflarzy, tylko z tytułu ich płci. Dawne teksty określają przecież męża Maryi: „Józef stary”, widząc go jako niezdolnego do normalnego pożycia. A jednak ma on decydujące zdanie w stadle. Tego właśnie męża u końca dziewiątego miesiąca ciąży „nie było doma”, czyli że zaniedbał podstawowych zasad opieki. Zmusił swoją brzemienną żonę do dalekiej podróży, a gdy poczuła bólę rodzenia, zamiast zając się nią – podwajał tempo marszu, aż musiała go prosić: *Pomalu Józefie, pomaluśku proszę, / Widzisz że ja nie mogę biec tak prędko w drogę*. Kiedy wreszcie zległa na sianie, uchylił się od asystowania przy porodzie.

Idźmy dalej, do sedna wątpliwości. Już pół biedy w jednostronnym określeniu „Bóg się rodzi”, z którym nie zgodziliby się islamiści oraz syjoniści. Gorzej, że w uczucia miłośników gwiazdnych wojen i literatury fantasy godzi slogan „moc truchleje”. Wzywa się też podstępnie do bezrefleksyjnej akceptacji nauki Kościoła, wkładając w usta śpiewających słowa: *Panie Boże mój, / Jam jest wolek Twój*. I wreszcie rzecz najgorsza. Jasną zapowiedzią pravicowego zamachu stanu jest antydemokratyczne hasło „mędrcy świata – monarchowie”. Czy śpiewający je zapominają, że Ewangelia jasno daje do zrozumienia, że mądrość objawiono właśnie prostaczkom, a nie monarchom? To pachnie Le Penem i lfebrystami. Tymczasem *Jezus malusienki leży nagusienki* – panowie, jak wam nie wstyd, gdzie obiecanie becikowe? ■

Jacek Kowalski

MATSYAHU

POCHODZI
Z ORTODOKSYJNEJ
ŻYDOWSKIEJ RODZINY.
JEGO RÓWIEŚNICY PILNIE
ŚŁĘCZELI NAD WERSAMI
TORY, A PÓŹNIEJ
Z WYPIEKAMI NA TWARZY
ZACZYTYWALI SIĘ
W KOMENTARZACH, KTÓRE
DO JEJ SŁÓW NAPISALI
CADYCY. ON UCIEKAŁ.
ZE SZKOŁY I OD RELIGII.
GDY W KOŃCU ODKRYŁ
BOŻĄ MIŁOŚĆ ZACZAŁ
O NIEJ... RAPOWAĆ.
DZIŚ HIP-HOPOWY CHASYD
PODBIJA ŚWIAT.



SKOK NA GŁOWĘ W JARMUŁCE

ORTODOKSYJNY ŻYD ROBI STAGE-DIVING

Dostałem maila. Kumpel napisał mi krótko: chcesz zobaczyć ortodoksyjnego Żyda robiącego stage-diving? Wejdź na: www.ormusic.com/ecard/matsiyahu/ Klikam i wchodzę na stronkę. Widzę ubranego w tradycyjny strój brodatego faceta w kapeluszu. Zaczyna kołysać pulsujące reggae. Fajne, ale na razie nic mnie nie zaskakuje. Aż do momentu, gdy zaczyna się hip-hopowa opowieść. Słowa padają z prędkością karabinu maszynowego. Piosenka zbliża się do końca. Przy efektownej solówce gitary wokalista zdejmuje kapelusz. Pozostając w jarmułce rozpęda się i skacze ze sceny. Tlum niesie go na rękach.

MATTHEW MILLER zaskoczył wszystkich. Zaczął opowiadać biblijne historie językiem hip-hopu i reggae. Znany jest jako **MATSIYAHU**. Jego kalendarz koncertowy jest wypełniony. Występuje w małych, zadymionych klubach i ogromnych salach. Żywiolowe koncerty przyciągają prawdziwe tłumy. Jest ortodoksyjnym Żydem grającym i śpiewającym reggae. Płyta „Shake off the dust... Arise” czerpie garściami ze stylu Jamajki, ale wyrapowane teksty opowiadają o historii Izraela. Oparte są na słowie Biblii.

To naprawdę świetna muza. Porywające, skoczne regałowate kawałki, rapowane psalmy, subtelne, leniwie sączące się ballady. A słowa? Biblijne opowieści, pełne tęsknoty zawołania: „Pragniemy nadejścia Mesjasza”. Ostatnio muzyk wystąpił na najnowszej płycie P.O.D. „The Warriors EP Vol. 2”. Pojawił się gościnnie w dwóch numerach.

A WIĘC ON ISTNIEJE?

Urodził się w West Chester w Pensylwanii w 1979 r. w rodzinie chasydzkiej. Jego rodzina sporo podróżowała, by w końcu osiedlić się w White Plains w Nowym Jorku. Rodzice wysłali Matsiyahu do szkoły żydowskiej. Biegał do niej parę razy w tygodniu. Nie chciał się jednak uczyć, uciekał. Nauczyciele nie potrafili sobie z nim poradzić. Groziło mu wydalenie ze szkoły. Do czternastego roku życia Matthew wiódł wyluzowany tryb życia hipisowskich nastolatków. Należąc do grupy „Dead-Head” zapuścił dready, grał na bongu, ucząc się wybijać rytm... w ostatnich ławkach szkolnej klasy. Żył beztrosko, ale odczuwał w swym życiu ogromną pustkę. Zdecydował się wyjechać do Kolorado. Z dala od miejskiego hałasu miał możliwość spojrzenia w siebie i zastanowienia się nad dotychczasowym życiem. We wzbudających lęk i zarazem podziw górach, przyszło niespodziewane światło: Bóg istnieje!

Zbuntowany chłopak zaczął za Nim tęsknić. Po raz pierwszy w życiu wyjechał do Izraela. Tam zaczął się modlić. To było trzęsienie ziemi, punkt zwrotny w jego życiu. Matthew rozkoszował się czasem spędzonym na modlitwie, tańcu i odkrywaniu własnych żydowskich korzeni. „W każdym niespodziewanie napotykanym zakamarku, moja uśpiona żydowska tożsamość przeradzała się w pełną świadomości wiare” – opowiadał później.

Po powrocie do domu chciał pielęgnować swoje świeże powiązania z judaizmem. Szukał w nim swojego miejsca, ale znów nie potrafił odnaleźć się w szkole średniej. Zniechęcił się, zrezygnował z niej i opuścił dom na kilka miesięcy. Po powrocie za namową rodziców, zaczął uczęszczać do szkoły na pustkowiu w Oregonie. Tam Matsiyahu zaczął uczyć się wyrażania swych emocji przez muzykę. Studiował reggae i hip hop, rapował, śpiewał, uprawiał beat box. Połączył pulsujące rytmy reggae z hip-hopem. Ta mieszanka okazała się strzałem w dziesiątkę, a rapowane opowieści faceta w czarnym, tradycyjnym kapeluszu przyciągały coraz większe rzesze ludzi. Stał się znany. Po dwóch latach, dziewiętnastoletni Matsiyahu powrócił do Nowego Jorku jako odmieniony człowiek. Przeprowadził się do miasta, aby uczęszczać do szkoły (The New School) gdzie doskonalił tożsamość. Zainteresował się teatrem. Ku zaskoczeniu wszystkich w rozpędzonym, drapieżnym Nowym Jorku chłopak odkrył swą nową pasję: pełną tęsknoty mistyczną pieśń chasydów. Podczas nauki w New School Matsiyahu napisał sztukę pt. „Echad” (tłum: „Jeden”). Sztuka opowiada o dwóch chłopakach, którzy na Washington Square Park spotkali chasydzkiego rabiego i dzięki niemu stali się wierzący i praktykujący. Niebawem po wystawieniu tego przedstawienia, życie autora dziwnie zaczęło przypominać jego sztukę. Spacerując po parku spotkał „przypadkowo” rabiego Lubavitch. Zaczęli rozmawiać. Spotkanie przemieniło muzyka. Zmienił imię, zmienił tożsamość. Biblijny Jakub po walce z aniołem Pana stał się Izraelem, zbuntowany Matthew stał się hebrajskim Matsiyahu. Z osoby sceptycznie nastawionej do autorytetów i zasad, całkowicie przejął styl życia chasydów. Stał się bardzo rygorystyczny w przestrzeganiu żydowskiego prawa, zgłębiając naukę judaizmu. Obecnie Matsiyahu dzieli swój czas między sceną a jesziwą. Grając muzykę Boba Marleya pozostaje w swym przesłaniu całkowicie oryginalny. Jego koncerty podnoszą na duchu. Muzyk posiada niezwykłą zdolność przekonywania innych przez szczerą, a zarazem subtelną przekaz wiary. Dociera do najbardziej sceptycznie nastawionych słuchaczy.

Wydął dwie płyty: album „Shake off the dust... Arise” i koncertówkę. Zaskakują na niej nie tylko żywiolowe, pełne ognia hip-hopowe opowieści, ale przede wszystkim znakomity beat box. Czapki i jarmułki z głów. ■

Marcin Jakimowicz





MATISYAHU
King Without A Crown

Moja miłość
wyrwie dziurę w suficie
Daję Ci całego siebie,
całą moją istotę
Śpiewam mojemu Bogu
wszystkie piosenki
o miłości i uzdrawianiu
Czekam na Mesjasza teraz...
Jesteś wszystkim, co mam
i wszystkim, czego potrzebuję
Każdego dnia modłę się,
by Ciebie poznać
Jesteś jak woda
dla mej spragnionej duszy
Bez Ciebie nie ma mnie
Jesteś powietrzem,
którym oddycham
Czasem świat jest ciemny
i po prostu nie widzę
poprzez te demony,
które otaczają mnie zewsząd
i chcą mnie pogrzyźć
Ale tak – ja wierzę,
tak – ja wierzę,
mówię – wierzę
Stanę mocno na nogach
Nie dam się poniżyć
Będę walczyć całym sobą
i sprawię, że demony odejdą
Hashem (Pan) sprawia,
że ogień płonie jasno i wierzę,
Że z ciemności powstaje światło,
świta na wysokościach
Korona Niebios
płonie przez całą noc
Mówię – dziękuję memu Bogu,
nareszcie to rozumiem
I będę walczył całym sercem
i całą swoją duszą
Nie chcę żadnej trawy
To mnie tylko osłabi
Wypali mój umysł – za nic!
Mój umysł nie jest do preparowania
Pokarm z Tory dla mojego umysłu
– niech pada aż w nim utone
Grzmij! Niech łaski spłyną na nas
Jeśli toniesz i nie potrafisz
wyjść na powierzchnię
Proś Hashem (Pana) o litość,
a poda ci linę
Szukasz pomocy Boga
i mówisz, że nie mogłeś Go znaleźć
Szukasz wysoko w górze
i spadasz na ziemię
Jak król bez korony
Tak, spadasz w dół
Naprawdę chcesz żyć,
ale nie możesz przestać marszczyć brwi
Próbowales dotknąć niebios
i spadłeś związany na ziemię
Pozbyłeś się swojej dumy
i wtedy usłyszałeś głos

(tłum: Teresa Wojnarowska)

54 RuAh



14 października w krakowskim Studio Telewizji w Łęgu odbył się koncert „Pokolenie JP II”.

Zagrali muzycy sceny chrześcijańskiej w Polsce, z grup takich jak: 2 Tm 2,3, Armia, Maleo Reggae Rockers czy Full Power Spirit, hip-hopowe odkrycie ostatnich lat. Imprezę zorganizowano w dowód wdzięczności naszemu zmarłemu papieżowi Janowi Pawłowi II za służbę Kościołowi oraz z okazji powstania Fundacji „Dzielo Nowego Tysiąclecia”, przyznającej stypendia młodym, zdolnym ludziom z małych miast i wsi (umożliwiające ich kształcenie się na wyższych uczelniach). Co ciekawe, zaproszone zespoły połączyły się w jeden. Zwykle widz do dzisiaj nie wie, które z prezentowanych utworów pochodzą z repertuaru Tymoteusza, a które np. z Armii (słabo orientował się też w tej kwestii konferansjer). Elementem łączącym wszystkie piosenki była składająca się z młodych muzyków sekcja dęta i smyczkowa, a także multiinstrumentalista – Marcin Pospieszalski, który w kolejnych piosenkach sprawował coraz to inną funkcję, począwszy od basisty, na raperze kończąc. Kiedy na scenie pojawił się Full Power Spirit, a fani Tymoteusza w podobny sposób tanńczyli jego hip-hopowe piosenki, jak wcześniej utwory w stylu reggae, pomyślałam, że to przedsmak tego, co będzie kiedyś w niebie – wszyscy będą razem tanńczyć przed Panem, bez względu na to, czy są „metalami” czy braćmi w habitach. Apogeeem tej jedności nastąpiło w końcowym utworze „Shema Izrael”, gdzie nawet FPS miało swoją rapową wstawkę.

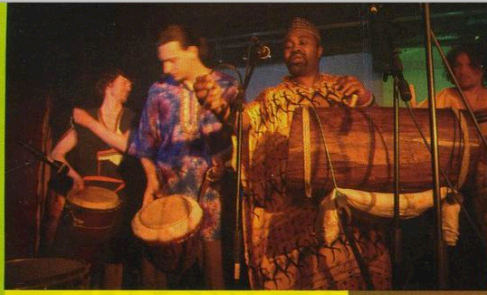
Niestety, koneserów tego rodzaju muzyki można policzyć na palcach obu rąk. Większość z nich pozostała w domach, nie będąc świadoma wagi wydarzenia. Ten fakt, jak i okoliczności koncertu – przeznaczony on był dla Telewizji, a co za tym idzie, musiał być odpowiednio zaranżowany i przetworzony (nie było mowy o spontaniczności!) – wpłynęły, jak mi się wydaje, na odczucia części widzów, dla których atmosfera była nieco „dřetwa i sztuczna”. Narzekali oni także na brak mocniejszych brzmień, ale myślę, że realizatorzy chcieli dopasować program do gustów ogółu – koncert transmitowany na żywo odbierała szeroka publiczność. Oczywiście, ze względu na promocję idei przyznawania stypendiów największą rzeszę jego odbiorców stanowili młodzi, przy muzyce wspomnianych zespołów można było tanńczyć, skakać, ale i modlić się. Muzycy przekazywali wartości obecne w Pismie Świętym, mówili o Jezusie i o tym, jak zmienia On ich życie. „Żyć, aby kochać, kochać, aby żyć” – śpiewał Maleo.

Myślę, że wspaniałe było w ogóle to, że koncert z profesjonalną muzyką mówiącą o Bogu wyemitowała Telewizja Polska. Oby coraz częściej można było w niej odnajdywać ślady obecności Boga i to nie tylko przy okazji tzw. „wydarzenia religijnego”, któremu towarzyszą zazwyczaj ekliwne piosenki czy nasycone sztucznym patosem pieśni choralne. Piękne jest to, że taki koncert mogła oglądać cała Polska! W pewnym momencie jego atmosfera zaczęła stawać się coraz bardziej gorącą i odczuwano się mocniej obecność Boga niż kamer. Szkoda, że w chwili

gdy pojawiły się piosenki budzące największe emocje, transmisja została przerwana. TVP, nieprzyzwyczajona do takiego obrotu rzeczy, prawdopodobnie nie bardzo umie sobie jeszcze z takim faktem poradzić... No cóż, skoro nie robiło się tego przez kilkadziesiąt lat... ■

Katarzyna Cudzych





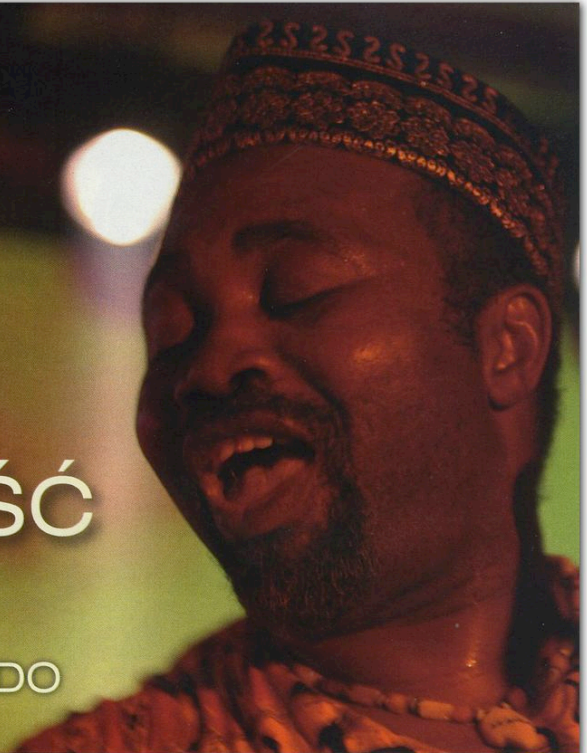
Alleluja

Kim jest ten Człowiek
Co niewidomemu dał wzrok,
Chromemu pozwolił chodzić
Kim jest ten Człowiek
Który wskrzesił umarłego
Alleluja Alleluja Amen
Chwała Tobie Panie
Królu królów
Za ofiarę Twego życia
Objawienie Twej miłości
Alleluja Alleluja Amen



RADOŚĆ ŻYCIA

OTO MOJE CREDO



z Larrym Okey Ugwu rozmawia Iwona Flisikowska

Czarnoskóry **LARRY OKEY UGWU**, to niezwykła i barwna postać trójmiejskiej sceny muzycznej. Charyzmatyczny, obdarzony talentami nie tylko muzycznymi, ale też plastycznymi i teatralnymi. Sercem jego działań jest zespół Ikenga Drummers, który wydał ostatnio płytę „Lustereczko”. Nazwa zespołu wywodzi się z afrykańskiego języka IGBO i oznacza „Ducha Opiekuńczego”, po słowiańsku – Anioła Stróża. Larry współpracuje z Teatrem Muzycznym w Gdyni i Teatrem Wybrzeże w Gdańsku. Na co dzień realizuje swoje talenty organizacyjne będąc dyrektorem Nadbałtyckiego Centrum Kultury w Gdańsku.

Twoje korzenie to Afryka – Nigeria, ale Polska stała się dla Ciebie drugą ojczyzną, domem...

To prawda. Przyjechałem na Wybrzeże w latach 80. i studiowałem na Uniwersytecie Gdańskim. W Trójmieście poznałem swoją przyszłą żonę – Basię, która wtedy studiowała na gdańskiej ASP. Jesteśmy razem już dwadzieścia lat i mamy dwie córki – Nekę i Tonnę. Udało nam się stworzyć dom, w którym korzenie słowiańskie i afrykańskie spłotyły się ze sobą...

Jesteś założycielem wielu grup muzycznych na Wybrzeżu, ale najczęściej występujesz z Ikenga Drummers.

Pierwszy zespół założyłem jeszcze w czasie studiów, było to w 1984r. Nazywał się International Rodos Reggae Band, potem istniał jako Sounds Vibration. W 1996 r. powstał zespół Biafra – graliśmy afrorock, afro jazz i reggae. Przez ten cały czas moja działalność muzyczna była osadzona w undergroundzie – nie chciałem zaprzedać się temu celowi, jak to nazywam – „Babilonowi”, w którym firmy fonograficzne rządzą artystami i mówią, jak mają grać i „kreować” swój sceniczny wizerunek. Nie chciałem być na fali, zwłaszcza, że chodziło o komercję. Potem przyszedł czas na Ikenga Drummers, która powstała w 1997 roku. To zespół etniczny, będący połączeniem tradycyjnych rytmów afrykańskich i polskiego folkloru. Podstawę inspiracji stanowią pieśni gospel z moich rodzinnych stron. Pamiętam, że od dzieciństwa żyłem w klimacie gospelsów śpiewanych w domu jak i na nabożeństwie w kościele. Zwłaszcza moje siostry często ćwiczyły i wzorowały się na znakomitych wokalistkach jazzowych. Większość utworów Ikengi to teksty zawierające pochwałę Najwyższego, Wszechmogącego Boga, którą wyrażamy optymizmem i radością życia – jest to niejako moje

życiowe credo. To nieustanne dziękczynienie wyraża się również na scenie: śpiewem, tańcem i noszeniem kolorowych afrykańskich strojów. Na naszej płycie „Lustereczko” jest właśnie taki utwór – „Alleluja”, który bardzo dobrze odzwierciedla stan mojego ducha...

Założyłeś również stowarzyszenie „Jeden Świat”...

Tak, to było takie moje pragnienie serca, aby przybliżyć ludziom w Polsce nie tylko odległą kulturę Afryki, ale też Azji, Australii, Ameryki Południowej. Dlatego też „Jeden Świat” przypomina nam, że mieszkamy pod przysłowiowym jednym dachem: gdzie ma się te same marzenia i tęsknoty – odwieczne dla każdego człowieka, niezależnie skąd się pochodzi i jakie ma korzenie. W siedzibie stowarzyszenia, znajdującego się w Sopocie, prowadzimy dla dzieci i młodzieży warsztaty muzyczne, plastyczne, taneczne (tańce afrodance), literackie. Ważnym akcentem w naszej działalności są lekcje gry na oryginalnych bębnach, które się własnoręcznie wykonuje (również conga). Stowarzyszenie „Jeden Świat” organizuje corocznie Festiwal Muzyki „Przeciw Nietolerancji”, co ma swoje dobre owoce w „Festiwalu Kultur Świata”. Po raz pierwszy zaistniał jesienią tego roku pod hasłem „Okno na Świat” i zorganizowany został przez Nadbałtyckie Centrum Kultury.

Ostatnio miałeś okazję szukać również inspiracji muzycznych w Jerozolimie...

Muzyka klezmerska, ale również i arabska jest rzeczywiście bardzo inspirująca. Na pewno te muzyczne akcenty pojawią się w moich kompozycjach. Zresztą przed Bazyliką Bożego Grobu można spotkać m.in. Żydów Etiopskich... (uśmiech). W Jerozolimie się po prostu zakochałem. To miejsce, do którego, raz zobaczywszy, stale się tęskni. I stale chce się wracać. ■

Eucharystię mam wpisana w grafik



K. BACZYŃSKI

W październiku br. ukazał się nowy album Magdy Anioł zatytułowany „NAPRAWDĘ Msza młodych”. Według mnie, to rewelacyjna i rewolucyjna płyta. Dlaczego? Uświadamia pewne, zdawałoby się, oczywiste sprawy na nowo... Bo przecież każda msza św. to i uwielbienie, i pojednanie, i ofiarowanie i, co najważniejsze, zjednoczenie. Każda msza to także wezwanie do nowej misji. I to wszystko jest na tym krążku ubrane w proste, ale głębokie słowa...



O Eucharystii i przeżywaniu wiary na co dzień z **Magdą Anioł** rozmawia Weronika Ika Gurdek

Czym jest dla Ciebie Eucharystia?

Eucharystia jest dla mnie duchowym pokarmem. Od momentu, kiedy kilka lat temu zaczęłam na nowo budować moją relację z Panem Bogiem, każda msza jest naprawdę na wagę złota! Mam wtedy czas tylko dla Boga. Nic innego mnie nie absorbuje ani po drodze, ani w trakcie modlitwy. To jest takie rzeczywiste spotkanie. Przede wszystkim staram się słuchać, co Jezus do mnie mówi... Wiadomo, że ze skupieniem bywa różnie, ciągle mam z nim trudności. Ale ważne jest to, żeby każdy kolejny etap mszy przeżywać bardzo osobiście. Wsłuchiwać się w Słowo i czekać na moment, kiedy Jezus przychodzi do nas w Komunii Świętej.

Starasz się uczestniczyć w Eucharystii częściej niż tylko w niedziele?

Tak, staram się być w tygodniu na mszach. Mam takie szczęście, że u nas w parafii działa służba liturgiczna dziewcząt

– dziewczyny śpiewają psalmy, czytają modlitwę wiernych. I moja córka służy. To dzięki niej, tak naprawdę, jestem częściej na mszy niż do tej pory. Wtedy, kiedy ją zawożę, to też sama zostaję i dziękuję Panu Bogu za to, że to się tak układa.

Tak wielu ludzi dzisiaj mówi, że nie ma czasu na modlitwę. A ty masz tak wiele obowiązków – domowych i zawodowych, grasz tyle koncertów. A mimo wszystko mówisz, że się da to pogodzić... W takim układzie, jak to się dzieje, że się da? Od czego to zależy?

To jest tak, że im człowiek ma więcej zajęć, im jego dzień jest bardziej zorganizowany, tym ma więcej czasu na wszystko. Najgorsza jest nuda. Z nudy powstają same złe rzeczy. Człowiek, kiedy siedzi i myśli o niebieskich migdałach, to mu przychodzą same głupoty do głowy. Trzeba przewartościować sobie pewne rzeczy. Ja wiem po prostu, że

we wtorek o osiemnastej idę na mszę, że w środę o siódmej idę na mszę i w czwartek o szesnastej też idę na mszę. Proste. I choćby się waliło i paliło, to staram się nic na ten czas nie planować. Chyba, że wypada coś, czego nie da się przełożyć. Na przykład koncert, który nie może być zagrany w innym terminie itp. Ale to też traktuję jako służbę. Widocznie Bóg chce, abyśmy dzisiaj tam pojechali. To są takie wyjątkowe momenty. Na co dzień Eucharystia jest po prostu wpisana w mój grafik.

Jesteś związana z jakąś wspólnotą?

Tak, jestem w diakonii modlitwy, gdzie są m.in. także Adaś Szewczyk, Marcin Jakimowicz i Grzegorz Bociański. Można powiedzieć, że jestem w tej wspólnotce, choć właściwie od wakacji tak się jakoś składa, że wszystkie niedziele mamy zajęte. A że spotkania są w niedziele, to jest to niebawale trudne do wykonania, żeby

się tam pojawić... Ale mamy takie umówione sygnały, że o jednej porze, każdy w miejscu, w którym aktualnie przebywa, modli się w jednej intencji określonej modlitwą, np. dziesiątkiem różańca lub inaczej. Dajemy sobie sygnał komórką. Może to jest taka nowoczesna wspólnota, ale się bardzo dobrze sprawdza.

Co daje ci bycie w takiej wspólnocie? Niektórzy sądzą, że to ta najbliższa wspólnota pomaga trzymać pion, ale z drugiej strony jest to jedno z najtrudniejszych doświadczeń... Bo to po prostu cała prawda o nas...

To prawda, ale to jest doświadczenie bardzo potrzebne. Dla mnie taką wspólnotą trzymającą mnie w pionie jest grono przyjaciół. My się nawzajem mocno wspieramy, pomagamy sobie, możemy na siebie liczyć. Taką wspólnotą jest też moja parafia, a w niej określona grupa ludzi, którzy też się spotykają, dzielą swoim życiem, doświadczeniem macierzyństwa, bycia w małżeństwie, bycia w samotności. Tak jak każdy to wszystko przeżywa, tak się tym dzieli. Działa u nas także oaza rodzin. Jest kilka rodzin, które się zdeklarowały, jest z nami kapłan, który zawsze powie jakieś słowo i potem siedzimy, i... wywalamy całą prawdę. Trudno powiedzieć, na ile jesteśmy szczerzy, bo może nie wszyscy się dobrze znają i jeszcze mamy jakieś zahamowania. Myślę jednak, że to się będzie jakoś rozwijało. Jeśli

kochanym człowiekiem, z niesamowitymi pomysłami i poczuciem humoru...

...bo to jest prawda, tyle, że wypowiedziana już wiele razy. Ale jestem pewna, że nic przez to nie straciła ze swojej prawdziwości.

Do mnie najbardziej trafiają słowa, że powinniśmy wymagać od siebie, nawet jeśli inni od nas nie wymagają. Ja kiedyś byłam taką osobą, której się wydawało, że jak wszystko mi tak przychodzi łatwo, przyjemnie, jestem odważna i przebojowa, to mogę dużo zrobić dla siebie. I nie pomyślałam o tym, że jeśli człowiek dla siebie chce być panem, to w którymś momencie musi dostać w fęb. I tak się ze mną stało. Przyszedł czas, że przebudowałam cały mój światopogląd, zaufałam Panu Bogu. Ale życie nie stało się łatwiejsze! Bo życie przykazaniami nie jest łatwe. Mam wrażenie, że jestem już na tym etapie, że coraz bardziej potrafię sobie odmówić, potrafię wymagać od siebie. I staram się też, choć pewnie popełniam sto tysięcy błędów, dobrze wychowywać moją córkę. Okazuję jej miłość, daję poczucie oparcia i jednocześnie staram się być stanowcza i wymagająca. Równowaga jest najważniejsza.

Pomówmy jeszcze o twoich ostatnich projektach muzycznych (i nie tylko)... W ostatnim numerze magazynu RUaH Adaś Szewczyk opowiadał o samej płycie „NAPRAWDĘ”, ale wiem, że niedawno został również nakręcony pevien teledysk... Mianowicie do utworu



M. JAKIMOWICZ

do tego teledysk. Ja podchodziłam do tego pomysłu bardzo sceptycznie. Obawiałam się, że ktoś wykorzysta tę piosenkę niewłaściwie. Ale okazało się, że nikt nam niczego nie narzucił. Współpraca była bardzo miła. Dwa dni spędziliśmy w plenerze, m.in. nad Jeziorem Żywieckim. Efekt naszej pracy można zobaczyć w Telewizji, w II Programie, co, mam nadzieję, też nam jakoś pomoże, bo media są wielką siłą, którą można, a nawet trzeba wykorzystywać do dobrych celów.

Tak, masz rację. Media trzeba wykorzystywać, ba, da się to zrobić, co widać chociażby na przykładzie dzisiejszego festiwalu, którym właśnie owe media interesują się coraz bardziej. I to cieszy ogromnie. Na zakończenie, chciałabym ci, także w imieniu Redakcji i czytelników magazynu RUaH, szczerze pogratulować tych pięciu lat, tych pięciu płyt, tego wszystkiego, co się działo do tej pory...

Ja również jestem niezmiernie wdzięczna RUaH'owi, a nade wszystko śp. Januszowi Kotarbie, który nasz zespół rozkręcił. Bo to Janusz był pierwszym, któremu się spodobały te piosenki, umieścił je wbrew wszystkim na płycie dołączonej do 14. numeru RUaH. To była płyta „Kiedy dusza śpiewa”. I właściwie wszystkie nasze płyty, czyli „Ani oko, ani ucho”, „Do góry nogami”, „Lolek” i wreszcie „Naprawdę”, były i są związane z RUaH'em, z „paganinim”, z Gosią Kotarwą, która kontynuuje dzieło Janusza. I bardzo, bardzo dziękujemy za wszystko, i ojcu Andrzejowi i czytelnikom także. To jest akurat takie medium, które będę polecać i podpisywać się pod nim obiema rękami i nogami. Wielkie dzięki za wszystko. Mam nadzieję, że będziemy razem z wami dalej! ■

Rozmawiała Weronika Ikał Gurdek; finał Ogólnopolskiego Festiwalu Stróżów Poranka, 23.10.2005, Chorzów.



A. LECH STRÓŻE PORANKA 2005

tylko Panu Bogu jest to miłe, to może się to bardzo fajnie potoczyć.

Płyta „NAPRAWDĘ” dedykowana jest Ojcu Świętemu. Za co ty szczególnie cenisz Jana Pawła II? Co szczególnie z jego nauczania do ciebie trafia?

Nie zabrzmiałoby specjalnie oryginalnie, jeśli powiem, że za to, że był takim ciepłym,

„Lolek”, z płyty o tym samym tytule, która ukazała się niedługo po śmierci Jana Pawła II.

Pomysł na teledysk powstał w momencie, kiedy piosenka już była... Nie pamiętam dokładnie, ale to chyba Księgarnia św. Jacka na spółę z II Programem Telewizji wymyśliła, że dobrze by było zrobić

Let them live!

David MacDonald w Polsce

Wspólne koncerty Davida MacDonalda i zespołu Viola i New Day na Światowym Dniu Młodzieży w Kolonii zaowocowały serią koncertów w Polsce na przełomie sierpnia i września br. Współpraca okazała się bardzo udana. Świadczą o tym choćby niezwykle atmosfera na koncertach oraz ponowne zaproszenia organizatorów.

Relacja Justyny Stefańskiej



„Jeżeli w momencie, gdy to mówię, macie kłopoty, a rozwiązaniem, które bierzecie pod uwagę jest aborcja, proszę nie róbcie tego, pozwólcie temu dziecku żyć...”. Szczelnie wypełniony amfiteatr w Zielonej Górze ogarnęła głęboka cisza. Widać było duże poruszenie na twarzach wielu ludzi, a niektórzy po prostu mieli łzy w oczach.

Tego wieczoru ludzie usłyszeli nie tylko porcję dobrej muzyki, ale również świadectwo człowieka, który swoją służbę rozumie jako spłacanie ogromnego długu Stwórcy. Tym człowiekiem jest David MacDonald, kiedyś gwiazda Broadwayu, obecnie muzyk sceny chrześcijańskiej. Historię swojej kariery najlepiej streszcza sam: „Kiedy miałem 16 lat, mama powiedziała mi, że powinienem znaleźć jakąś pracę. Najprostszym rozwiązaniem było zarabianie graniem na ulicy. Można powiedzieć, iż był to początek mojej kariery, bo wkrótce potem podpisałem

kontrakt z wytwórnią i nagrałem własną płytę. Potem przyszedł czas na koncerty i przeprowadzkę do Nowego Jorku. W wieku 21 lat zacząłem grać na Broadwayu, m.in. w musicalu „Koty”, co stanowiło szczyt mojej kariery”. Owa „kariera” pociągnęła za sobą narkotyki, alkohol i przelotne związki, których konsekwencją były dwie aborcje. Życie Davida stało się tak intensywne, że w pewnym momencie stracił głos i przez trzy lata porozumiewał się z innymi za pomocą kartki i ołówka. W jednej chwili stracił wszystko, na co tak ciężko pracował. Wtedy właśnie

odnalazł Jezusa i rozpoczął się zupełnie nowy rozdział w jego życiu. Na pytanie, co zmieniłby w swojej przeszłości, David odpowiada: „Przyczyniłem się do dwóch aborcji. Moje dzieci miałyby teraz 21 i 22 lata. To bym zmienił na pewno. Inne doświadczenia ostatecznie przyprzewodziły mnie do Boga – widocznie musiałem to wszystko przejść. Mogę tylko prosić o przebaczenie tych, których skrzywdziłem”.

Do Polski David MacDonald przyjechał na zaproszenie Rafała Boniśniaka, lidera zespołu Viola i New Day, którego

poznał na Światowym Dniu Młodzieży w Toronto. Wspólne koncerty Davida i zespołu rozpoczęły się już na ŚDM w Kolonii w sierpniu br. W Polsce objęły kilka miast, m.in. Niegowic, Zieloną Górę, Siedlce i Krasnystaw. Niewątpliwie był to czas szczególny, bo już w Niegowici zdarzyła się rzecz wyjątkowa – spotkanie z koleżanką papieża – panią Marią Trzaską. „To było bardzo cenne doświadczenie – mówi Dawid – bo ta osoba знаła go jeszcze przed tym, jak został papieżem. Tak dobrze nam się rozmawiało, że o mały włos nie spóźniłem się na swój własny występ!”.

To fakt, David dosłownie wbiegł na scenę z pierwszym dźwiękiem. Nic dziwnego, bo pani Maria bardzo ciekawie opowiadała o Karolu Wojtyłe. Wspomniała m.in. o tym, że jej brat przepisywał pracę doktorską przyszłemu papieżowi na maszynie, a na pytanie Davida, czy ktokolwiek przypuszczał, że Karol Wojtyła zostanie papieżem, udzieliła dość zaskakującej odpowiedzi: „Wszyscy czuliśmy, że ten ksiądz daleko zajdzie, a kiedy został kardynałem, mama powiedziała, że na pewno zostanie papieżem. Byliśmy wręcz zawiedzeni wyborem Jana Pawła I”.

Dzień Młodzieży w Kolonii i pobyt w Polsce zaowocowały piosenką o Janie Pawle II, która właściwie rodziła się w trasie, a dokładnie w busie zespołu Viola i New Day. Właśnie z tej przyczyny cały zespół znał na pamięć tekst piosenki, zanim jeszcze została zaśpiewana na scenie (szczególnie mam tu na myśli tekst refrenu, któ-

ry David śpiewa w języku polskim). Można nawet powiedzieć, że stała się ona hymnem wspólnej trasy. Kiedy po raz pierwszy David zaśpiewał ją publicznie, miało się wrażenie, jakby Jan Paweł II był obecny na koncercie. Za każdym razem piosence towarzyszyło ogromne wzruszenie, widoczne szczególnie podczas wspólnego śpiewania refrenu z publicznością. Na pytanie, kim jest dla niego Jan Paweł II, David odpowiada: „Człowiekiem, który poświęcił świat miłosierdziu Jezusa i opiece Maryi, prosił o wybaczenie za grzechy Kościoła i rozpoczął dzieło Nowej Ewangelizacji. Jest dla mnie człowiekiem, który dał Polsce nadzieję, głos i miejsce na mapie. Każdy wie, że papież był Polakiem. Myślę, że teraz się za nas modli”.

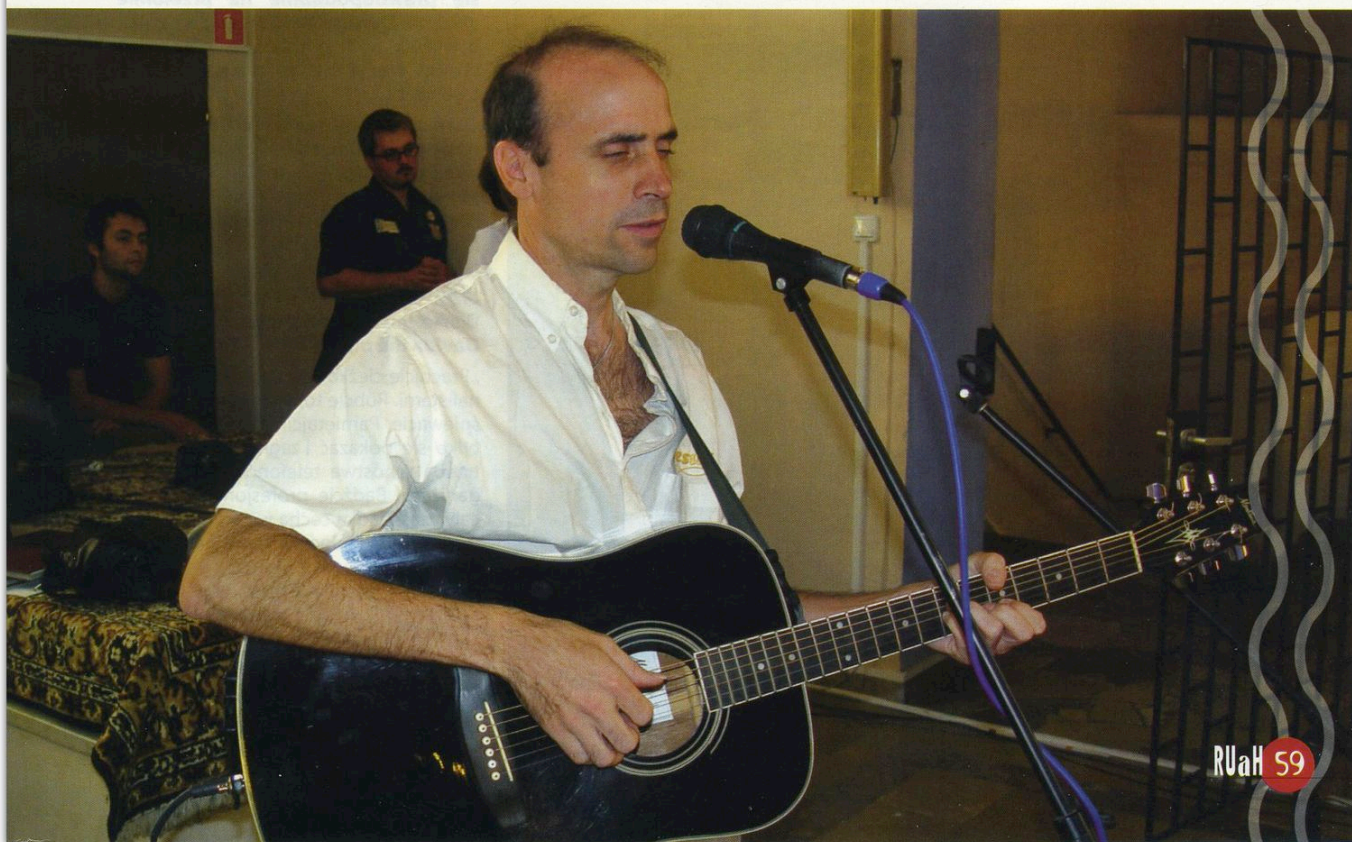
Pobyt Davida MacDonalda w Polsce nie ograniczał się tylko do wspólnych występów. W czasie wolnym od koncertów odwiedzał on różne instytucje zajmujące się sytuacją ludzi niepełnosprawnych w Polsce: „W Kanadzie pracuję nie tylko jako muzyk, moim codziennym zajęciem jest praca z niepełnosprawnymi, np. uczyć niewidomych, jak korzystać z komputera. Będąc w Europie skorzystałem z okazji i odwiedziłem kilka organizacji. W Ameryce Północnej jest ich bardzo wiele, niestety w Polsce technologia jest jeszcze niezbyt rozwinięta, ale sądzę, że jest to tylko kwesta czasu”. Wiele cennych informacji otrzymaliśmy podczas wspólnej wizyty w Państwowym Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych w Toruniu. Przyznaję, że po tym spotkaniu prze-

stałam pytać Dawida, dlaczego ciągle fotografuje chodniki i wejścia do różnych ważnych instytucji.

Istotnym punktem trasy Davida z zespołem Viola i New Day było także pokazanie mu naszego kraju, gdyż jak sam mówił, od dawna chciał tu przyjechać: „Myślę, że Polska jest ostatnim katolickim krajem – przynajmniej w tej części Europy. Jest to dla mnie, artysty-katolika bardzo interesujące. Cieszę się, że granie z Rafałem [Boniśniakiem – J.S.] i zespołem Viola i New Day na ŚDM w Kolonii pociągnęło za sobą trasę po Polsce”.

Widząc to ogromne zainteresowanie Davida Polską, oczywiście nie omieszkałam zapytać go, co myśli o Polakach: „Polacy byli ciągle uciskani przez inne narody i ciągle walczyli o utrzymanie własnej kultury. Jestem bardzo zainteresowany polską historią, chociaż dopiero teraz dowiedziałem się, że w Polsce były obozy koncentracyjne. Kanadyjczycy sądzą, że znajdowały się one tylko na terenie Niemiec(!). Kiedy byłem w Auschwitz, bardzo poruszył mnie fakt, że 60 km dalej znajduje się Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach – 60 km od jednego z najbardziej strasznych miejsc na świecie! To niesamowite! Kiedy Jezus objawił się siostrze Faustynie wiedział, że nadejdzie ciężki czas. Wzruszyłem się, gdy na jednej ze ścian celi obozu w Auschwitz zobaczyłem wyryte serce Jezusa – to jest to samo serce, jak to z obrazu miłosierdzia”.

Wspólne koncerty były również czasem mocnego świadectwa. Wspomnia-



ny na początku koncert w Zielonej Górze miał szczególny finał. Po tym jak zespół skończył grać, do Davida podeszła dziewczyna i powiedziała, że jeszcze przed koncertem myślała o aborcji, ale po usłyszeniu jego historii postanowiła, że nie przerwie ciąży. „Krótki czas po koncercie napisała mi jeszcze maila z podziękowaniem – powiedział później David – To było niesamowite doświadczenie, ja tylko podzieliłem się moim bólem”.

Słowa, które wypowiedziano ze sceny, dotyczyły w dużej mierze ludzi młodych, ponieważ to właśnie oni stają przed decyzjami, które mają wpływ na całe ich życie. David podczas koncertów dużo opowiadał o swojej młodości i o jej błędach, by pokazać, jakie są konsekwencje grzechu. Podobny charakter ma świadectwo Violi Brzezińskiej, wokalistki zespołu Viola i New Day, która często na koncertach opowiada o swojej przeszłości, poczynając od wygranej w programie „Szansa na sukces” i kończąc na oddaniu swojego życia Jezusowi. Obie historie spotkały się z dużym zainteresowaniem publiczności. Wielu ludzi przychodziło po koncertach, aby porozmawiać i czasami podzielić się swoimi problemami.

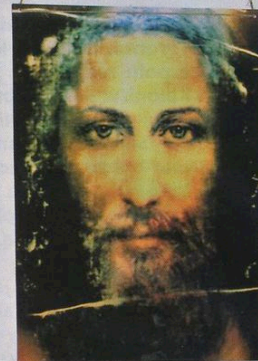
Podobnie było z odbiorem muzyki Davida i zespołu. Połączenie afrykańskich rytmów „Czarnej płyty” New Day i energetycznego grania Davida dało niezwykle efekty. Już po pierwszych taktach widać było bardzo pozytywną reakcję publiczności: „Byłem zaskoczony ogromnie entuzjastycznym przyjęciem mojej muzyki przez publicz-

ność. Cieszyło mnie, gdy widziałem, jak ludzie tańczą i śpiewają przy piosenkach, które słyszą właściwie pierwszy raz. To było fantastyczne! Jest to bardzo radosna publiczność. A ja kiedyś myślałem, że Polacy są typowymi stoikami!”.

Trudno się dziwić tym spontanicznym reakcjom publiczności, biorąc pod uwagę to, iż na scenie królował break dance w wykonaniu Davida. Często zdarzało się, iż zapraszał on do siebie tłumy ludzi (najczęściej dzieci), które wypełniały całą scenę.

Taniec to pozostałość po występach na Broadwayu. Inaczej David odnosi się do kwestii muzycznych: „Od momentu, kiedy oddałem życie Jezusowi [1988 rok – J.S.] nie śpiewałem i nie grałem przez ok. 10 lat. Była to dla mnie forma oczyszczenia i odciążenia się od przeszłości. Jeżeli chodzi o treść moich piosenek, to jest w nich mowa o odpowiedzialności, jaką mamy względem świata oraz różnych problemach społecznych, jak np. aborcja. Wiele z nich to po prostu modlitwa i uwielbienie Boga”. Innym razem na pytanie o muzyczne inspiracje David odpowiada: „Nie napiszę już piosenek o miłości – pisałem je za młodu. Moja muzyka opowiada o wierze, duchowym doświadczeniu i różnych problemach społecznych. Jest to również uwielbienie. Od czasu, kiedy zostałem oczyszczony z narkotyków i alkoholu, nawet telewizji, moje piosenki są lepsze”.

Rzeczywiście, w tekstach piosenek Davida można znaleźć wiele na temat jego osobistej relacji z Bogiem (np. Break me, Even in the Dark, Holy of Holies) czy problemach współczesnego



świata (Let Them Live). Jest tam również krytyka pewnych trendów występujących w społeczeństwie (Cult Culture).

Po powrocie do Kanady David planuje nagrać kolejną płytę, która ukaże się prawdopodobnie na przełomie stycznia i lutego 2006 roku. Tematyka utworów będzie zbliżona, natomiast strona muzyczna na razie pozostaje tajemnicą.

Czas spędzony w Polsce zaowocował nowymi pomysłami muzycznymi, o czym świadczy choćby najnowsza piosenka o Janie Pawle II. Była to również okazja do wymiany muzycznych doświadczeń. Pozostaje mieć nadzieję, że wspólna trasa będzie miała swoją kontynuację w przyszłości.

Warto jeszcze zacytować przesłanie Davida dla muzyków w Polsce:

„Pracujcie ciężko. Stawajcie się profesjonalistami. Róbcie to, o czym mówicie czy śpiewacie. Pamiętajcie, że nie wystarczy tylko się pokazać i zagrać – często potrzeba mnóstwa telefonów i dobrej organizacji. Bądźcie profesjonalistami! To cały czas rzadka cecha wśród katolickich muzyków. Jednocześnie namawiam młodych ludzi, aby po prostu wzięli gitarę i zaczęli grać dla Jezusa”. ■

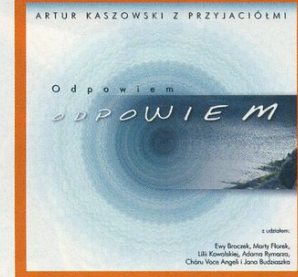
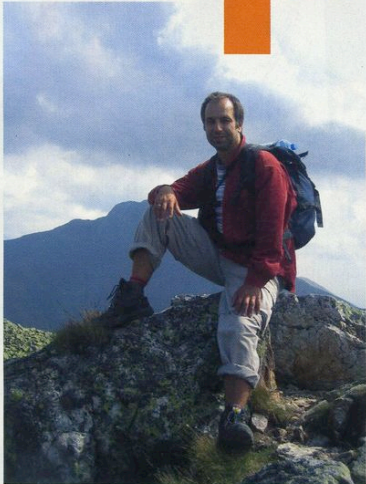
Justyna Stefańska

www.DavidMacD.com
www.newday.kdm.pl

David MacDonald z New Day



odpowi em



O najnowszej płycie ODPOWIEM z jej pomysłodawcą i producentem

Arturem Kaszowskim

rozmawia Patrycja Michońska-Dynek

W październiku, Edycja Św. Pawła wydała płytę Artura Kaszowskiego – „Odpowiem”. Czytelnicy magazynu RUaH mieli już okazję poznać trzy piosenki z tej płyty. Cały projekt składa się z dwunastu utworów i związany jest z różańcem.

Artur Kaszowski: Inspiracją dla nas był przede wszystkim różaniec – jest to rdzeń płyty. Różaniec, to w pewnym sensie esencja życia. Jan Paweł II mówił, że różaniec jest programem życia: można tam znaleźć odbicie własnych słabości i na tej bazie próbować coś poprawiać, ulepszać. Muszę podkreślić, że „Odpowiem” to również projekt Adama Szafranica, który jest autorem większości tekstów. Wspólnie zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądała nasza twórczość – już wcześniej pisaliśmy różne piosenki. Postanowiliśmy, że album będzie osnuty wokół różańca i Tryptyku Rzymskiego. Stąd piosenka „Odpowiem” i nazwa całej płyty. Odpowiem – to takie moje osobiste hasło, które rozumiem jako poczucie powinności wobec łaski, która została złożona w sercu każdego człowieka.

Czy „Odpowiem” jest więc płytą uwielbienia?

Powiem szczerze, że nie. Oczywiście każdy może ją tak nazywać. Piosenka „W Tobie jest światło” na pewno jest takim utworem. Przyznam jednak, że czasami „uciekałem” od twórczości uwielbienia. Bardziej interesowały mnie piosenki „autorskie” – takie, które nagrywają artyści słuchani w mediach; piosenki, w których chcą coś o sobie, o życiu opowiedzieć. Niewątpliwie są na płycie dwie pieśni uwielbienia i widocznie to jest cząstka tego, co się w nas, tworzących, dzieje.

Pierwsze utwory z projektu „Odpowiem”, zanim jeszcze powstała płyta długogrająca, znaleźć można było na płytach dołączonych do magazynu RUaH.

To na pewno w dużym stopniu spopularyzowało nasze piosenki. Teraz jest już cała płyta i gorąco zapraszam do jej wysłuchania.

Czy długo musieliście szukać wydawcy?

Przystępując do realizacji tego pomysłu, zakładałem, że będzie to płyta „do szuflady”. Miałem głębokie poczucie realizmu – nie wierzyłem, że znajdzie się ktoś, kto będzie chciał zapłacić za studio, nie mówiąc już o pozostałych kosztach. Na pewno trudno jest znaleźć kogoś, kto wydałby płytę chrześcijańską – nam się udało.

Kto stworzył ten projekt?

Głównym kompozytorem, realizatorem i producentem jestem ja. Współautorem dwóch utworów był Adam Szafraniec, który jest z kolei głównym tekściarzem płyty. Mamy czworo świetnych wokalistów: Lilię Kowalską, Martę Florek, Ewę Broczek i Adama Rymarza. Wśród instrumentalistów na pierwszym miejscu chciałbym wymienić mojego przyjaciela Łukasza Kowalskiego, który zagrał przepięknie fortepiany i piana elektryczne. Jest to człowiek, z którym się doskonale rozumiem i życzyłbym sobie pracować zawsze w takim klimacie i z takimi ludźmi, jak on. Na płycie wystąpił także Andrzej Rajski – perkusista oraz Marek Buchowicz – świetny basista. Na gitarach: Jacek Chrzanowski i ja. Jestem również wykonawcą wszystkich partii klawiszowych. Nie mogę oczywiście pominąć krakowskiego chóru Voce Angeli, Jana Budziaszka, a także autora okładki – Tomka Majewskiego. Wszystkim bez wyjątku jestem winien ogromne podziękowania za to, że bezinteresownie uczestniczyli w stworzeniu tej płyty. ■





Bez kamuflażu

O nowej płycie, walce o serce i dużych zmianach w zespole Gospel Rain z jego liderem **Grzegorzem Głuchem** rozmawia Basia Pycel

Rozmawialiśmy 5 lat temu. Co się zmieniło od tamtej pory w Gospel Rain?

Najkrócej? Zmieniło się moje życie. Bóg uzdrowił mojego ducha i ma to ogromny wpływ na muzykę i wszystko poza nią, co jest we mnie. Przez konkretne doświadczenia, modlitwy, oczyścił moje myślenie o muzyce, w której tworzeniu i graniu czuję dziś wolność. Tym, co było najważniejsze, co mnie spotkało jako muzyka, było doprowadzenie mnie do szczytu spotkania z Jezusem, do modlitwy uwielbienia. Nie mogłem tego wcześniej doznać, bo przez wiele lat nosiłem w sobie głos oskarżenia wobec siebie o to, że nie jestem godzien, by stawać przed Bogiem i robić coś w pełni wartościowego dla Królestwa Bożego. Dziś wiem, że nasz Pan nie mówi tak... To była myśl niszcząca mnie wewnątrz, a przecież Bóg nie niszczy... Parę lat temu nie zdawałem sobie z tego sprawy, chociaż

byłem już człowiekiem jakoś ukształtowanym wewnątrz, ale jednak – mówię to świadomie – bardzo uwikłanym i zniewolonym. Bóg dopuścił jednak tę sytuację, żebym mógł w pełni poznać Jego miłość. Zaczęło się to trzy lata temu, jakiś czas po powrocie ze Świątowych Dni Młodzieży w Toronto, gdzie graliśmy z GR. Przywieźliśmy stamtąd mnóstwo wrażeń i... nowych instrumentów, ale ten wyjazd był dla mnie końcem pewnego czasu „starego” Gospel Rain. Trafiłem za pośrednictwem mojej żony do wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym, z którą prowadziłem rekolekcje dla młodzieży w kościele na Poczekajce w Lublinie. Miałem do nich stosunek, powiedzmy, lekko lekceważący, tak samo, jak wtedy do charyzmatyków. Ale właśnie wówczas podczas uwielbienia przeżyłem swe nawrócenie, doświadczyłem ogromnego, namacalnego dotknięcia Bożym duchem. Stałem na środku kościoła, płaka-

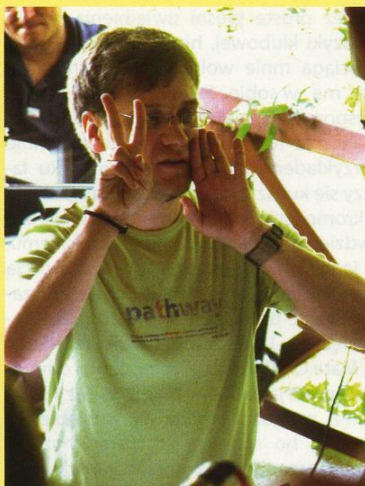
łem i wiedziałem, że Bóg przyszedł specjalnie do mnie, żeby mnie przytulić...

Najbardziej widocznym znakiem tej zmiany jest stworzenie w „nowym” Gospel Rain chóru, który tworzy czterdziestu niesamowitych, utalentowanych, młodych wokalistów oraz nowych muzyków. Od paru lat moje i ich życie zmieniło się przez GR bardzo widocznie. Nie potrafię dziś jednym zdaniem powiedzieć o fenomenie, jakim dla mnie jest zapal, energia tych ludzi. Jestem pewien, że wszystko to nastąpiło przez „rewolucję” uwielbienia.

Postanowiłeś wejść do wspólnoty, prawda? Jakie zmiany w twoim życiu przyniosła ta decyzja?

Przez czas mojej służby we wspólnocie odnowy charyzmatycznej Bóg zaczął mnie powoli uzdrawiać, szczególnie w relacjach z moją żoną Magdą, przy-

jaciółmi. Po chrzcie w Duchu Świętym otrzymałem Boże skrzydła do nowej muzyki. Zobaczyłem wtedy po raz pierwszy Jezusa jako wojownika, który walczy o moje serce. Zobaczyłem również przeciwnika, który w specyficzny i przebiegły sposób nie pozwala, abym doświadczył Bożej miłości. Widziałem jak demon z upodobaniem potrafi niszczyć ducha muzyków, którzy są bardzo wrażliwi na oceny i łatwo przyjmują oskarżenia o brak umiejętności i wartości. Mnie ten osąd prowadził na skraj perfekcjonizmu, szukania akceptacji przez muzykę. I wtedy przyszedł taki moment podczas „Strefy Chwały” w Gródku, na którą pojechałem czując, że Bóg ma dla mnie coś nieznanego. Była to łaska uwolnienia od perfekcjonizmu, który mnie wiązał w tworzeniu, śpiewaniu. Jestem pewny, że owocem tego wydarzenia były utwory, które zaczęły powstawać. Były po prostu darami, głosem duchowym we mnie, który ja tylko spisałem. Tak powstały m. in. „Jezu oddaję Ci serce swe” – pieśń, którą podczas koncertów ogłaszamy Jezusa jako Pana. W czasie tej modlitwy dzieją się niezwykle rzeczy. Inna pieśń „Gdy przechodzisz blisko” stała się modlitwą o przebudzenie duchowe. Powstała w czasie podróży samochodem – wtedy, kiedy często się modłę – od konkretnej partii saksofonu. Wróciłem do domu, włączyłem komputer i... ten utwór „zakwitł”. Kiedy potem słuchaliśmy pierwszego nagrania niewielu z nas mogło się powstrzymać od tego. Jako muzycy, niewiele tu zrobiliśmy: harmonia, słowa, dźwięk, cała forma utworu po prostu już były. Ale są też inne historie piosenek „dojrzejących”, jak „Hosanna, hosanna”, którą miałem przywilej śpiewać w koncercie Papieskim w Teatrze Wielkim dwa lata



temu. Wiele jest historii wpisanych w te piosenki na nową płytę...

... którą właśnie nagrywacie...

Tak. Najważniejsze jest dla mnie, aby stała się ona narzędziem Jezusa. Ten materiał rodził się w nas aż przez pięć lat. Każdy z utworów jest bardzo osobisty, a zarazem odmienny pod względem muzycznym: są pieśni natchnione, uwielbienia, o których mówiłem, ale również „czadowe”, gospelowe piosenki „1:1”, „Powiedz tylko słowo” czy „Startooj” – wykonane wspólnie z Olgą Szomańską i FPS. Pojawiają się też ważne dla nas pieśni innych autorów, w tym stara piosenka oazowa „Jeruzalem”, przetłumaczona kiedyś przez O. Andrzeja Bujnowskiego. Na płycie odśpiewamy też nowe obszary fascynacji, np. w piosence „Ojcie nadziei” pojawiają się klimaty bliskiej muzyce Pata Metheny’ego, a w „Dobrze znasz” (napisanym na podstawie Ps. 139) bardzo „odjazdowe” dźwięki i słowa. Zresztą, piszę dziś prościej, bez zbędnej zawłości, bo ponad moim kunsztem jest doskonałość samego Boga. Wówczas, kiedy gramy, widzimy jak Słowo Boże działa na poszczególne osoby, jak ludzie doświadczają uzdrowienia i przebaczenia.

To długa „ciąża”. Pierwsza płyta również przychodziła na świat na porodówce. Tam poznaliście sponsora pierwszego krążka. Czy na drugą trzeba będzie czekać jeszcze długo?

Chciałbym, żeby płyta pojawiła się na wiosnę, na czas Zmartwychwstania, a dokładnie 2 kwietnia – w rocznicę śmierci Jana Pawła II. To nie tylko chodzi o wspomnienie go, ale przede wszystkim nasze wołanie o przebudzenie. Pascha Jana Pawła II dała nam doświadczenie wielkiej jedności, która spłynęła na Polskę, kiedy wielu ludzi niezależnie od wyznania, pragnęło doświadczenia ojcostwa i Bożej obecności. Stąd właśnie pomysł, aby płytę zatytułować po prostu: „Wołamy przyjdź”. Bez kamuflażu. Trzeba mówić wprost. Czuję, że nie mamy już czasu, żeby przeznaczać go wyłącznie na upra-

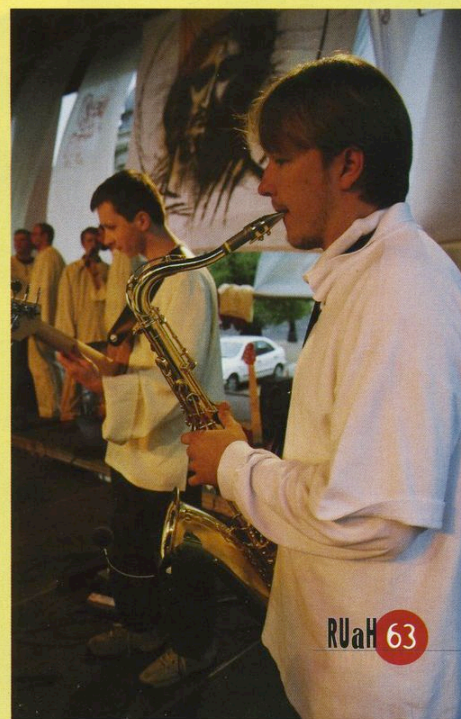
Stąłem na środku kościoła, płakałem i wiedziałem, że Bóg przyszedł specjalnie do mnie...

wianie tylko „jakiejś” aktywności chrześcijańskiej. To jest też doświadczenie biorące się z mojej obecności w chórze TGD – we wspólnocie jednego Kościoła, połączonego uwielbieniem Jezusa, które prowadzi do tego samego Ojca, który jest ponad wszelkimi różnicami.

Przed rokiem założyliście stowarzyszenie GR. Jaką funkcję ma pełnić i w czym wam pomagać?

Chcemy w ten sposób wspierać chór i zespół, ale i podejmować różne pomysły artystyczne, dzielić się wiedzą, pieśniami czy doświadczeniem w prowadzeniu uwielbienia. Wierzę, że nadchodzi czas, kiedy wielu chrześcijan w Polsce pozwoli się porwać tej fali, a wtedy będziemy mogli oglądać za naszego życia naprawdę wielkie rzeczy. My widzimy w tym też naszą rolę, w tym, co może stać się w Polsce i w czym dostrzegam wstawienictwo Jana Pawła II. Bóg mówi: „Oto czynię wszystko nowe”. I my tego oczekujemy!

Oczywiście, wejście w bezinteresowne uwielbienie nie jest łatwe, wymaga osobistej decyzji. Ale i po niej pojawiają się trudne sytuacje, szczególnie w relacjach. Nieodłącznie towarzyszy nam zatem walka, która toczy się w nas. Jej polem są najczęściej właśnie relacje, sprawa jedności, wiary lub niewiary w swój talent. Także rodzina jest ulubionym miejscem ataków demona, gdyż żaden muzyk nie jest w stanie swobodnie tworzyć, jeśli ma nieuporządkowane sprawy w tej sferze. Jako lider bardzo często się z tym zmagam, a to, co robimy w naszej służbie



przypomina mi czasem sceny batalistyczne rodem z „Władcy Pierścieni”. Jednak to dowód na to, że Bóg jeszcze bardziej chce nas oczyścić i budować.

Jak po Twoich doświadczeniach zmienił się zespół?

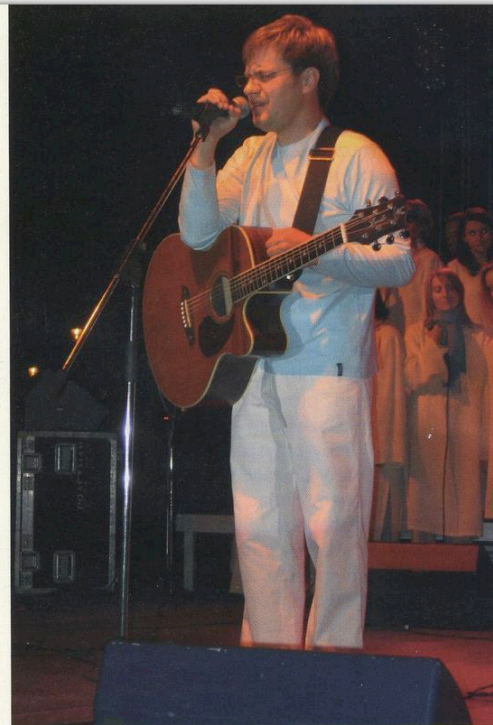
Czujemy się nowi, bo wiemy, że mamy nowe życie. To nie jest tylko kwestia nowej formy, bo zmieniła się muzyka, pomysły, powiększył się znacznie nasz skład. Gospel Rain jest wspólnotą, ma swe zgrupowania, rekolekcje, stałe próby, które nigdy nie są tylko próbą. Większość z nas związana jest z Odnową w Duchu Świętym, ale są też ludzie z innych grup formacyjnych. Kiedy do zespołu przychodzą osoby z czysto muzycznych pobudek, Bóg potrafi to wykorzystać. Wiele razy mogłem oglądać jak w nieprawdopodobny wręcz sposób niektórzy doświadczali swego nawrócenia. A to jest łaska, bo to jest tak, jak zobaczyć Jezusa Zmartwychwstałego.

Opowiedz o swoich inspiracjach muzycznych.

Jestem dziś bardziej otwarty na różne style i obszary muzyczne. Poza muzyką gospel czy elektrycznym jazzem, które kochałem zawsze, słucham wielu rzeczy, począwszy od zanurzonej w tradycji kościelnej muzyki Pawła Bębenka,

przez proste pieśni uwielbienia, aż do muzyki klubowej, hip-hopu i acid-jazzu. Pociąga mnie wolność muzyczna, którą ma w sobie Paweł Zarecki. Muszę wspomnieć o Marcinie Pospieszalskim i Piotrze Nazaruku, którzy są dla mnie przykładem, jak idealnie w muzyku łączy się kunszt i pasja muzyczna z pokorą, skromnością, oddaniem Bogu. Wiele zawdzięczam Jankowi Pospieszalskiemu, z jego nieograniczoną pomysłowością i zaufaniem, jakim mnie obdarzył zapraszając do udziału w swych przedsięwzięciach. I wreszcie przyjaźń i modlitwa z Mateo i Piotrem Plechą, która odmieniła mnie jako lidera. Mamy między sobą więzi przyjaźni i modlitwy za siebie. To ważne, bo sprawia, że scena muzyczna tworzona przez chrześcijan nie jest tylko rynkiem. Wierzę, że Bóg powoła nowe osoby: sponsorów, producentów, muzyków czy organizatorów, którzy nie będą się bali wyzwania i ryzyka, które naprawdę się opłaca. Obserwujemy to w Lublinie. Trzy razy współorganizowaliśmy w centrum miasta koncerty chwały, nie jakieś przedstawienie czy festiwal, ale uwielbienia połączone z obecnością Jezusa w Najświętszym Sakramencie, z udziałem 120-osobowego chóru. Wiem, że podobne spotkania organizowane są w innych miastach Polski i wierzę, że Bóg może nas postać poza jej granice. ■

Basia Pycel



Grzegorz Głuch pracuje jako zastępca dyrektora ds. organizacyjnych w Instytucie Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie. Mieszka w Świdniku.



FOT. Z ARCH. ZESPOŁU

Stwierdzenie, że dzisiejsza cywilizacja zdominowana jest przez popkulturę zakrawa na banał. Wygląda jednak na to, że na popkulturowym mołochu rysuje się wyraźne pęknięcie.



BEZDROŻA POPU

Marek Horodniczy

Podstawowym nośnikiem kultury masowej są media, w których od lat niepodzielnie króluje rozrywka. Ciągłe poszukiwanie nowej pożywki prowadzi producentów programów rozrywkowych, sitcomów czy tokszołów do nieuchronnej zadyszki. Współczesny head-hunter nie ma znowu aż tak wielkiego wyboru. Środki wyrazu mediów masowych, pomimo pozornej różnorodności wydają się przecież niesłychanie ograniczone.

Doskonałym przykładem tej tendencji jest obszar muzyki pop. Biznesowe środki zaangażowane do wyłaniania potencjalnych gwiazd okazały się nieodpowiednie, skutkiem czego postaci z plakatów dołączanych do pism młodzieżowych nudzą się słuchaczom równie szybko, jak zmienia się moda na określony styl muzyczny. Sytuacja staje się do tego stopnia absurdalna, że gwiazdki typu Britney Spears czy Kylie Minogue z płyty na płytę muszą zmieniać sposób ubierania, angażować kolejnych topowych producentów i bywać na najmniejszych imprezach. Wszystko po to, by utrzymać uwagę coraz szybciej zmieniających upodobania nastolatków.

Pytanie o jakość artystyczną tych produktów staje się powoli nietaktowne. „Business is business” – taki czy inny – nie ma to i tak większego znaczenia. Problem jednak w tym, że muzycy decydenci z wielkich firm płytowych zaczęli tracić kontakt z odbiorcami muzyki. Strategie promocyjne coraz bardziej rażą schematycznością, a co za tym idzie coraz mniej działają na kupców. Jeśli dorzucimy do tego boom formatu mp3 i coraz większą niechęć do kupowania płyt CD, okaże się że wielkie wytwórnie stanęły przed nie lada kłopotem.

Wyjście z impasu wydaje się jedno – trzeba postawić na autentyczną, nie idącą na kompromisy sztukę. Aż dziw bierze, że sukcesy – żeby nie szukać za daleko – polskiego pianisty, jazzmana Leszka Możdżera – nie dały do myślenia menedżerom muzycznym, którzy, bądź co bądź, powinni być wyczuleni na ilość



sprzedawanych płyt. Podobnie rzecz się ma z międzynarodowym odrodzeniem muzyki gitarowej, zainicjowanej przez grupę Franz Ferdinand. W obu powyższych przypadkach impuls wychodził od małych, niezależnych firm, które w odróżnieniu do gigantów wprowadzają w życie zasadę „róbmy swoje”. Fachowcy od wielkich promocji dopiero post factum próbują wyrwać takich muzyków ich dotychczasowym wydawcom. Jest to jednak reakcja spóźniona i nawet jeśli taki „skok na artystę” się powiedzie, to zawsze będzie to działanie doraźne. Obraz, który przedstawiłem stanie się jeszcze bardziej zastanawiający, jeśli sięgniemy kilka

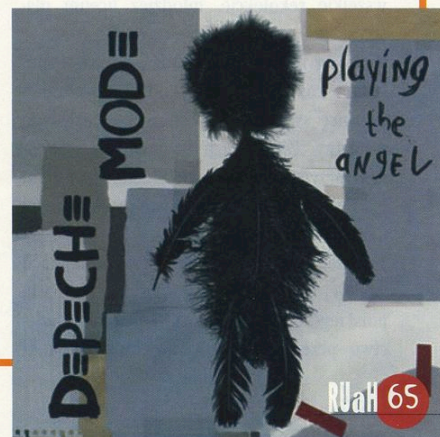
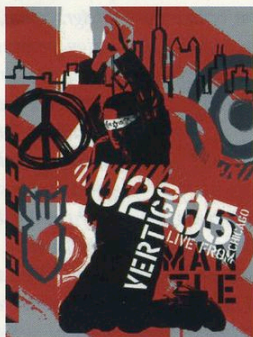
lat wstecz i zobaczymy, że takie doraźne zabiegi były stosowane także wcześniej i nie spowodowały zasadniczej zmiany polityki wydawniczej muzycznych potentatów. Myślę tutaj m.in. o rewolucji zapoczątkowanej przez zespół Nirvana i Pearl Jam oraz fali zespołów industrialnych. Do mainstreamu dostały się one jako swoiste kuriozum,

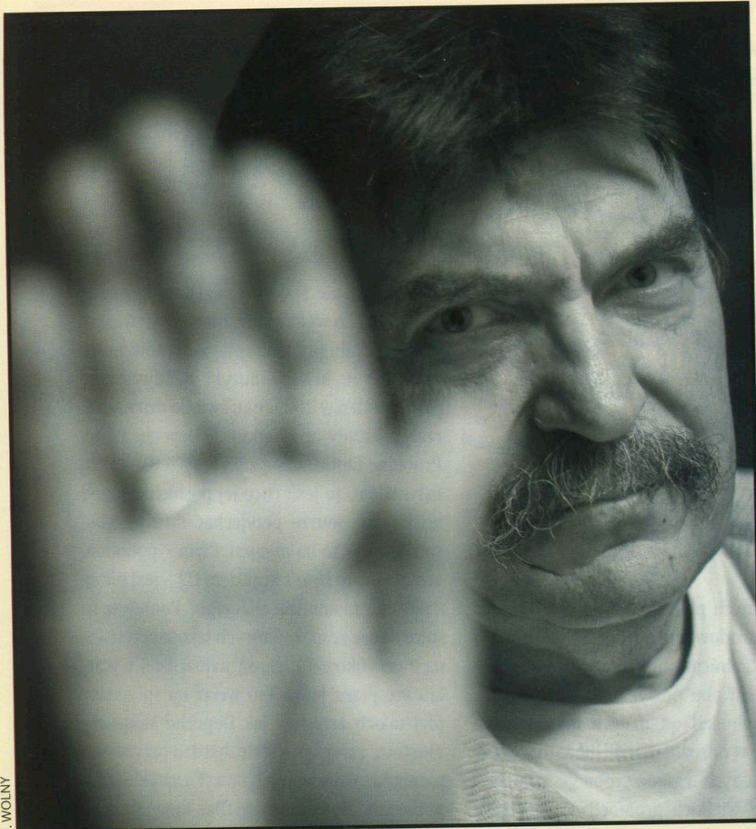
żeby za niedługi czas – mimo faktu, że często wciąż nagrywają ciekawe płyty – pozostawać na lasce i nielasce budżetów promocyjnych. Ludzie doskonale wyczuwają co jest sztuką, a co tylko nienaturalnie napompowanym, promocyjnym balonem. Bardzo często odbiorcy przywiązują się do artystów, których niegdyś obdarzyli zaufaniem. I znowu na swoisty paradoks zakrawa fakt, że lekcję dojrzałego odbioru muzyki dają menedżerom sami słuchacze. Jednak wrażliwość na sztukę przez

wielkie „S” nie staje się udziałem ludzi decydujących o wydawaniu pieniędzy. Weźmy dla przykładu premiery płyt zespołów, które odcisnęły na historii muzyki nieodwracalne piętno. Tylko w 2005 roku światło dzienne ujrzały już studyjne albumy U2 i Depeche Mode. Próbując zapoznać się z płytą tych ostatnich, usłyszałem, że jeśli chcę jej posłuchać przed wydaniem, muszę przyjechać do dystrybutora i zrobić to na miejscu. Płyta – podobnie zresztą jak to było z krążkiem U2 – jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Dlaczego? Ponieważ to stare dobre zespoły, których jakość artystyczną zweryfikował czas, są najbardziej wyceniane przez ludzi. I to wciąż na sprzedaży płyt takich artystów jak Depeche Mode czy The Cure zarabia się stale, bardzo przyzwoite pieniądze. Co więcej ich muzyka zwykle łączy pokolenia. Słowem, jest to filar, który stanowi o bezpiecznym zysku.

Powyższe obserwacje wydają się oczywiste. Oczywisty jest również schylek coraz gorzej funkcjonujących wielkich wytwórni płytowych. I naprawdę nie pomogą tutaj programy typu „Idol” czy „Szansa na sukces”. Sztuka rodzi się w bólach i trzeba niesłuchanej wrażliwości, by dać jej rozkwitnąć. Takiej wrażliwości nie posiadają i – zdaje się – nie posiadają – wielcy wydawcy. Za niedługi czas rynek muzyki ambitnej może zostać w znacznym stopniu przejęty przez net-labels (wytwórnie internetowe) oraz małe wytwórnie stawiające na pięknie opakowaną, wyszukaną muzykę. A firmy mainstreamowe do końca swoich dni będą już chyba schlebiał najniższym gustom i podchodzić do muzyki li tylko jak do produktu. ■

Marek Horodniczy





PERKUSISTA NA KOLANACH

CZYLI HISTORIA O TYM
JAK JAN BUDZIASZEK
STRACIŁ KSYWĘ
„WYTWÓRNIA FLASZEK”



Marcin Jakimowicz

Spotkałem na ulicy Justynę. Właśnie wróciła z Białki Tatrzańskiej, z dominikańskich rekolekcji „odnowowych”. – Był z nami niesamowity facet – opowiadała z wypiekami na twarzy – nazywał się Budziaszek. Jest perkusistą Skaldów. Nad rwącą Białką posadził nas na trawie i uczył grać na bębnach – śmiała się – Kilka lat temu nawrócił się. Całe środowisko muzyczne pukało się w czoło i odwróciło się od niego plecami.

– Biedny facet – pomyślałem. Było to kilkanaście lat temu. Po roku poznałem Budziaszka. Widziałem go w akcji, gdy na rekolekcjach z błyskiem w oku żonglował biblijnymi cytatami i barwnymi opowieściami ze swojego życia. Słuchała go nawet, olewając dotąd wszelkie rekolekcje, młodzież liceum plastycznego.

Pan Bóg dotknął go dwadzieścia lat temu. W tym roku muzyk obchodzi nieformalną rocznicę swego nawrócenia i sześćdziesiąte urodziny. Z tej okazji wydawnictwo *paganini* przygotowało wywiad-rzekę „Sam bym tego nie wymyślił”. Perkusistę przesłuchiwał Cezary Sękalski.

To porywająca opowieść o narodzinach wielkiej muzycznej pasji, spleciona z historią polskiego big beatu i jazzu. To także świadectwo przemiany człowieka, który poszedł

raz w kłapkach na pielgrzymkę i od tej pory zaczął realizować w życiu scenariusz, którego – jak sam twierdzi – nie jest autorem. Stracił wówczas swój popularny w środowisku muzycznym pseudonim „Jan Budziaszek – wytwórnia flaszek”, ale zyskał tysiące nowych słuchaczy. Opowiada im o spotkaniu z Bogiem żywym, współczesnym językiem, pozbawionym nadęcia i cienia patosu.

FAUSTYNA? A KTO TO?

Jak zaczęło się to nawrócenie? Perkusista opowiada: *W 1984 roku moja żona – ku mojemu zaskoczeniu – powiedziała, że w tym roku to ona pojedzie z dziećmi na wakacje. W czerwcu malowaliśmy mieszkanie, a wiadomo jak jest, zawsze po malarzach więcej jest sprzątanego niż samego malowania. Moja pierwsza myśl w reakcji na propozycję żony była taka, że ona chce pojechać z dziećmi na wakacje po to, żeby wymigać się od sprzątania. Mówię: – Jedź, dam sobie radę sam! Użyłem przy tym w myślach brzydkiego wyrazu. Pojechała. A ja sprzątam to mieszkanie i sprzątam.*

W połowie lipca poszedłem w niedzielę na Mszę do mojego kościoła parafialnego. Sam nie wiem, dlaczego, bo wtedy nie chodziłem zbyt często do kościoła, raczej tylko w wielkie

święta z rodzicami. W ogłoszeniach parafialnych była mowa o krakowskiej pielgrzymce, która wychodziła do Częstochowy 8 sierpnia. Z tej okazji do parafian wystosowano prośbę, żeby użyczyli choć trochę podłogi pielgrzymom, którzy przybędą do Krakowa dzień wcześniej wieczorem. Mieliśmy ponad dwieście metrów kwadratowych mieszkania bez mebli, myślę więc sobie: „Jestem sam, co mi zależy...”. I zgłosiłem się. Cztery dni przed wyjściem krakowskiej pielgrzymki mam telefon z duszpasterstwa, że przyjechała grupa, która chciałaby mieszkać razem i czy by nie mogli u mnie. I zobacz, jakie inne jest patrznie ludzkie od patrzenia Pana Boga! Te cztery dni zdecydowały właściwie o wszystkim. Była to siedemnastoosobowa grupa z Niemiec, która przyjechała wcześniej, aby jeszcze przed pielgrzymką zobaczyć Kraków. A pierwsze, co powiedzieli wchodząc do mojego domu, to że muszą ich zaprowadzić do grobu siostry Faustyny. Było to na wiele lat przed beatyfikacją, nie mówiąc o kanonizacji, a Niemcy wiedzieli o obrazie Jezusa Miłosiernego i siostrze Faustynie więcej ode mnie.

I teraz pomyśl sobie – jaka zbitka wydarzeń: ja mieszkam parę przystanków tramwajowych od Łagiewnik, słyszałem, że coś takiego w Krakowie jest, ale gdzie, to za bardzo nie

wiedziałem. A oni jadą ponad tysiąc kilometrów, aż z Westfalii na grób siostry Faustyny! Chcąc nie chcąc, musiałem się dowiedzieć, gdzie to jest...

Pan Bóg maluje wszystko zupełnie inaczej, niżby ludzie się spodziewali. Kiedy chłopcy na ulicy bawili się w wojnę, to zausze strzelali z patyków do Niemców, a tutaj Niemcy przyjeżdżają specjalnie do mnie, żeby zaprowadzić mnie na grób siostry Faustyny...

Jest 8 sierpnia, 5.30 rano. Piękna pogoda, zaczynam żegnać się z nimi przed domem i teraz dopiero zauważam, jak dużo mają bagażu. Było mi trochę smutno żegnać się z nimi, więc bez wahania postanowiłem, że pomogę im zanieść jeszcze te walizki na miejsce wyruszenia pielgrzymki. Wziąłem jakiś plecak na plecy, walizkę pod rękę, no i ruszyłem do tramwaju, abyjechać na Bernardyńska. Tam włożyliśmy bagaże na samochody i zaczynamy znowu czule się żegnać. A tu jakiś głos podpowiada mi, że może bym jeszcze poszedł z nimi na Mszę świętą. Myślę sobie: - Czemu nie, właściwie jest dopiero szósta czy siódma rano... Wyszedłem więc na dziedziniec Wawelski, a tam kilka tysięcy rozbrzykanej i rozśpiewanej młodzieży. To mnie zatrzymało na Mszy.

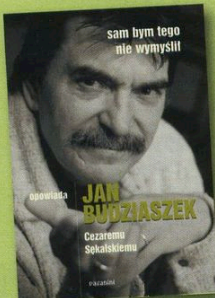
W czasie Mszy ten sam głos podpowiada mi: - A może byś się jeszcze kawalek z nimi przeszedł przez miasto? I tak doszedłem do pieruszego noclegu. Tutaj ktoś wręczył mi koc i chcąc nie chcąc przespałem się w stodole. Po kilku dniach okazało się, że przeszedłem się do Częstochowy! Na bosaka, w kłapkach, tak jak chodzę w lecie, w podkoszulku, no bo tak wyszedłem z domu...

WIELKI CHŁOP, A JAK DZIECKO

Wyszedł z domu i... idzie do dzisiaj. Nieustannie krąży po świecie opowiadając o szaleństwie Bożej miłości. Dziś muzycy, którzy dwadzieścia lat temu widząc w jego ręku różaniec otworzyli usta ze zdumienia, opowiadają: *Budziaszek? Wielki chłop, a jak... dziecko! Ze wszystkiego się cieszy! Tej radości ma tyle, że jeszcze innym rozdaje. No to bierzemy!* (Lidia Jazgar); *Człowiek nietuzinkowy. Lubię go za jego rodzinność. Pamiętam te wszystkie wizyty, próby, które odbywały się w jego domu. Janek ma bardzo ciepły stosunek do bliskich. Jest osoba pomocną - zausze można się do niego zwrócić, jak bieda przycisnie, co jest rzadką cechą w dzisiejszych czasach. Janek od początku wydawał się mieć skłonności mistyczne, które w późniejszym okresie przybrały religijny charakter. Dla mnie wiara to rodzaj skupienia. Przyznam, że kiedy Jasiu zaczął manifestować swoją przynależność religijną, to zacząłem się zastanawiać, na ile jest to autentyczne... Uważam jednak, że dla otoczenia bardziej przydatny jest obecny Jan Budziaszek, niż ten, który pił i uwodził panienki* (Andrzej Sikorowski, Pod Buda)

A inni muzycy śmieją się, że z Budziaszkiem to się źle jeździ na trasy, bo się spodnie na kolanach przecierają. ■

Marcin Jakimowicz



PS. Uwaga! Do książki dołączona jest płyta CD, na której znajdują się oryginalne, unikalne, klubowe nagrania, między innymi Skaldów, grupy Pod Buda oraz „pierwszozligowców” polskiego jazzu: Jarosława Śmietany, Andrzeja Cudzicha, Marka Janickiego, Big Bandu Jaszczury. Jest też koncertowe nagranie New Life M., na którym bardzo osobiste świadectwo wiary składa Mietek Szcześniak.

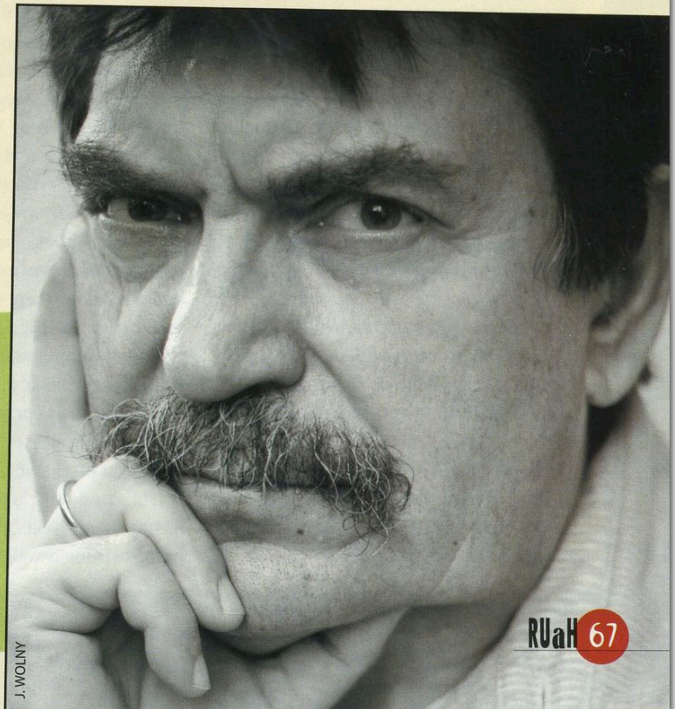
Książkę i płytę znajdziesz na stronie: www.paganini.com.pl



J. WOLNY



J. WOLNY



J. WOLNY

Legendy Rapu

1

maciej syka

Róża, która wyrosła na betonie...

Pamiętam, jakby to było dziś. Pewnego dnia, podczas pobytu w Irlandii, kiedy wróciłem wieczorem do domu, włączyłem telewizor. Przeglądając za pomocą pilota kanały telewizyjne, zatrzymałem się na jednym z nich. Nadawano program muzyczny, a w nim nowy utwór mojego ulubionego wykonawcy – „My Ghetto Gospel” (Moja Ewangelia Getta). Rozpoczął się od słów: *Tych, którzy za mną poszli, witam moimi rękami*. Poprawiłem się wygodnie w fotelu i postanowiłem wsłuchać się w treść piosenki. Teledysk przedstawiał pokrótce życie i twórczość niezjącego już dziś czarnoskórego muzyka Tupac’a Shakur’a. Człowieka, który był czołową postacią świata hip-hopu, a dziś dla tej subkultury jest tym, czym Bob Marley dla reggae – wciąż żywą Legendą.

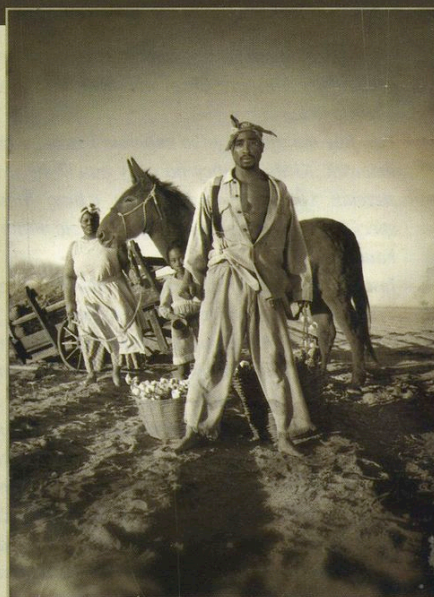
Autentyk

Najnowszy teledysk 2Pac’a „My Ghetto Gospel”, w którym śpiewa razem z Elton’em John’em, to naprawdę dobra hip-hopowa produkcja. Jej szczególnym bogactwem jest to, że obok nakreślenia realiów życia „czarnej dzielnicy”, pojawiają się tu metafory poświęcone Bogu. A te, w przypadku tzw. „rapu gangsterskiego”, to rzecz niezwykła. Podobnie jak niezwykle był sam Tupac, który poprzez swoją twórczość wniósł do hip-hopu wiele nowych elementów. Zanim wnikniemy w treść wspomnianego utworu, przyjrzyjmy się samemu artyście. Tutaj, przy okazji, zaraz nasuwa się pytanie, dlaczego uważa się go wciąż za Legendę i największą gwiazdę hip-hopu? Twórczość Shakura wciąż żyje w sercach setek tysięcy słuchaczy, gdyż za życia cechował go naprawdę wielki autentyzm. Nie należał on do grupy raperów jeżdżących super samochodami, obwieszonych łańcuchami, śpiewających o bezproblemowym życiu w luksusie, których nastolatki mogą oglądać w kolorowych teledyskach. Tupac to po prostu nie ta bajka... On zawsze i wszędzie reprezentował „ulicę”, miejsce życia czarnoskórych mieszkańców gett. Był jej integralną częścią. Był przedstawicielem i głosem tych, z którymi od najmłodszych lat wychowywał się, dorastając w osiedlowych murach. W Tupac’u było bez wątpienia coś niezwykłego. Widoczne to jest do dziś na jego płytach. Jeszcze bardziej w jego filmach. Miał ten szczególny blask, można powiedzieć, wręcz charyzmat. Był przecież nie tylko aktorem i poetą, lecz nade wszystko doskonałym muzykiem. By zrozumieć jego najnowszy teledysk nagrany kilka lat po jego tragicznej śmierci, trzeba najpierw przyrzeć się jego latom młodości.

Betonowe ciernie

Sytuacja, jaką zastał przychodząc na świat 16 czerwca 1971 roku (w New York University Hospital na Brooklynie) Tupac Amaru Shakur (Shakur – w języku arabskim znaczy wdzięczny Bogu), była bardzo ciężka. Podobnie ciężkie było jego dalsze życie, czego wyraz dał w swych tatuażach, m.in. w słynnym „Thug life”. Jego rodzice byli członkami organizacji Czarne Pantery i na przemian odsiadali wyroki w więzieniach. Swe pierwsze lata Tupac spędził w dwóch nowojorskich dzielnicach – Harlemie i Bronxie. Sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała, gdy od 1981 roku jego ojczym zaczął ukrywać się z powodu udziału w zamieszkach na tle rasowym. Przez to miał jedynie okazjonalne kontakty z synem, który przez cały czas przenosił się z matką z jednego miejsca na drugie. Po dwóch latach ojczym powrócił do rodziny, wtedy jednak wciągnął swą żonę w narkotyki, po czym aresztowany zmarł w więzieniu. Mimo tego, iż Tupac stracił go mając 12 lat, później w jednym z wywiadów powie, że zawsze podziwiał Legsa, ponieważ ten nauczył go bycia twardzielem. *Przez ten krótki okres Legs był jedynym ojcem jakiego znałem i od jakiego mogłem czerpać wzory, a teraz miało go mi nagle zabraknąć.*

Tupac wychowywany właściwie bez taty i migrując stale z miejsca na miejsce, miał duże trudności z dopasowaniem się do otoczenia i odnalezieniem się w ciągle zmieniającej się rzeczywistości. Jak przyznaje, w tamtym czasie brakowało mu męskości i innych cech, których nie mogła przekazać mu jego matka – Afeni. W tym okresie doszło jednak do ważnego momentu w jego życiu. „Pac” podjął mianowicie próbę świadomej walki z samotnością. Rozpo-



czął pisanie wierszy i piosenek, postanowił też zostać aktorem i zdobyć sławę. Jego głównym celem stała się ucieczka od rzeczywistości betonowych bloków i zdobycie uznania wśród osobistości sztuki i polityki. Marzenia i zapal dziecka dostrzegła na szczęście Afeni Shakur. Widząc nie tylko duże zainteresowanie, ale także talent do aktorstwa i marnujące się możliwości syna, zapisała go do grupy teatralnej w Harlemie przy 127th Ensemble Street N.Y. We wrześniu 1983 roku największy raper wszechczasów, jako 12 latek zadebiutował na scenie grając rolę Trávisa w przedstawieniu „Rodzynek w Słońcu”.

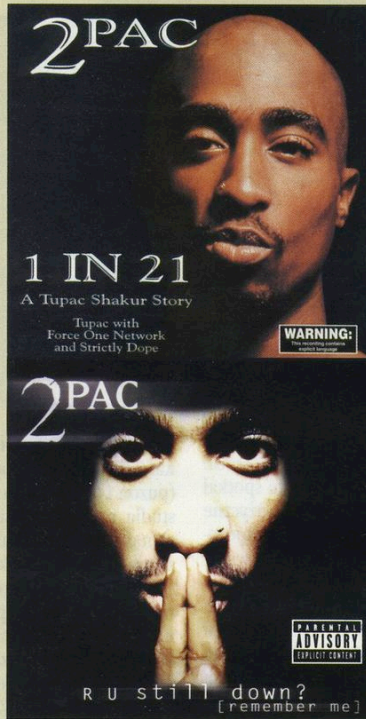
W czerwcu 1986 roku rodzina Shakurów przeniosła się do Baltimore. Tam też, tym razem już z własnej inicjatywy, Tupac dostał się do Wyższej Szkoły Artystycznej. Rozpoczął w niej już na dobre naukę aktorstwa, baletu i poezji. Podczas edukacji w tej placówce, piętnastoletni Pac poznał swoją przyszłą dobrą przyjaciółkę – Jada’ę Pinkett. Wspólnie spędzony okres dojrzewania młodych pokazał, że Jada była inspiracją do tekstów wielu piosenek i poezji pisanych w tym czasie przez dorastającego Shakura. Stała się ona także prawdziwą ostoją dla artysty w późniejszym trudnym okresie jego załamania psychicznego. Jednak na razie Tupac znajdował się w jednym z piękniejszych etapów swojego życia. Jak sam później wspominał: *Ten czas spędzony w Baltimore był dla mnie wspaniałym okresem – występy na scenie, uczenie się aktorstwa i rozwijanie umiejętności tworzenia. Miało to naprawdę kojący wpływ na moją psychikę i pozwoliło mi wreszcie znaleźć radość i satysfakcję z życia.*

Jak widać, nie było to bez znaczenia. W końcu

czarnoskóry chłopak żył z dala od getta. Tu wkrótce doszło do wyraźnego zwrotu w jego psychice. 2Pac zmienił zdanie na temat białych, których wcześniej uważał za „diabłów”, gdyż tak mówiono o nich w slumsach. W Baltimore zauważył, że biali to normalni ludzie, z którymi można pozostawać w dobrych relacjach, a nawet mieć wspólną pasję – aktorstwo. W tamtym czasie Pac zaczął angażować się też w nową sztukę „rapowego rymowania”, o nazwie MCing (od MC – Master of Ceremony – mistrz ceremonii /główny raper). Szybko zobaczył, że doskonale odnajduje się w tej nowej dziedzinie. Stopniowo zaczął nabierać pewności siebie. Postanowił przy tym wykorzystać swoje nowojorskie korzenie, co w przypadku niedużego miasta jakim było Baltimore wzbudziło natychmiastowe uznanie i szacunek. W efekcie, już w wieku 15 lat był znany pod pseudonimem „MC New York”. Jego rymy, a przy tym doskonale do nich dopasowana mimika twarzy, nie miały równych w całej okolicy Baltimore. Jednakże, mimo ujawniania się ogromnego talentu chłopaka, sytuacja w domu była cały czas bardzo napięta. Afeni, która wychowywała syna, ciągle brakowało pieniędzy na podstawowe wydatki. W ich skromnym mieszkaniu nie było często elektryczności, toteż Tupac, który wtedy dużo czytał, uczył się na ulicy przy świetle latarni. W czerwcu 1988 roku młody Shakur, wraz z resztą rodziny, kolejny raz się przeprowadza. Tym samym nie jest on w stanie dokończyć nauki w Baltimore, pozostawiając jedynie po sobie mocne wrażenie na nauczycielach, którzy dostrzegli jego ogromny potencjał i zdolności. *Opuszczenie tej szkoły wywarło na mnie ogromny wpływ. Uznaję to wydarzenie za punkt, w którym się wykoiletem* – powiedział po latach.

Nowym miejscem zamieszkania było Marin City w Kalifornii. Na początku Tupac rezydował tutaj z przyjaciółką matki, gdyż ta pozostawała w Baltimore. Po jej przybyciu do syna, Shakurowie przenieśli się jednak do getta nazywanego przez miejscowe władze „Dzunglą”.

Tutaj Afeni w związku z przytłaczającą ją rzeczywistością, zaczęła zażywać duże ilości narkotyków. Jej syn, jako biedny i chudy nastolatek, zaczął być wyśmiewany przez handlarzy kokainy zaopatrujących jego matkę. Było to bardzo ciężkie doświadczenie i mimo olbrzymiego szacunku dla niej, Tupac nie mógł już znieść jej pogłębiającego się nałogu. Z wielkim bólem postanowił wyprowadzić się z domu i zamieszkać w opuszczonych budynkach, z grupą znajomych, z którymi później stworzył grupę One Nation Emcees. Mimo do-



brych ocen i wysokiej średniej. Tupac w wieku 17 lat przerwał naukę w szkole. By zarobić na utrzymanie zaczął pracować w pizzerii, szybko jednak zszedł na złą drogę, zostając dealerem narkotyków. Sprzedając dragi dobrze poznał reguły życia „ulicy”, co stało się później widoczne w jego tekstach. W tym czasie ponownie zaangażował się w tworzenie muzyki rap. Rok 1990 był rokiem przełomowym dla młodego artysty, gdyż jego aktywna działalność na scenie muzycznej zaowocowała wpływowymi znajomościami. Młody Shakur poznał wtedy Shock`a G – lidera Digital Underground, do którego grupy dołączył początkowo jako tancerz, a później jako raper. Odtąd mógł poznawać prawa i zasady ówczesnego hip-hopowego „business świata”. Stosunki z matką były cały czas bardzo oschłe, gdyż syn nie mógł znieść jej nałogu... Była to rana, która ciągle się nie mogła zagoić.

3 stycznia 1991 roku, Shakur mając niespełna 20 lat, pierwszy raz pojawił się na płycie Digital Underground w hicie „Same Song”. Niedługo później, wraz z całym zespołem, zadebiutował na planie filmowym w niskobudżetowym filmie pt. „Nothing But Trouble” (Nic, tylko kłopot), przybierając ksywkę Rebel of the Underground. Oddawała ona doskonale charakter i osobowość Tupac’a. Te dwa wydarzenia były już czymś, co stanowiło wstęp do prawdziwej kariery. Ta miała przyjść już wkrótce, bo na przełomie 1991/92 roku, a potem zacząć rozwijać się w bardzo szybkim tempie.

Jednak, mimo jej zawrotnego tempa, Tupac miał zawsze czas, by być dobrym obserwatorem otaczającej go rzeczywistości, a później umiejętnie wyrażać swoje wnioski i myśli w różny sposób. Ernest Dickerson – reżyser filmu „Juice”, w którym zagrał 2Pac, tak o nim powiedział: *Myszę że jest bardzo introspektywny. Na przykład, na planie „Juice”, podczas przerw w kręceniu filmu, spędzał mnó-*

stwo czasu sam, pisząc. Wie pan, on dużo rozmyśla. Zastanawia się, co naprawdę dzieje się na świecie, co dzieje się w okolicy i opowiada o tym w swojej muzyce. To, co mnie w nim uderzyło, to jego nieustanne rozmyślanie. Jego umysł ciągle pracował.

Podsumowując pierwszą część refleksji na temat najlepszego rapera wszechczasów, chcę przytoczyć jeden z jego wierszy. Jest on przykładem na to, że każdy człowiek ma w sobie wpisany ogromny potencjał tego, co duchowe... Bez wątpienia, miał go także właśnie Tupac Shakur. Ten, który ze względu na swoją osobiwą przeszłość, wydawać by się mogło, nie powinien go mieć. A jednak... Ciężkie dzieciństwo w getcie, kariera aktorska i muzyczna, wreszcie gangsterski świat showbiznesu nie dały rady ugasić naturalnego pragnienia Boga jakiego ten człowiek miał w sobie... **cdn** ■

Maciej Syka

BÓG

*Kiedy byłem samotny
i nie miałem nic
Prosiłem o przyjaciela,
aby pomógł mi dźwigać mój ból...
Nikt wtedy nie przyszedł
za wyjątkiem Ciebie Boże.*

*Kiedy potrzebowałem oddechu,
by przebudzić się z tego snu,
Nikt wtedy nie był w stanie
mi go dać
za wyjątkiem Ciebie Boże.*

*Kiedy pytałem,
dlaczego wszystko
co widzę jest smutne
i potrzebowałem odpowiedzi
Nikt mi jej nie dał
za wyjątkiem Ciebie Boże*

*Tak, więc kiedy jestem pytany
Komu zawierzę moją miłość,
by się mną opiekował
Nikt inny nie przychodzi
mi do głowy
za wyjątkiem Ciebie Boże.*

Tupac Amaru Shakur



Początki tej stalowowskiej formacji „regalowej” sięgają roku 1997. Wtedy to właśnie Ziemia Kanaan zadebiutowała na koncercie „Chwalmy Pana w rytmie reggae”. Jednak trudności, z jakimi spotkał się wówczas młody zespół sprawiły, że wszelkie działania muzyczne zostały zawieszono do odwołania. Po roku, dzięki wielkiemu uporowi założycieli zespołu (Mariusz & Mariusz) udało się pokonać wspomniane trudności i wznowić działalność. W tym czasie kształtuje się skład zespołu, rozpoczynają się pierwsze wyjazdowe koncerty, których z miesiąca na miesiąc było coraz więcej. I tak po kolejnym roku wzajemnej współpracy „Ziemia” nagrała swój debiutancki materiał, który następnie został wydany jako „gatalmajti demo '99” nakładem wydawnictwa NNNW. Materiał otrzymał pochlebne recenzje na łamach czasopisma „Tylko Rock”. Niestety krytyka dopadła wydawców, czyli Uszatego i Wołka. Mianowicie anarchistyczny zine „Mać Pariatka” napisał, że panowie ci wydali ten materiał z obawy przed końcem świata, gdyż właśnie zbliżał się przełom XX i XXI wieku. W roku 2000 skład zespołu powiększył się o sekcję dętą. Krok ten zaowocował wieloma koncertami, które Ziemia zagrała na terenie całego kraju, spotykając się z pozytywnym odbiorem ich muzyki. Lata 2001 i 2002

były czasem pracy nad nową płytą zespołu. Do nagrań została zaproszona spora grupa muzyków, dzięki czemu jej materiał stał się bardziej bogaty i różnorodny. Wspomniana płyta miała swoją premierę we wrześniu tego roku. Album nosi nazwę „k.n.a.n” i został wydany przez Wydawnictwo „Zima Records” oraz „Nieziemskie rekordy”. Ziemia Kanaan zagrała ponad sto koncertów w różnych miejscach kraju, oraz kilka koncertów u naszych południowych sąsiadów. Ważniejsze z nich to między innymi: Mikołajki Folkowe '99, Song of Songs 2000 oraz 2001, Winter Reggae 2001, Freedom Fest Festival (Czechy), The Falling Wall Fest 2001 (Czechy), Most Reggae 2005, Open Air Fest 2005 (Czechy). Ich muzyka określana jest jako rock-reggae, aczkolwiek zróżnicowane aranżacje utworów nie pozwalają zakwalifikować jej do jednego gatunku. W swojej historii Ziemia Kanaan nie ustrzegła się zmian personalnych. Chłopcy od blaszek (puzon i trąbka) postanowili rozpocząć karierę naukową i rozpoczęli studia, rozjeżdżając się w różne strony naszego kraju. Odległości, które nas dzieliły były na tyle dalekie, że współpraca z sekcją oficjalnie została uznana za zakończoną. Nie zniechęciło to jednak pozostałych członków grupy, a nawet było bodźcem do poszukiwania nowych rozwiązań. I tak oto rozpoczęły się eksperymenty z muzyką elektroniczną. „Żywe bębny” przenikały się nawzajem ze sztucznymi beata'ami, akordeon z „kosmicznymi” dźwiękami z grooveboxa. Wszystko to dodatkowo wzmocnione nieco ostrzejszymi gitarami. Obecnie zespół (w składzie: Mariusz Zarzeczny - vocal, gitara; Mariusz Dul - perkusja; Sławomir Środek - bas; Adam Krawczyk - instrumenty klawiszowe, klarnet, akordeon, vocal; Michał Wójcik - sampler, instrumenty klawiszowe, vocal) przygotowuje się do kolejnych nagrań, które rozpoczyna się na przełomie stycznia i lutego przyszłego roku. ■

Kontakt: 605 923 321 (Mariusz)
ziemiam@w-sieci.com, www.ziemia.w-sieci.com

z ap i s t n i k

Tośki Krzysztoń



PANNA CZYSTA CO ZRODZIŁA

Panna czysta co zrodziła
 Dzieciatko Boże dziś
 Z sianka gniazdko mu uwiła,
 Zeby ciepło miał jej syn.

Wiatr w szczelinach gra o swiecie,
 To już dnieje - zimno im.
 Józef święty tuli syna
 „Tyś nie mój, tyś Boży Syn”

Boże Dziecię przyszło do mnie
 W taką niespokojną noc,
 Nic ci Dziecię dać nie mogę,
 Więc malenki weź mój los

Wtulil Jezus głowę w ramię,
 Józefowe cicho lka
 „Tyś jest ten co mnie przygarnął,
 ten co tajemnice zna”

Słońce świeci w szparach szopy
 Słychać ptaki, ludzi gwar
 Przytuleni Józef z Marią
 Miedzy nimi śpi nasz Pan

MŁOS C ROKU RATOS C
 - ZAWSZE
 RZYMAŃCIE SIĘ CIERO
 I RODZINIE
 A taci... Krzysztoń



pobudka

paganini
CD 50

Wszelkie
prawa
zastrzeżone.